

ISSN 2353-1037  
nr 6(27)/2017  
egzemplarz bezpłatny

listopad/grudzień

# projektor

kielecki  
magazyn  
kulturalny

Listy  
do  
Milesa  
Davisa

Sabat  
Fiction  
Fest



Gombrowicz  
Żeromski  
- rebiografie

Co nam mówi  
Grzegorz  
Rosiński?

„Rasputin”

Jan Nowicki

# Patrzę i widzę

**„Nie przesadza się starych drzew” – powiedział jakiś kretyn. A cała reszta bezrozumnie za nim powtarza.**

**Tymczasem stare drzewa mają to do siebie, że niejedno widziały i ciągle mają czas. Choćby na pisanie felietonu, do którego i tak sięgną nieliczni. Stare drzewo żyjąc od dawna w świecie pozbawionym złudzeń – jednak żyje. A żyć, oznacza mieć nadzieję. Także na to, aby dalej rosnąć.**



Fot. A.N.

Po coś, dla kogoś, z sensem, czasem bez sensu. Tyle, że może w innym miejscu. Więc jednak konieczność... p r z e s a d z e n i a.

Z Krakowa do Kielc? A czemu nie?

Zwykle bywa odwrotnie. Ale to tylko stereotyp źle pojmowanej kariery. Od lat zabawiam się w odwracanie stereotypów i muszę przyznać, że prawie za każdym razem to nie najmądrzejsze zajęcie – daje wiele do myślenia.

„Prawdziwy mężczyzna to ten, który wybudował dom, posadził drzewo i splotził syna” – powiedział inny kretyn. A czemu nie odwrotnie? Może ten, co spalił dom, wyrwał drzewo i dał w łeb synowi? W sprawiedliwym i mądrym świecie człowiekowi należałby się dom – jak za przeproszeniem – psu buda. Na tym samym świecie drzewo może wyrosnąć z nasionka upuszczonego przez przelatującego nad ziemią ptaka. Co do satysfakcji z powodu narodzenia syna zaś, zawsze wracam do myśli Fiodora Dostojewskiego, który powiada, że „Ojcowie lubią się tudzić pod tym względem”.

A teraz do rzeczy: Skąd moja obecność w „Projektorze”? Właściwie nie wiem. Może, dlatego że skoro los przygnał mnie do Kielc, to znaczy, że tutaj zobowiązany jestem do tego żeby patrzeć i widzieć.

Naczelny Paweł, wyszedł z propozycją, abym zajął się recenzowaniem książek. Pomysł moim zdaniem samobójczy i śmiertelnie nieskromny. Bo co mogą

obchodzić czytelnika opinie kogoś, kto przeczytał przed nim książkę? Że niby zachęca go do lektury?

Dzisiaj? Kiedy książka stała się wielostronicową udręką dla ludzi, którym sprawdza się to, że dzięki nieczytaniu – wiedzą więcej? Bo wiedzą na tyle, żeby maksymalnie konsumować i z ulgą wydalać codzienność.

Czasem szczęśliwą, czasem ułomną. Ale zawsze swoją, czyli – w jakimś sensie – rzeczywiście wyjątkową. Wiedzą przecież jak żyć, gromadzić, zyskać uznanie, awansować, schudnąć i po dotknięciu po swoim splotzić.

Czasem przeczytają, że kiedyś przyjdzie im się zestarzeć. Ale bez koniecznej refleksji, bo żeby się zestarzeć, trzeba przedtem dorosnąć.

A im na co to, skoro ciągle... „spoko”?

Ci, którzy czytają sami

z siebie, obejdą się bez ożywczej inspiracji recenzentów.

Grzyby w lasach koneckich. Siostra powiada, że jak tyle grzybów, to może być wojna. Na górze albo na dole. A najlepiej wszędzie. Tak naprawdę już się zaczęła. W domach gdzie dorośli gwałcą nieletnich, w Stalowej Woli, bo tam socjopata zabija nożem ludzi, w chorej maksymie, że aby było bezpieczniej trzeba posiadać więcej narzędzi do zabijania, w katowaniu zwierząt, wycinaniu drzew, niedofinansowanych hospi-

**A im na co to, skoro ciągle... „spoko”?**

cjach, historycznie wysokich wynagrodzeniach dla piłkarzy itd, itd... Można by tak bez końca. Ale nie wolno, bo stare drzewa chcą żyć i mieć nadzieję. Która może w tych, co pod zobowiązującym szyldem Teatru Ecce Homo – bywa, że 17-letni – zbierają się po to, żeby żyć pięknym życiem młodości. Złożonym ze spotkań z przyjaciółmi, w kontakcie z najlepszą literaturą. Po to, by grać dla garstki podobnych do siebie, spragnionych tego samego widzów.

O Ecce Homo wspominam dlatego że właśnie stamtąd przywiał mnie wiatr do mojego nowego miasta. ■



W DUŃSKIM „Mistrzu” („Mesteren”) Charlotte Sieling fabuła zbudowana została na jednym z archetypów śródziemnomorskiej cywilizacji – rywalizacji ojca z synem. Rozpisana w dekoracjach kopenhaskiej bohemy, eksploatuje znane i powtarzalne sytuacje – konflikt pokoleń, różne

wizje świata, zderzenie osobowości o odmiennych charakterach, wizerunek współczesności oparty na celebrytynie i prawie renesansowym wzorcu akademii malarzkiej (ojciec z anonimową, na pograniczu prawa sztuką syna. Skojarzenia z postaciami Yvesa Kleina z jednej i Banksy’ego z drugiej jak najbardziej uzasadnione. Obraz – wprawdzie stworzony z klisz – stawia przewrotne pytanie o popkulturę i kulturę wysoką. Wzbożony adboustingiem, ironicznie potraktowanym aktem twórczym, miejską partyzantką i voyeuryzmem w finale – prowokuje do spojrzenia na świat a’rebours. Czy to nie ojciec celebrytujący przed kamerami telewizji swoje performatywne malarstwo uprawia popkulturę, a syn tworzący nocą murale nie jest przypadkiem reprezentantem sztuki czyste, kultury wysokiej?

Ich archetypiczny konflikt można oczywiście przenieść na grunt dawnych wierzeń, a postać ojca porównać z królem-lasem tak barwnie opisanym w „Złotej gałęzi” Frazera. Ten odwieczny mit wciąż i wciąż trwa, przetrworzony do współczesnych mu realiów, lecz nadal dziki i pierwotny, nawiązujący do podań o ziemi i Edypie, tak bliski północnej mitologii, pozwolił oczarować Akademię Szwedzką, W.S. Reymontowi.

Oto dotarliśmy do sedna popkultury, która pochłaniając mity wielu ludów, apokryfy, średniowieczne gesta i eddy, kosmologię, najnowsze zdobycze techniki, Dantego, Lovecrafta, Dostojewskiego i Edgara Allana Poe, zajmuje obszary sztuki niskiej i wysokiej. Jej bohaterami mogą być zarówno Szekspir jako młody Willie, Holmes tropiący Marsjan, zmęczony tysiącletnim życiem bogowie skandynawscy i asyryjscy, popijający piwo w barze w Północnej Karolinie czy wampir, który zostaje gwiazdą rocka. Co nie jest zakazane, jest dozwolone, co nie jest dozwolone, jest niedostrzegalne.

Popkultura, podobnie jak jej nobliwa, starsza siostra, obok tysięcy dzieł przeciętnych, zrodziła filmy Quentina Tarantino (z esencjonalnym „Pulp Fiction”), doskonałą literaturę fantastyczną, seriale idealnie wpisujące się w tradycję – czarnego kryminału („Detektyw”) lub wiktoriańskiego horroru („Penny Dreadfull”). Stworzyła wreszcie postaci Daenerys Targaryen i Jona Snowa, dziś bardziej znane niż wszyscy Beatlesi razem wzięci. I maskę Anonymous, symbol oporu wobec globalnych korporacji oraz rządów tyranii. ■

Popkultura, podobnie jak jej nobliwa, starsza siostra, obok tysięcy dzieł przeciętnych, zrodziła filmy Quentina Tarantino (z esencjonalnym „Pulp Fiction”), doskonałą literaturę fantastyczną, seriale idealnie wpisujące się w tradycję – czarnego kryminału („Detektyw”) lub wiktoriańskiego horroru („Penny Dreadfull”). Stworzyła wreszcie postaci Daenerys Targaryen i Jona Snowa, dziś bardziej znane niż wszyscy Beatlesi razem wzięci. I maskę Anonymous, symbol oporu wobec globalnych korporacji oraz rządów tyranii. ■

*Paweł Chmielewski*

projektor  
kielecki  
magazyn  
kulturalny

Kielecki magazyn kulturalny

„PROJEKTOR”  
dwumiesięcznik

ISSN 2353-1037

WWW.PROJEKTORKIELCE.PL

e-mail: projektorkielce@onet.eu

tel. 605 343 341

Wydawca: STOWARZYSZENIE TWÓRCZE „ZENIT”

ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce

WWW.ZENIT.ORG.PL

Redaktor naczelny: PAWEŁ CHMIELEWSKI

Okładka: TOMASZ ŁUKASZCZYK

Logo: BOA

Skład, redakcja graficzna: KRYSZTOF MUCHA

Współpraca: Małgorzata Angielska, Dominik Borowski, Franciszek Chmielewski, Sylwia Gawłowska, Oliwia Hildebrandt, Piotr Kardys, Piotr Kletowski, Agnieszka Kozłowska-Piasta, Mirosław Krzysztofek, Agata Kulik, Izabela Łazarczyk, Agnieszka Majcher, MCM, Martyna Musiał, Grzegorz Niemiec, Dorota Nowak-Baranowski, Agata Orłowska, Łukasz Rakalski, Emmanuella Robak, Michał Siedlecki, Agata Suszczyńska, Aleksandra Sutowicz, Łukasz Szaruga, Katarzyna Szychowska, Marta Trechowska

Zdjęcia: Wojciech Habdas, Oliwia Hildebrandt, Agnieszka Kozłowska-Piasta, Tomasz Kozłowski, Małgorzata Wojna

Rysunki: Tomasz Łukaszczyk

nakład: 1200 egz.

Druk: „JAWIST”, Kielce, ul. Warszawska 209

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadestanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

# Spis treści:

## FELIETON

0. Jan Nowicki  
Patrzę i widzę

## TEMAT NUMERU: POPKULTURA

3. Michał Siedlecki  
Namaszczeni współczesnością (*Bogusław Dziadzia, „Naznaczeni popkulturą. Media elektroniczne i przemiany prowincji”*)
4. Agnieszka Kozłowska-Piasta  
Fantastyczny misz-masz (*Sabat Fiction Fest 2017*)
7. Aleksandra Sutowicz  
Drogi Snapchat, kochana coca-cola („50 twarzy popkultury”)
8. Paweł Chmielewski  
Co nam mówi Grzegorz Rosiński? (*Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier 2017*)
10. Grzegorz Niemiec  
Puszka Pandory i Bela Lugosi (*Filmowa klasyka w wideoklipach*)
12. Paweł Chmielewski  
Miejsce ciszy (*Trylogia „Lux in tenebris” Sławomira Zajączkowskiego i Huberta Czajkowskiego*)
14. Agata Orłowska  
Sny, które zmieniają rzeczywistość (*Andrzej Wójcik, „Ajrun”*)
15. Małgorzata Angielska  
Lochy i smoki na początek („Gry fabularne. Kultura – praktyki – konteksty”)
16. MCM i PC  
Palimpsest na murze i organy Hammonda (*Muzeum Laurensa Hammonda i amerykańska popkultura*)
18. Izabela Łazarczyk  
Plastuś i inni („Bohaterowie z ekranu. 70 lat polskiej animacji dla dzieci”, *Muzeum Zabawek i Zabawy*)
19. Piotr Kletowski  
W szponach finansjery (*Andrzej Wojnach, „Film animowany. Sztuka czy biznes?”*)
20. Sylwia Gawłowska  
Mamidło czyli... supermarket polskiej piosenki (*Koncerny, muzyk jako produkt popkultury*)
22. Dorota Nowak-Baranowska  
Voyeurizm i mroczne inspiracje (*Przemiany wizerunku kobiety w popkulturze na przykładzie „The Fall”*)
24. Piotr Kletowski  
W cieniu Samuela Fullera (*American Film Festiwal*)
26. Paweł Chmielewski  
Gra w rysunkową narrację (*Jerzy Szytak, „Czegoś więcej, czegoś mniej. Poszukiwania formuły powieści graficznej w komiksie 1832–2015”*)

## TEATR

27. Agata Kulik  
Ostrzeżenie i śmiech (*XVII Przegląd Teatrów Alternatywnych*)
30. Agnieszka Kozłowska-Piasta  
Elita patrzy przez okno („*Rasputin*”, *Teatr im. Stefana Żeromskiego*)
32. Agnieszka Kozłowska-Piasta  
Protest song z różem w tle („*Akademia pani Beksy*”, *Teatr Lalki i Aktora „Kubuś”*)

## LITERATURA

33. Katarzyna Szychowska  
Uniwersum (*nie)odkryte (Jacek Kaczmarski, „Między nami. Wiersze zebrane”*)

34. Paweł Chmielewski  
Gombrowicz i Żeromski – rebiografie (*Klementyna Suchanow, „Gombrowicz. Ja, geniusz”; Zdzisław Jerzy Adamczyk, „Manipulacje i tajemnice. Zagadki późnej biografii Stefana Żeromskiego”*)
36. Martyna Musiał  
Za mało czasu by żyć (*Monika Śliwińska, „Wyspiański. Dopóki starczy życia”*)
37. Martyna Musiał  
Na początku było... (*Margaret Atwood, „MaddAddam”*)
38. Piotr Kletowski  
Natura prawdę Ci powie... (*Anna Błachucka, Zbigniew Kubicki, „Korzeniaki”*)
39. Dominik Borowski  
W pigułce (*Szczęśny Wroński, „Piszę poemat”*)

## HISTORIA

40. Piotr Kardys  
Zacząto się od Suchyni... (*Cykl książek z dziejów Suchedniowa*)

## MUZYKA

41. Agnieszka Majcher  
Legendy pomnożone (*Joanna Dark, „Krajewski na dziś”*)
42. Łukasz Szaruga  
Prog-pop na ciężkie czasy (*Steven Wilson, „To The Bone”*)
43. Emmanuella Robak  
Dźwięk pustynnej planety (*Gary Numan, „Savage” i Soundedit 2017*)
44. Łukasz Rakalski  
Za czwartą ścianą (*„Memorial to Miles” ’17*)
46. Mirosław Krzysztofek  
Post-hardcore neo-prog (*Tera Melos, „Trash Generator”*); Osmioślowa bestia (*King Crimson, „Official Bootleg: Live in Chicago”*)
47. Agata Suszczyńska  
Cudny koniec wakacji (*Festiwal „Dalej się nie da 2”*)
48. Sylwia Gawłowska  
Czułość (*Lorein, „Złamania”*)

## PRZESTRZEŃ PUBLICZNA

49. Agata Suszczyńska  
Utrwalić na fotografiach („*Kwiatki w betonie*”)

## FILM

- Piotr Kletowski  
50. Polskie kino w okresie przejściowym (*Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni*)
- Piotr Kletowski  
52. Kwestionariusz widza, reżysera i krytyka (*Aleksandra Zienowicz i Ewa Serwotka, „Psychologia osiągnięć dla twórców filmowych”; Konrad Aksinowicz, „Samorealizacja filmowa”*)

## DESIGN

54. Agata Suszczyńska  
Słowo w rysunku ujęte („*Uwikłani w tekst. Ilustracja zaangażowana*”, *Instytut Dizajnu*)

## PLASTYKA

- Izabela Łazarczyk  
55. Nowy Jork i Warszawa (*Stanisław i Piotr Młodożeniec, Galeria Sztuki Współczesnej „Winda”*)
- Marta Trechowska  
56. Kalejdoskop autentyzmu („*Rewizjoner*”, *Baza Zbożowa*)
- Izabela Łazarczyk  
57. Od impresji do abstrakcji (*Wojciech Bański, „Wariacje”, Baza Zbożowa*)
- Franciszek Chmielowski  
58. Orzeźwiający powiew nowości (*David Javorsky, malarstwo, Galeria „Dom Praczek”*)
- Oliwia Hildebrandt  
60. Japońska technika, mikroświaty przedmiotów („*S jak serigrafia*”; *Piotr Bieniek, fotografia, BWA Kielce*)

# Namaszczeni współczesnością Michał Siedlecki

Dysertacja „Naznaczeni popkulturą. Media elektroniczne i przemiany prowincji” autorstwa Bogusława Dziadzi to tekst nie tylko o dużych walorach poznawczych i literacko-naukowych. Stanowi on bowiem również cenną pomoc metodologiczną w zakresie wiedzy o małych grupach społecznych, mediach oraz szeroko pojętej komunikacji. Główna jego problematyka przekłada się jednak na pasjonujące studium o popkulturze. To zatem analityczny zapis aktualnych procesów literacko-artystycznych, deskrybujący zarazem nasze codzienne życie, naznaczone wszak prozą powszedniości.

**BOGUSŁAW DZIADZIA** – medioznawca, socjolog i artysta – jest adiunktem w Zakładzie Edukacji Kulturalnej na Uniwersytecie Śląskim. Píše między innymi teksty z zakresu problematyki dotyczącej komunikowania masowego. Interesuje go także kultura popularna i sam proces upowszechniania. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego oraz współzałożycielem Fundacji Animacji Społeczno-Kulturalnej. Poza pracą naukowo-dydaktyczną zajmuje się też praktycznymi wymiarami animacji (współtworząc choćby Biennale w Wenecji Cieszyńskiej). Uprawia ponadto malarstwo sztalugowe, projektowanie graficzne i fotografię. Do jego wielkich pasji należy również pisarstwo.

Wedle profesora Wojciecha Burszty, gdybyśmy chcieli jednoznacznie ocenić profil omawianej tutaj książki – opublikowanej nota bene przez gdańskie Wydawnictwo Naukowe Katedra – najklarowniejszym bodajże określeniem byłoby zakwalifikowanie (...) jej do ram kulturoznawstwa zaangażowanego, uwzględniającego ekonomiczno-kapitałowe uwarunkowania wpływające na jakość partycypacji w kulturze zapośredniczonej medialnie. „Naznaczeni popkulturą” to bowiem książka podejmująca jednakowo zagadnienia z zakresu kultury masowej, mediów społecznościowych, środków masowego przekazu, a także socjologii.

## DYDAKTYKA

Książka „Naznaczeni popkulturą” składa się z siedmiu rozdziałów, poprzedzonych intrygującym wstępem. Całość wieńczy jeszcze bibliografia oraz dobrze przygotowany indeks osób. Kluczową rolę pełni w niej również prowincja, którą należy w owym wypadku rozumieć raczej w kategoriach uniwersalnych, a może przede wszystkim, w wymiarze przemian wewnętrznych człowieka. Badacz wypowiedziada się zresztą na temat swojej rozprawy w sposób niemal jednoznaczny: *Pisać o kulturze popularnej to w znacznej mierze zajmować się jednym z głównych nurtów transferu wartości, wyznaczania standardów, generowania postaw. Technologiczny postęp, który wptynął*

*na powszechność dostępu i uczestnictwa w kulturze, może stanowić przyczynek do zastanowienia się, na ile szeroko dystrybuowane wzory kultury stanowią potencjał do wytwarzania kapitałów społecznego i kulturowego, nie wspominając o ekonomicznym, rozumianym jako immanentna część i zasada działania popkultury.*

Ta blisko pięćsetstronicowa rozprawa uczonego ma po prostu olbrzymi potencjał edukacyjny i może, choć wcale definitywnie nie musi, wprost stanowić – zdaniem między innymi profesora Kazimierza Krzysztofka – cenną pomoc dydaktyczną, dedykowaną

*Panom Profesorom Wojciechowi Józefowi Burszcie i Kazimierzowi Krzysztofki, którzy zechcieli zrecenzować tę książkę, udzielając wielu cennych dla mnie wskazówek. (...) Dziękuję też wszystkim moim studentom, którzy niejednokrotnie wzbudzali moje zdziwienie zmieniającym się światem.*

Dzięki zaprezentowanej tutaj rozprawie naznaczenie światem popkultury

przybiera nieco inny oddźwięk. Nie staje się już tak krępujące. Nie uwłacza godności ludzkiej i cyfrowemu wykluczeniu, jak w przypadku pierwszych lat działania multimediów i cyberprzestrzeni, a staje się integralną częścią każdego z nas. Prowadzi ludzkość w erę nowym możliwości cyfrowych, gdzie każdy jest swego rodzaju prowincjuszem w McLuhanowskiej „globalnej wiosce”. Oddajmy na koniec głos samemu autorowi: *Zróżnicowania centro-peryferijne są jedną z obiektywnie istniejących struktur życia społecznego. Zróżnicowania te mają zarówno wymiar przestrzenny, jak i symboliczny. Po latach*

Bogusław Dziadzia  
**Naznaczeni popkulturą. Media elektroniczne i przemiany prowincji**  
 465 s. ; 20 cm  
 Gdańsk : Wydawnictwo Naukowe Katedra, 2014  
 316.77.004.77

wszystkim pragnącym zgłębiać swój potencjał intelektualny w przedłożonej tu tematyce. Ale na tym wcale nie koniec naszych w tym miejscu dywagacji. Badacz nie waha się tutaj bowiem dodać, że jego rozprawa przypomina mu w dużym stopniu tak zwany reference book (z ang. „publikację encyklopedyczną”), skierowaną wprost do przyszłych badaczy prowincjonalności oraz lokalności w epoce popkultury, komputera, jak też i sieci internetowej.

## NAZNACZENIE

Badacz wyraża w niniejszej książce szczególne wyrazy uznania recenzentem swojej dysertacji habilitacyjnej – wspomnianemu wcześniej Burszcie i Krzysztofki – bez których tak pogłębiona analiza szeroko pojętej prowincjonalności nigdy by pewnie nie powstała. Píše m.in., że: *Pragnę wyrazić wdzięczność*

*unifikującej modernizacji technologiczno-kulturowej, westernizacji czy szerzej – globalizacji, wymiar przestrzenny odrębności lokalnych miał mieć coraz mniejsze znaczenie. Istotnie przestrzeń w sensie geograficznym „skurczyła się” za sprawą środków transportu i medialnych środków przekazu.*

Agnieszka Kozłowska-Piasta

# Fantastyczny misz-masz

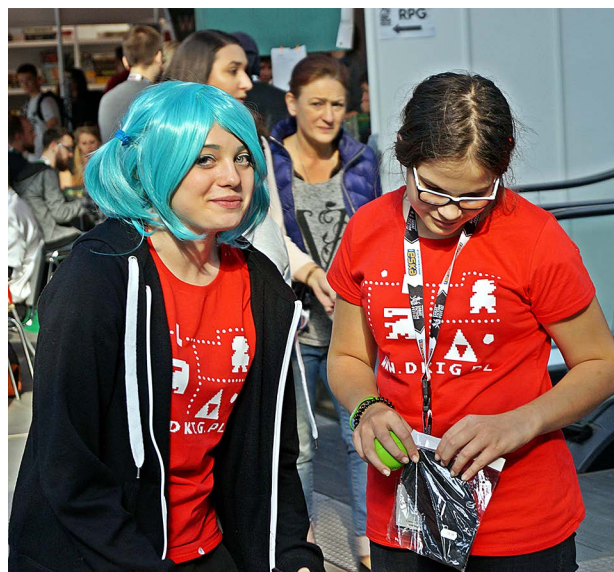
– Mogę: poczuć się kimś innym; zająć nie tylko codziennością; spotkać się z ludźmi, których znam z sieci; zagrać z nimi na dużą skalę dzięki dostępnej tu technologii – tak tłumaczyli swoją obecność na konwencie fantastyki jego uczestnicy. **Sabat Fiction Fest 2017**, trzydniowa impreza na przełomie września i października na Targach Kielce zgromadziła freaków, entuzjastów, fanów innej, równoległej rzeczywistości. I choć trzeba przyznać, że to mocno hermetyczny świat, w którym nowicjusze błądzą jak w mgłę, to wiarygodności odmówić mu nie można.

NA PIERWSZY RZUT OKA najbardziej okazała hala Targów Kielce, oznaczona literką E wyglądała jak... olbrzymia sala gier komputerowych i planszowych. Stanowiska starszych i nowych gier zagarniały przestrzeń i najbardziej rzuciły się w oczy. Strefy wyposażone były w połączone ze sobą komputery i wyposażone w olbrzymie telewizory, na których widzowie mogli śledzić sieciowe rozgrywki Starcrafta, Heartstone'a czy Wiedźmina. Nie zabrakło stref retro, rozczulających starszych uczestników gier Mario Bros czy różnych arkanoidów. Stanowiska komputerowe otaczały centralnie ułożoną przestrzeń gier planszowych i karcianych, uzbrojoną w non-stop czynną wypożyczalnię. Sprawiała wrażenie stołówki, w której strawą były dłuższe lub krótsze, bardziej lub mniej emocjonujące partyjki, rozgrywane pomiędzy uczestnikami konwentu. Obok nich toczyły się poważne bitwy makietowe, które na pierwszy rzut oka mogą przypominać zabawę żołnierzami. W rzeczywistości starannie wykonane i pomalowane modele dziwacznych stworów, smoków

i potworów biorą udział w bardzo precyzyjnym przedsięwzięciu, a ich ruchy i rozmieszczenie na planszy ustala się dokładnie mierząc odległości budowlaną miarką.

Pomiędzy graczami przemierzali się przebierańcy, uczestnicy konkursu Cosplay, zafascynowani japońską modą na upodabnianie się do bohaterów komiksów anime, filmów, postaci z gier, literatury. Przypominali trochę uczestników

maskarad karnawałowych, snujących się pomiędzy stoiskami w poszukiwaniu uwagi i zainteresowania. Zapytani z pasją opowiadali o kilkumiesięcznych sa-



Fot. Agnieszka Kozłowska-Piasta



modzielnych przygotowaniach stroju, wskazówkach i technicznych radach udzielanych przez babcię, mamę czy ciocię. Z dumą prezentowali także wizerunki bohaterów, do których jak najwierniej chcieli się upodobnić. Cosplay to nie tylko strój, ale styl bycia: zakładając kostium uczestnik konkursu przestaje udawać swojego bohatera, ale staje się nim, naśladowując ruchy, głos, postawę i zachowania. Najwierniejsze odwzorowania mogą liczyć na konkursowe zwycięstwa. Chodzi także o... dawanie radości, ciekawą odmianę w szarym, codziennym świecie i szansę, by swojego papierowego czy wirtualnego bohatera zobaczyć w świecie realnym. Udział w konkursie to już ostatni stopień wtajemniczenia i decydują się na niego tylko najodważniejsi.

To nie jedyni przebierańcy na SFF. Nie brakło stref poświęconych sztandarowym fantastycznym światom. Nie wszystkie zachwycały. Namiot „Gry o tron”, telewizyjnego, pachnącego średniowieczem hitu fantasy w siedmiu sezonach, w którym krew leje się gęsto, nie imponował ani rozmachem ani wyobraźnią. Profesjonalny obóz stalkerów, wypełniony po brzegi mniej lub bardziej groźnymi militariami i przyprawiony rosyjskim samowarem, często pozostawał bez gospodarzy. Ci z kolei nie życzyli sobie przekraczania granicy zony bez ich obecności. Na szczęście kantyna Mos Eisley działała pełną parą, a fani „Gwiezdnych Wojen” mogli liczyć na spotkanie z prawdziwymi szturmowcami Imperium lub samym lordem Vaderem i innymi mieszkańcami Tatooine, pustynnej planety, na której wychował się Luke Skywalker. Polonia Minor Squad, autorzy interaktywnej dioramy spisali się na medal, wiernie odtwarzając filmowe kostiumy. Co prawda sama kantyna na konwencji była niewielka



Nie przez przypadek większą część swojej relacji poświęcam komputerom i kostiumom. To te wątki dominowały na Sabacie. Spotkania poświęcone literaturze nie elektryzowały publiczności. A było kogo poznać i o czym posłuchać. Na sabacie pojawili się m.in. najważniejsi polscy pisarze fantastyki: specjalizujący się w średniowiecznej Skandynawii Łukasz Malinowski, doktor nauk historycznych UJ, Michał Gotkowski, lingwista, zafascynowany historią uzbrojenia, twórca Stalkera i komornika Ezekiela oraz Paweł Majka, który do I wojny światowej wmieszał Marsjan. Dyskutowano o granicach świata fantastycznego, roli bohatera w kreacji świata powieści, odzwiedzie czytelników i możliwościach oddzielenia fikcji od prawdy. Można było liczyć na ciekawe historie ze spotkań z fanami, uchylanie rąbka tajemnicy, jak powstają nowe książki, lub po prostu – na autograf, a nawet selfie na kolanach ulubionego pisarza. Chętnych nie było jednak zbyt wielu.

Być może wybierali pojedynki na plastikowe miecze, strzelanki z broni w ASG Kuźni Peruna, rozgrywki karaoke



## Co im daje zmyślona rzeczywistość?



i dodatkowo mieściła elementy z dwóch różnych części „Star Wars”, ale niepokój, który poczułam, stając obok prawie prawdziwego Vadera (nawet dyszał tak samo!), zrekompensował to niewielkie rozczarowanie. Nie mogło być inaczej, skoro członkowie składu to wierni fani kosmicznej sagi, choć – przynajmniej szturmowiec, z którym ucięłam sobie dłuższą pogawędkę – stawia wyżej nowocześniejszą, bardziej racjonalną i komputerową opowieść o losach Anakina Skywalkera od historii jego syna Luke’a, przepięknej symbolami i wątkami znanymi we wszystkich mitologiach. To tylko dowód, że fantastyczne dzieło Lucasa nadal elektryzuje i zaprasza do swojego świata kolejne pokolenia, które odnajdują w nim zupełnie inne fascynacje.



na jedną melodię i dwa mikrofony, strzały z tuku lub inne – liczne atrakcje. Podczas konwentu można było nauczyć się malować modele potrzebne do gier bitewnych, stworzyć własny plastyczny świat fantastyki, poeksperymentować z Centrum Nauki Leonardo da Vinci. Siłą kieleckiego konwentu były z pewnością liczne

wykłady dziejące się równolegle w dwóch salach, poświęcone literaturze fantastycznej, anime, komiksom, kulturze popularnej, filmowi, współczesnej i historycznej Japonii, ale i świętokrzyskim wiedźmom czy magii (choćby ten wygłoszony przez prof. Marzenę Marczewską). W pojedynkę oferta zupełnie nie do ogarnięcia! Nie zabrakło nocnych pokazów filmowych, konkursów, sesji RPG, larpów, w których uczestnicy, odgrywając historię, tworzyli własny improwizowany teatr. Nie narzekali także Ci, którzy na targach postanowili nocować.

Kim są wielbicieli fantastyki? Na konwencie przeważali ludzie młodzi, licealiści i studenci. Byli też starsi, którzy na

Sabat przyjechali ze swoimi kilku- czy kilkunastoletnimi pociechami, by pokazać lub wyjaśnić ten inny, lepszy świat. Co im daje zmyślona rzeczywistość? Najogólniej przestrzeń, w której są razem, czują się swobodnie i na miejscu. Aha, no i – patrząc na komputerową dominantę Sabat Fiction Fest – są naprawdę. W realu. ■



Fot. Agnieszka Kozłowska-Piasta



Aleksandra Sutowicz

# Drogi Snapchat, kochana coca-cola

**Na wytwory popkultury patrzymy trochę z przymrużeniem oka, lekceważąc, nie do końca poważnie, z pewną wyższością. Nieświadomie i pośrednio często uczestniczymy w procesie tworzenia produktów popkultury (reklamy, social media). Chcemy czy nie kultura popularna wkroczyła już dawno na salony, do opery i miejskiej przestrzeni życia publicznego. Teraz czas na naukowe rozprawienie się z nią.**

Książka „50 TWARZY popkultury” pod redakcją Kseni Olkusz, to obszerna praca zbiorowa, zawierająca ponad trzydzieści rozdziałów. Autorzy postępując się paradygmatami kulturowymi, poddają głębszej analizie produkty kultury popularnej. Już na wstępie Olkusz przedstawia problemy związane z badaniem popkultury w Polsce, są to przede wszystkim: niszowe traktowanie, nie zasługujące na krytyczną, głębszą analizę, brak odpowiednich kursów na kierunkach filologicznych oraz niechęć do publikowania treści związanych z popkulturą w prestiżowych i punktowanych czasopiśmie.

W tej obszernej monografii autorzy dokonują rewizji różnorodnych wytworów popkultury: sztuki plastycznej, wizualnej, motywy filmowe, dzieła literackie czy komiks. Ten pełen przekrój sprawia, że „50 twarzy popkultury” prezentuje się bardzo okazale i bogato tematycznie. Autorzy przekładają na język kultury masowej znane motywy – śmierć w klimacie popartu, puszcza pepsi, która staje się kodem kulturowym w przekazywaniu emocji takich jak radość, zabawa, przyjaźń („Jak śmierć nawiedza popkulturę? Od i do popartu, od i do litery”). Warto wspomnieć także o rozdziale dotyczącym badań gier komputerowych, w których rodzaj klucza interpretacyjnego stanowi filozofia Martina Heideggera i Hansa Gadamera („Włamywanie się do rzeczywistości”). Nie sposób pominąć także artykułu poświęconego Snapchatowi, który

cieszy się ogromną popularnością wśród użytkowników social media, a grono jego fanów wciąż rośnie, niemal w każdej grupie wiekowej. Użytkownicy cenią sobie spontaniczność i radość jakie płyną z korzystania z aplikacji, a *snapy*, *emoji* czy *selfies* na dobre zadomowiły się w kulturze popularnej. Co ważne, Snapchat sprawił, że mamy do czynienia ze zjawiskiem popularyzacji prywatności, która stała się swego rodzaju towarem, który można wystawić na rynku social media. Gwiazdy chętnie dzielą się swoim codziennym życiem z fanami, publikując co w danej chwili robią, co jedzą, gdzie aktualnie się znajdują, a ci drudzy mają świadomość, że dzięki aplikacji są bliżej swoich ulubieńców. („Snapchat jako anestetyczna odpowiedź na trendy popkultury...”).

W monografii pojawiają się także teksty, w których autorzy na warsztat wzięli tematy znane z kultury japońskiej jak popularne Hello Kitty czy gry fabularne. Hello Kitty postać, która dla japońskich kobiet jest symbolem dziecięcości, pozwala jednostce wyrazić siebie, ponadto jest ściśle związana z estetyką *kawaii* czyli czymś, co w przekładzie na polski oznacza zachwyty rozczulanie się nad czymś słodkim, bezbronnym (s. 256). W rozdziale „Inspiracje popkulturą w modzie japońskiej od lat siedemdziesiątych XX wieku”, autorka dokonuje porównania między japońskimi lolitkami, a motywem kobiety-kobietki z powieści Nabokova. Są to niezwykle ciekawe fragmenty, w których autorom udało się ukazać aktualne trendy panujące we współczesnej kulturze japońskiej, a także rozwinąć genezę popularności japońskich wytworów kultury popularnej, która trafia do szerokiego grona odbiorców na całym świecie, głównie dzięki Amerykanom, a nie samym Japończykom.

„50 twarzy popkultury” to bardzo obszerna i złożona monografia. Na samym opisywaniu czy interpretowaniu wytworów kultury masowej się nie kończy. Autorzy poddają analizie proces percepcji wśród

odbiorców, sposoby docierania do szerokiego grona czy stan tej kultury w ogóle. Jest to pozycja niezwykle ciekawa dla badaczy kultury, antropologów i kulturoznawców, porusza nowe wątki i prezentuje strategie badawcze. Publikacja to także doskonały przykład, że kultura masowa powszechnie znana i dostępna, nie powinna znajdować się na marginesie zainteresowań badaczy. Minęły cza-



**Zarówno reklama, plakat, remiks czy puszcza coli są dobrymi paradygmatami współczesnego świata.**



sy, w których tylko to, co niedostępne, mało znane i przeznaczone dla wąskiego grona jest godne uwagi i poświęcenia. „50 twarzy popkultury” dowodzi, że zarówno reklama, plakat, remiks czy puszcza coli są dobrymi paradygmatami współczesnego świata, wystarczy tylko głębiej się im przyjrzeć, a sam tytuł to przecież nic innego jak nawiązanie do popularnej książki dla kobiet, której ilość sprzedanych egzemplarzy jest niewiele mniejsza niż Harry'ego Pottera. ▀

## 50 twarzy popkultury

redakcja  
KSENIA OLKUSZ



50 twarzy popkultury, pod redakcją Kseni Olkusz  
676 s. ; 26 cm  
Kraków : Ośrodek Badawczy Facta Ficta, 2017  
316.7



Paweł Chmielewski

# Co nam mówi Grzegorz Rosiński?

**Publicznie wszystkich namawiam do ściągania wszystkich moich obrazków z Internetu. One istnieją w pdf-ach, na torrentach, a dzięki temu nie mam żadnych obiekcji, żeby ściągać od innych. Jestem za kulturą wolną, niezależną i dostępną. Artysta, zaś zawsze się wyżywi, bo z reguły większość artystów lubi makaron.** Tako rzecze Grzegorz Rosiński.

FRAGMENT WYPOWIEDZI AUTORA rysunków m.in. do „Thorgala”, najlepiej znanego na Zachodzie spośród polskich twórców komiksowych, wybrałem, nie tylko jako punkt wyjścia do impresji o tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi, ale reprezentację – coraz powszechniejszego – poglądu, głoszącego, że sztuce należy udostępniać za darmo w Internecie, a pasjonaci zawsze kupią książkę, DVD z filmem, komiks na tradycyjnym nośniku. Cytaty pochodzą z zapisu spotkania wokół premiery drugiego tomu antologii „Relax”. Dalej było jeszcze ciekawiej: *W Polsce żyją bardzo utalentowani artyści, ale z przyczyn bardzo różnych okoliczności nie potrafią stworzyć długiej i spójnej serii. Nie mamy,*



Konkurs cosplay



Stoisko Rafała Szłapy

*w przeciwieństwie, do Francji, Belgii i innych krajów Zachodu tradycji polskiego komiksu, który oparty jest na seriach. Jesteśmy mistrzami krótkich historii.* Można na chwilę zatrzymać się nad słowami mistrza – wprawdzie seria przygód „Thorgala” liczy trzydzieści pięć tomów, a „Asterix i Obelix” nawet dwa więcej, ale surrealistyczne książki Papcia Chmiela o Tytusie, Romku i A'Tomku (wychodzące w formie książkowej od 1966 roku) liczą już trzydzieści jeden zeszytów. Krótszych serii (kilka, maksymalnie kilkanaście zeszytów): „Osiedle

Swoboda”, „Yorgi”, „Jeż Jerzy”, „Bler” w Polsce wydaje się lub wydawało bardzo wiele. W słowach Rosińskiego – będących olbrzymim skrótem – odnalazłbym jednak inną paralelę komiksu i zasad rynkowych w Polsce. Bardzo zresztą widoczną podczas łódzkiego festiwalu. Warto przypomnieć, że komiks Goscinniego i Uderzo (przynajmniej pierwsze albumy) był wydawany początkowo dzięki dotacjom ministerstwa edukacji, a dziś obaj woje z galijskiej wioski są uznawani za dobro narodowe i rewelacyjne narzędzie promocji francuskiej kultury. Wreszcie zachodni odbiorca jest przywiązany do serii i z radością kupuje roczne, dwuletnie zeszyty, gdy u nas wciąż czuć presję nowości. Album obecny na rynku kwartał już jest archeologiczną ciekawostką.

Ten „polski syndrom” – jak w kropli wody pod mikroskopem – widoczny był na MFKiG, jeśli widowie kupują zeszyt, to tylko taki, którego autor jest obecny przy stoisku lub w strefie autografów. Komiks bez autografu (w formie rysunku) nie ma już większej wartości. Bardzo podobnie działać zaczęły targi książki – nowość bez podpisu przestaje być kupowana. Stąd ta, nawet momentami nadprodukcja autorów na

festiwalach i targach. Z drugiej strony wymusza to na organizatorach z łodzi ciągłą rotację, poszukiwanie, zaproszenia dla nowych, wciąż nowych artystów. Obok nowości ten festiwal to neorenesans starych serii. Nie mam na myśli tylko antologii odnowionego „Relaxu”, tłoku przy stoiskach z wydaniem „Świata Młodych” i powodzenia serii o Lucky Lucku. Przede wszystkim przyjazd największej gwiazdy festiwalu – Jima Lee,



**Jeśli widzowie kupują zeszyt, to tylko taki, którego autor jest obecny przy stoisku lub w strefie autografów.**



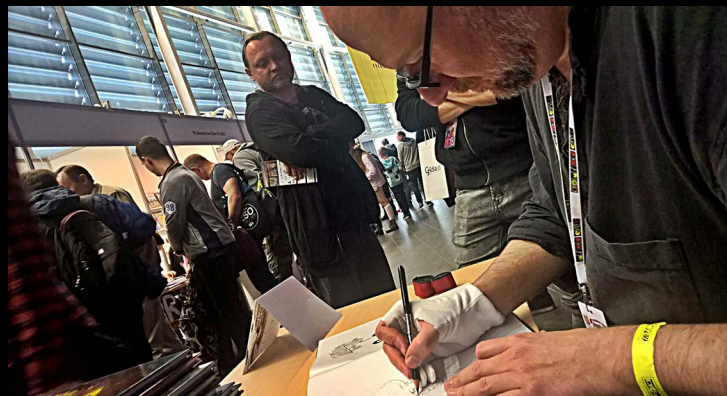
który promował serię DC Comics „Odrodzenie” będącą rewitalizacją dawnych bohaterów i ich wrogów.

Gdzieś na obrzeżach tej łupinki orzecha (całe centrum, poza chwilowym pobytom Jima Lee, strefą autografów, konkursem cosplay), której centrum zajęty



Antykwarjat dla kolekcjonerów

gry komputerowe, trzeba szukać miejsca, poza celebrytym, wielkimi światowymi premierami, renesansem starych serii i kompletną niszowością. Może sposobem jest wydawnictwo Rafała Szłapy, który od lat sam pisze scenariusze i rysuje Blaira, drukuje i potem osobiście rozprawia zeszyty? Może jak niemiecki rysownik Ingo Romling, ignorować system numerków i kolejki, sięść poza autografową zoną i tam podpisywać cały dzień albumy. Gdzieś w tym krajobrazie giną niezliczne wystawy w Atlas Arenie. Pozostałe są pokazywane w innych częściach miasta i ta decyzja budzi we



Fot. Paweł Chmielewski

Ingo Romling podpisuje komiks

mnie uczucia, co najmniej ambiwalentne. Gdzieś poza rzeczywistością targową, artystyczną, w tym radosnym chaosie MFKiG, istnieje równoległy świat towarzyski – to jedyne miejsce w Polsce, gdzie raz do roku lub co parę lat można spotkać dawno niewidzianych znajomych i radośnie afirmować rzeczywistość nieoficjalną a nawet aspoteczną.

Każdy festiwal kończy się wręczeniem nagród. W konkursie na krótką formę komiksową Grand Prix zdobyli Piotr Szulc (scenariusz) i Kamila Kozłowska (grafika) za pracę „Król”, I nagrodę – Tomasz Kontny (scenariusz) i Leszek Wicherek (grafika) za „Muzeum mnie”, II – Yann-William Bernard (scenariusz i grafika) za „Holy Days”, III – Łukasz Piotrkowicz (scenariusz) i Krzysztof Budziejewski (grafika) za „Sen Hieronima B”, wyróżnienia – Krzysztof Dzikiewicz (scenariusz) i Katarzyna Urbaniak (grafika), „Krok po kroku”; Marcin Podolec (scenariusz i grafika), „Instynkty”; Tomasz Kontny (scenariusz) i Mikołaj Ratka (grafika), „Winda”. Najlepszy album ubiegłego wieku to „Będziesz smażyć się w piekle” Krzysztofa „Prosiaka” Owedyka, blog „Na Plasterki!!!” otrzymał nagrodę im. Papcia Chmiela za wybitne zasługi dla polskiego komiku. ■



Adam Rusek i Grzegorz Rosiński

# Puszka Pandory i Bela Lugosi

Grzegorz Niemiec

**Wobec wapiennych skał, w wymarzonej dla przedstawienia faustowskiej „Nocy Walpurgii” scenerii Amfiteatru Kadzielnia w Kielcach odbył się Rockowy Sabat, który w żartobliwy sposób – choreografią nawiązywał do podań i legend o złotych czarownic na Łysej Górze. Na koncercie wystąpiły gwiazdy muzyki rockowej lat 90.: De Mono, Oddział Zamknięty, Mr. Zoob, Big Day i OMD. Muzycy Orchestral Manoeuvres in the Dark doskonale zaprezentowali się w czasie transmisji live – jaką przeprowadziła 26 sierpnia br. ogólnopolska stacja TV – jeszcze lepiej wyglądają w teledyskach w poetyce new romantic.**

PRZYKŁADOWO UTWÓR „PANDORA’S BOX” (inny tytuł „It’s a Long, Long Way”) to singiel z albumu Sugar Tax z 1991 r., klip przypomina muzyczny medalion – monument na cześć emanującej sex appeal – aktorki i tancerki Louise Brooks. Andy McCluskey ogląda fotografie Brooks i tańcząc na tle ogromnego muralu, popkulturowego otarza w miejskim tunelu, naśladuje rewiowe kroki aktorki w synthpopowej aranżacji. Teledysk zawiera sceny z niemego filmu „Puszka Pandory” G.W. Pabsta z 1928 r., gdzie Louise Brooks (Lulu) gra postać tragicznej femme fatale, która uwodzi mężczyzn i kobiety, zabija męża, i chociaż udaje jej się skutecznie ukrywać przed policją, to ginie z rąk londyńskiego zabójcy kobiet Kuby Rozpruwacza, bowiem film Pabsta jest moralitetem i zbrodnia nie może obyć się bez kary. Zdjęcia w ostrej czerni z bielą bądź w mglistej tonacji podkreślają urodę i fotogeniczność Louise Brooks.

Teledysk OMD można zaklasyfikować jako klip ilustracyjny, ponieważ wiernie cytuje film z odległej perspektywy czasowej (napisy na początku informują explicite, że wszystkie użyte tu sceny pochodzą z „Puszki Pandory” Pabsta).

Inny typ to wideoklip promujący, tu materiał filmowy też jest w niezmienionej formie, ale dobór ujęć determinuje ich atrakcyjność, w taki sposób żeby zarekomendować konkretny tytuł, który wchodzi na ekrany kin. Można uznać, że to rodzaj zwiastuna, tylko

producent stara się dotrzeć do widza przez nieco inne zaangażowanie – zmysłu słuchu. Często w takim przypadku tytuł piosenki i filmu jest identyczny np. Li-mahl „The Never Ending Story”, Duran Duran „A view to a kill”, Tina Turner „GoldenEye”.

Incydentalnie można zgodzić się na kompromis: „Pierwszy pocałunek”, utwór Gary Guthmana i kieleckiego jazzmana Włodka Pawlika, kompozytora muzyki do produkcji Borysa Lankosza, jest przykładem teledysku ilustracyjnego i promującego, instrumentalną impresją na temat „Rewersu” (2009) z filmowym pocałunkiem Agaty Buzek i Marcina Dorocińskiego; klip miał premierę trzy tygodnie po filmie i przyczynił się do utrzymania jego popularności.

Trzecia grupa to teledyski kreatywne, odwołują się do dzieł kinematografii estetycznie: kolorystyką, scenografią lub przez umieszczenie w diegezie wideoklipu konkretnego rekwizytu z filmową przeszłością, albo takie, gdzie muzycy precyzyjnie powtarzają jedno bądź szereg ujęć i często w zgodzie z istniejącą w filmie logiką czasowo-przestrzenną realizują „na nowo” krótki *muzyczny remake* interesującego tytułu. Przeważnie przedmiotem eksploracji twórczych jest kino klasyczne, rozumiane jako kultura wysoka, popularyzowana przez teledysk, który staje się produktem popkultury bądź

**Zabawa w cytowanie bierze górę nad obsesją projektowania aktu idealnej recepcji z odbiorcą świadomym zapożyczeń.**



zyskuje nick – *kultowy* oraz możliwość awansu do elity. Zabawa w cytowanie bierze górę nad obsesją projektowania aktu idealnej recepcji z odbiorcą świadomym zapożyczeń (por. U. Eco „Lector in fabula”), odbywa się na terytorium postmodernizmu i awangardowych gatunków jak cover, remake i spin off.

Intertekstualne możliwości z premedytacją wykorzystał Falco (właśc. Hans Hölzel) w hipnotycznym teledysku z gatunku trance. „Jeanny” to ciekawa parafraza „M-mordercy”, Fritza Langa z 1931 r., opartego na historii seryjnego mordercy dzieci z Düsseldorfu Petera Kürtena. We wstępie widzimy neon z napisem Motel Bates – hołd dla Hitchcocka, później Falco

śledzi w labiryncie miasta dziewiętnastoletnią dziewczynę, którą chce porwać, klip pulsuje stroboskopowym światłem i bałamuci: nie wiadomo czy to rekonstrukcja zdarzeń czy projekcja jaźni psychopaty. Filmowy Kürten (Peter Lorre) lubi gwizdać fragment suitę Griega, prowadzi to do jego rozpoznania przez niewidomego sprzedawcę balonów i oznaczenia literą „M”. Podobnie w teledysku: ślad po szkolnej kredzie „F” na czarnym prochowcu przyczyni się do złapania i osadzenia Falco w zakładzie dla obłąkanych, tu też jest sprzedawca balonów i właśnie on demaskuje austriackiego muzyka w jego osobistym, wieloznacznym i potencjalnym filmie „F-Falco”, który jako „Jeanny” doczekał się kilku sequelei.

Twórczość The Bates to istny postmodernistyczny kolaż. Nazwa grupy pochodzi od nazwiska Normana Batesa, a najpopularniejszy utwór, cover Michaela Jacksona „Billie Jean” jest punkowym remake’em „Psychozy” (1960) Alfreda Hitchcocka, w którym wokalista Markus „Zimbl” Zimmer zastępuje Batesa (Anthony Perkins). Teledysk ma charakter retrospekcji – okryty w policyjny koc Zimbl przypomina sobie okoliczności przyjazdu do motelu dziewczyny Billie Jean – z fabułą zawężoną do relacji zabójcy – psychotyka i ofiary z ekspresyjną sceną morderstwa pod prysznicem i bez pruderyjnych reguł Kodeksu Haysa.

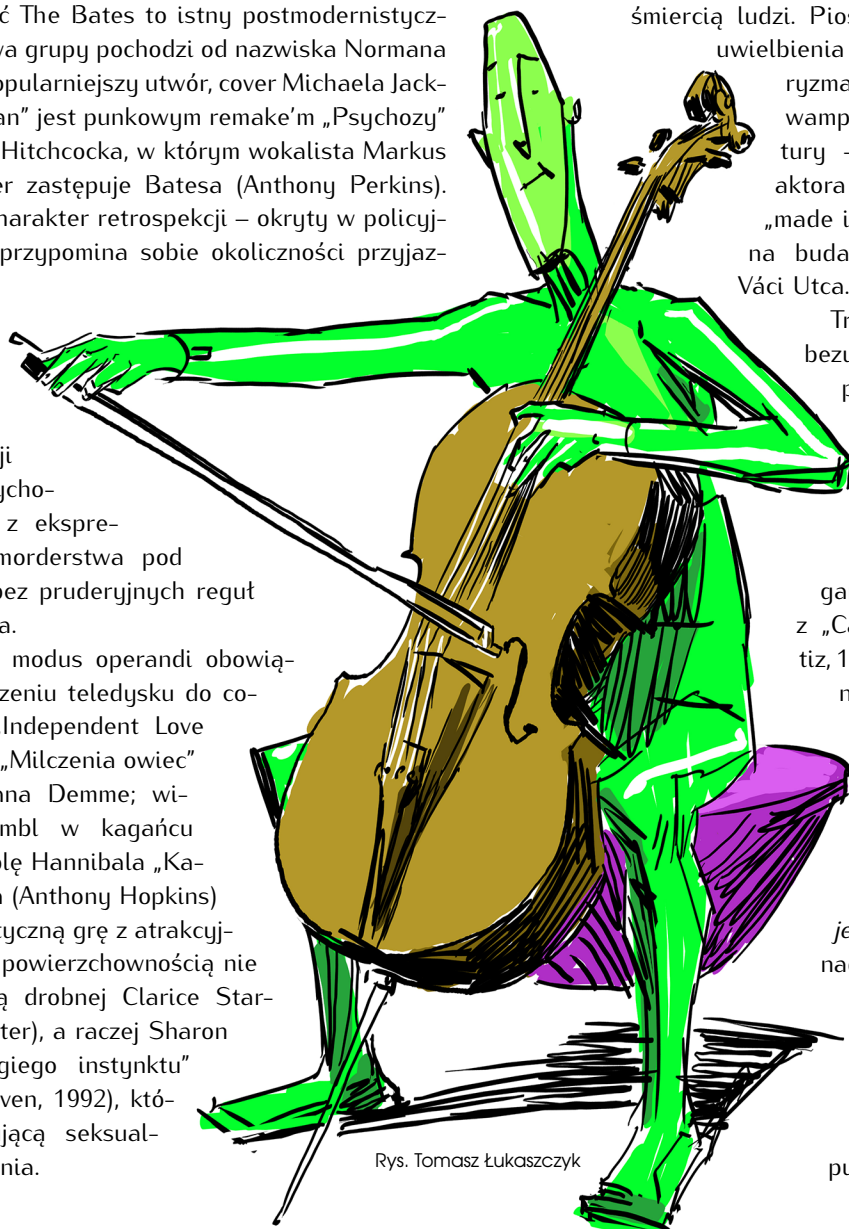
Taki sam modus operandi obowiązuje przy tworzeniu teledysku do coveru Scarlet „Independent Love Song”, résumé „Milczenia owiec” (1991) Jonathana Demme; widzimy jak Zimbl w kagańcu wciela się w rolę Hannibala „Kannibala” Lectera (Anthony Hopkins) i prowadzi erotyczną grę z atrakcyjną blondynką, powierzchownością nie przypominającą drobnej Clarice Starling (Jodie Foster), a raczej Sharon Stone z „Nagiego instynktu” (reż. P. Verhoeven, 1992), której skandalizującą seksualność przedrzeźnia.

Zawrotną karierę The Bates przerwała spowodowana chorobą alkoholową śmierć Markusa Zimmera, pozostała pusta grafika z internetowej strony: dom Normana i jego matki.

Bywa i tak, że proporcje mogą być inne: wideoklip Bauhaus „Bela Lugosi’s Dead” jest integralną częścią czotówki filmu „Zagadka nieśmiertelności” (1983), w której Tony Scott odkrywa tajemnicę długowieczności wampirów z Manhattanu. Przerażliwie chudy Peter Murphy wpięty w metalową kratę w *chiropterycznym tańcu*, chce się wydostać na upiorną ucztę poza teledysk, wielokrotnie przetamany ujęciami uwodzenia przez wampiry swoich ofiar – to preludium do seksualnego aktu pożywania się krwią, zakończonego śmiercią ludzi. Piosenka jest świadectwem

uwielbienia dla Beli Lugosi’ego, charzmatycznego odtwórcy ról wampira, dziś ikony popkultury – t-shirt z wizerunkiem aktora i krajem pochodzenia „made in Hungary” można kupić na budapeszteńskim deptaku – Váci Utca.

Trafna klasyfikacja będzie bezużyteczna w przypadku przekazu, który bardziej jest poezją niż teledyskiem. „Świerszcze” Świetlików to muzyczna ilustracja z Humphreym Bogartem i Ingrid Bergman z „Casablanki” (reż. M. Curtiz, 1942), nie ma w niej Marcina Świetlickiego, ale słychać z offu jego zdarty od papierosów głos: *Powiedziałem: znam takie miejsce, gdzie przychodzą umierać koty. Zapytałem: chcesz je zobaczyć? I trzeba mieć nadzieję, że poeta – Świetlicki znajdzie się w krakowskim pubie „Piękny pies”, a później na koncercie (pop)kulturalnie bez bisów, wyśle całą publiczność do domu.* ■



Rys. Tomasz Łukaszczyk

Paweł Chmielewski

# Miejsce ciszy

Dwa miesiące temu ukazał się trzeci tom (zatytułowany „Jellinge”) serii „Lux in tenebris”. Autorem historii jest Sławomir Zajączkowski, scenarzysta komiksów wydawanych przez IPN (m.in. „Zamach na Kutschere”, „Akcja pod Arsenalem”), rysownikiem – Hubert Czajkowski z Lipska (nieдалеко Ostrowca Świętokrzyskiego), absolwent Zespołu Państwowych Szkół Plastycznych w Kielcach z jej „złotego okresu”, gdy uczęszczano tam wielu, późniejszych twórców opowieści graficznych.

POSTARAIMY SIĘ NAPIERW zarysować tło historyczne serii. Tom pierwszy otwiera datowanie 1039 r. – interesujący czas, po upadku Mieszka II w państwie Polan panował kilkuletni chaos, nazwałbym go nawet „małą smutą” – powstania ludowe, najazdy Prusów i Czechów, wreszcie sklepanie dzielnic przez Kazimierza I, zwanego później Odnowicielem. Ciekawy i słabo rozpoznany okres w historii. Teraz rozszyfrujemy tytuły poszczególnych albumów – w przypadku komiksów Zajączkowskiego i Czajkowskiego są one istotne i stanowią trop interpretacyjny. Tom pierwszy „Romowe” odsyła nas do wymarzonego w XVII w. języka Prusów.

W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” (wyd. w latach 1880-1914) czytamy: *Mianem tem oznaczali starzy Prusacy siedzibę bogów, miejsce ofiarne, świątynne. (...) Oznacza ona dostownie*

*miejsce ciszy. (...) Wśród „świętego” lasu, na obszernej płaszczynie, znajdował się ten przybytek bogów. W środku stał dąb święty, niezmiernej grubości i wysokości. Do kota drzewa był obwód sześciokątny z kamieni; (...) Przed dębem ku ścianie otwartej stały ołtarze do palenia ofiar i utrzymywania ognia świętego. (...) Ofiary składano w płodach, zwierzętach i ludziach. Uważano to jako szczególną taskę bogów, kiedy kto wskutek porażenia gromem umierał; było to bowiem znakiem, że go Perkun do grona bogów powołał. (...) Poza domami kaptanów rozciągał się las kilkumilowego obszaru. I ten las był święty. Obcym nie wolno było doń wstąpić, kto zakaz przekroczył padał ofiarą, a krew jego zraszała korzenie świętego dębu. Taż sama kara czekała tego, kto by się drzewo w gaju świętym ścinał, zwierzę lub ptaka zabił, a nawet uszche drzewa i chrust zabrać poważył. Najwyższy kaptan zwał się krywe-krywejtą. (...) Temuż przy boku i do pomocy stali liczni kaptani. W Romowie było ich trzy klasy. Najwyższą byli t.z. wajdeloci albo krywejci. Celtyckie skojarzenia, tak powszechnie eksplorowane przez literaturę fantasy, seriale, kulturę popularną i językowy relik, a obok – niebezpieczne – odniesienie do powieści poetyckiej Mickiewicza. Tom drugi – „Wilcza gontyna”. Drugi człon tytułu to neologizm, stworzony w poł. XIX w. przez Bronisława Trentowskiego, mający być polskim odpowiednikiem rutenizmów „kącina” i „kupiszta”, które oznaczały „chram” – święte miejsce, często z budowlą sakralną u dawnych Słowian. Tom trzeci – „Jellinge” – odsyła nas do archeologii i historii sztuki. Funkcjonuje pojęcie „stylu Jellinge”, który bierze nazwę od duńskiego Jellinge, miejsca pochówku wikingiego króla Gorma (poł. X w.), w którego grobie*

odnaleziono charakterystyczny puchar z motywem dwóch splecionych, w kształt litery S, zwierząt. Tak rozstrzelone tytuły, nazwy z wielu języków, przenoszące nas w obręb Prus (Sambii), okolice Grodów Czerwieńskich na Rusi i domenę Wikingów – sugerują wykorzystanie przez autorów jednego z bardziej charakterystycznych dla kultury motywów wędrownych – toposu podróży.

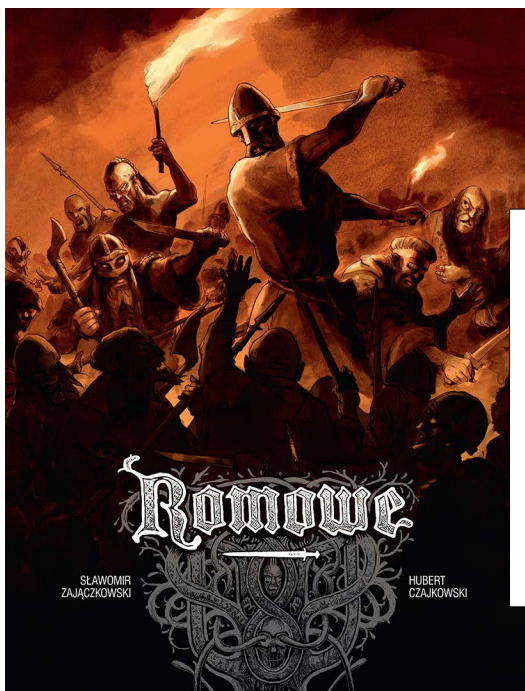
Osnowa fabularna komiksu „Romowe” również sięga do sprawdzonych konwencji – poszukiwania artefaktu przez śmiatków, wyruszających do tajemniczej, dzikiej krainy. Tym artefaktem jest czaszka św. Wojciecha, uratowana z najazdu czeskiego księcia Brzetysława i ukryta na Mazowszu. Artefakt, co ciekawe i być może wymagałoby osobnej rozprawy, w realizacjach popkulturowych bardzo często odwołuje się do symboliki chrześcijańskiej – od Indiany Jonesa, do trylogii filmowej „Bibliotekarz”. Zestaw zachowań i reakcji bohaterów jest również kanoniczny (bo tak buduje się



**Chaos,  
powstania ludowe,  
najazdy kreślone  
tuszem.**



prawie każdą opowieść z kręgu popkultury – zgodnie z „Morfologią bajki” Proppa – mamy zdradę (Suta), złego (Ulfgar, kaptan Buzzi), metamorfozę ideową (Daiwa). Główni bohaterowie symbolizują, zgodnie z doktryną, dwa filary średniowiecznej monarchii europejskiej – miecz (rycerz Wojmir) i krzyż (mnich Jakusz). Metafizyczne zderzenie dwóch religii to również atrakcyjny wątek, który „podkręca” akcję – z charakterystycznymi antynomiami: dobro-zło, miłosierdzie –brutalność. Krwawe obrzędy są widowiskowe i chociaż niewiele (lub prawie nic) nie wiemy o religii Prusów, to w imię konwencji akceptujemy wizję ofiar z ludzi, przyjętą tak dobrze we wspomnianym Kinie Nowej Przygody autorstwa Stevensa Spielberga. Na poziomie historycznym, znając tragiczne losy ludu – moglibyśmy odbierać „Romowe” jako obraz zmierzchu kulturowej formacji, obrazu świata, gdzie istnieli jeszcze, rdzenni mieszkańcy. Autorzy komiksu oczywiście nie interpretują swej opowieści jako, chociażby, figury zestawiającej Prusów z Indianami



Romowe, scenariusz Sławomir  
Zajączkowski, rysunki Hubert Czajkowski  
58 s.; 29 cm  
Warszawa: Unzipped Fly Publishing, 2013  
821.162.1-91

odnaleziono charakterystyczny puchar z motywem dwóch splecionych, w kształt litery S, zwierząt. Tak rozstrzelone tytuły, nazwy z wielu języków, przenoszące nas w obręb Prus (Sambii), okolice Grodów Czerwieńskich na Rusi i domenę Wikingów – sugerują wykorzystanie przez autorów jednego z bardziej charakterystycznych dla kultury motywów wędrownych – toposu podróży.

Ameryki Północnej. „Lux in tenebris”, czyli „światło w ciemności” (cytat ze św. Jana, zawarty w Wulgacie) wolalibyśmy odczytać jako wychodzenie z cienia ku odradzającej się państwowości pierwszych Piastów. Dzięki zastosowaniu tej właśnie – znanej uczestnikowi kultury – siatki toposów, umieszczonej w egzotycznej (sic!), cudownej, na poty mitycznej rzeczywistości – sprawia, że zagłębiamy się w „Romowe” z przyjemnością.

Gdy już jesteśmy przy świetle i ciemności, zatrzymajmy się nad rysunkami Huberta Czajkowskiego. Ilustrator m.in. książek Jacka Komudy i rpg „Dzikie Pola” (także graficznej oprawy magazynu „Komiks i my”) już wcześniej „wgrzyzł” się w tematykę historyczną i poetykę charakterystyczną dla komiksu akcji – jego rysunki są ekspresyjne,

pełne dynamiki – dokładnie takie, jakich wymaga tematyka serii „Lux in tenebris”. Czarno-białe, kreślone tuszem, operują światłocieniem (głównie cieniem), metaforycznie ukazując frazeologizm – „mroki średniowiecza” i oddają klimat chaosu, z którego władca piastowskiego państwa mógł się wyłonić niekoniecznie Kazimierz, a być może mazowiecki książę Miecław. Sama fabuła postawiła przed rysownikiem ciekawe wyzwanie: wykreowania – bez jakiegokolwiek umocowania w istniejącej ikonografii, bo takiej brak – świata Prusów. Skrzyżowanie, zwłaszcza w scenach obrzędów religijnych, popularnego wizerunku plemion celtyckich (lub fryzyjskich) z rdzennymi Amerykanami, dało interesujący, poza rysunkowy kontekst dla interpretacji utworu. Przy obudowie graficznej każdego z tomów

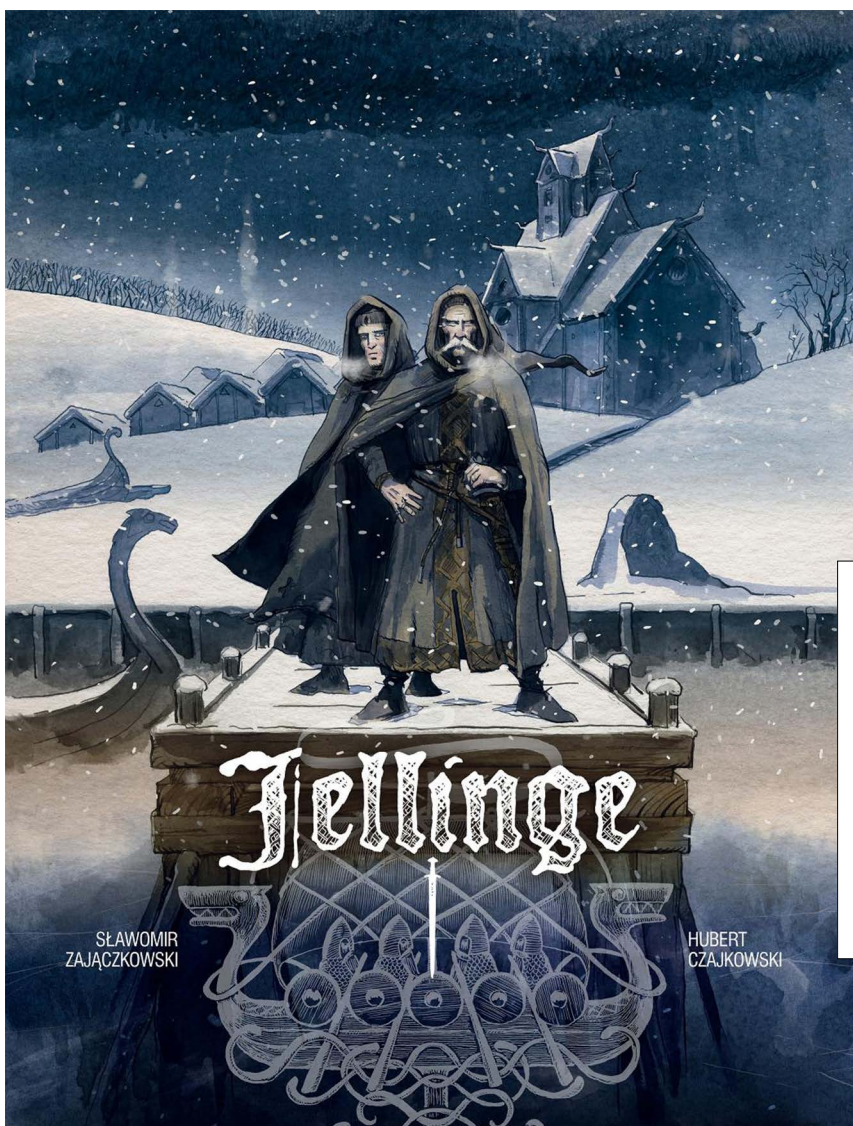


**Wilcza gontyna**, scenariusz Sławomir Zajackowski, rysunki Hubert Czajkowski  
 78 s. ; 29 cm  
 Warszawa : Unzipped Fly Publishing, 2015  
 821.162.1-91

dobrym pomysłem jest również, stylizowana na stare mapy i spotykana w niektórych dziełach literatury fantasy, wkładka z planem obejmującym akcję utworu.

Dwie kolejne części – „Wilcza gontyna” i „Jellinge” – konstrukcyjnie, fabularnie, ideowo, są kontynuacją tomu pierwszego. Zmienia się oczywiście miejsce akcji – na Grody Czerwieńskie i mroźną Danię. Wciąż jest to komiks gatunkowy – tym razem (tom drugi) rolę sił ciemnych odgrywa plemię/ horda – Wilkunów. Ta ludzko-wilcza hybryda, zamieszkująca bagna na Rusi porywa księżniczkę Dobroniegę, narzeczoną Kazimierza Odnowiciela.

Na ratunek wyruszają oczywiście Wojmir i Jakusz. Jaką funkcję pełni w tej scenografii angielski duch lasu Hern? Odsyłam do obejrzenia tekstu i przeczytania obrazu „Wilczej gontyny”. Trzeci (jak na razie) tom porzuca cudowność i lekki, choć rodem z koszmaru oniryzm poprzednich albumów – „Jellinge” jest komiksem akcji w stanie czystym. Z Wikingami w rolach bohaterów. Scenariusz skręca w stronę „ptaszca i szpady” – lub precyzyjniej, biorąc pod uwagę realia XI-wieczne – „miecza i kolczugi”. Jest bardziej sienkiewiczowski od dwóch poprzednich odston. Jeśli dodamy, że w finale drużyna rozrasta się do trzech osób, to oznacza jedno – ciąg dalszy. ■



**Jellinge**, scenariusz Sławomir Zajackowski, rysunki Hubert Czajkowski  
 58 s. ; 29 cm  
 Warszawa : Unzipped Fly Publishing, 2017  
 821.162.1-91



Darsud Li (Andrzej Wójcik)

**Ajrun**

363 s. ; 30 cm

Wydawnictwo Samsandra, 2016

821.162.1-3

Agata Orłowska

# Sny, które zmieniają rzeczywistość

Każdemu gdzie indziej przebiega granica między fantazy a tym, co metafizyczne.



Wydawać się może, że „Ajrun” to jeden z tych książkowych tytułów, które bez solidnej zachęty do spenetrowania treści, zwyczajnie giną w gąszczu wydawniczym, ujawniając swój potencjał tylko nielicznym.

ZESTAWIENIE GO Z NIEZWYKŁĄ OKŁADKĄ, ukrytą pod nią figlarnością tytułowej czcionki, a także tajemniczo brzmiącym nazwiskiem twórcy to jednocześnie zwinna katapulta do opisu, po którym autor chyba ma już docelowego czytelnika w garści. Jak tu bowiem przejść obojętnie obok tak brawurowego potężenia, jakim jest romans fantazy, powieść awanturnicza i metafizyczna rozprawa, gdy interesuje nas co najmniej jeden z tych gatunków?

Darsud Li, czyli Andrzej Wójcik, kielczanin, absolwent stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz szwedzkiej szkoły dla managerów organizacji pozarządowych, reżyser (m.in. wielokrotnie nagradzanego dokumentu „Brand New World” opartego na futurystycznej wizji Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat”), były pracownik naukowy Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz TVP Kielce, debiutuje pisarsko w sposób dojrzały i obiecujący.

Od początku do końca (począwszy od warstwy metatekstowej) konsekwentnie prezentuje tajemniczą rzeczywistość, wypełniając ją nie tylko ludźmi, ale i oryginalnymi postaciami czerpiącymi z ezoteryki, dołączając wspaniałe ilustracje i teksty poetyckie, mnożąc wątki, a nawet światy. Mamy tu do czynienia z pewnym ukrytym porządkiem, który dopiero po czasie zaczyna wyłaniać się z chaosu i odstaniać przed nami swoją

maestrię, szerszą i głębszą perspektywę. Zanim to jednak nastąpi, trzeba trochę cierpliwości. Po leniwym i zagmatwanym nieco wstępie, akcja nabiera wreszcie tempa, a domieszka erotycznej pikanterii pozwala uruchomić wyobraźnię i dać się w pełni ponieść autorskiej fantazji poprzez morza, wyspy i interior Nowej Afryki.

Dzięki nieprzewidzianym losom bohaterów o egzotycznie brzmiących imionach, m.in. Keltana Remu, La Rin, Bali Kana, Ferke, Jok da Salo, Jorn kal Duraja i Sadu możemy poddać się refleksji a temat kilku ważkich problemów, jak choćby nieodwracalnego, zgubnego wpływu cywilizowanego człowieka na pierwotne piękno i mądrość natury czy uwikłania współczesnego świata w materię i podświadomą manipulację pod płaszczykiem wzniosłej duchowości. Możemy również pochylić się nad tematem nieśmiertelności, wędrówki dusz, bądź zgłębić metaforę mistycznego drzewa, którego orzechy obdarowują wglądem w naturę rzeczywistości i mocą jej kreowania. Czy to jednak wystarczy, by nazwać powieść „Ajrun” rozprawą metafizyczną? I czy nadana jej ogólna formuła jest w stanie taki charakter w ogóle udźwignąć? Myślę, że każdy, kto chce sięgnąć po lekturę właśnie z taką ciekawością, powinien sam udzielić sobie odpowiedzi, w końcu dla każdego gdzie indziej może przebiegać granica między fantazy a tym, co metafizyczne...■



Małgorzata Angielska

# Lochy i smoki na początek



**Gry fabularne jako nowy dyskurs naukowy i osobna dziedzina wiedzy.**

**W 2014 r. minęło 40 lat od opublikowania przez wydawnictwo TSR „Dungeons & Dragons”, gry przygotowanej przez Gary’ego Gygaxa i Dave’a Arnesona. Wydany w niewielkim nakładzie tytuł dał początek zupełnie nowemu rodzajowi gier, a tym samym stał się mocnym fundamentem dla szeregu społeczno-kulturowych zjawisk, które wyrosły wokół RPG.**

FENOMENOWI I KULTUROWYM praktykom z nim związanym poświęcony został tom rozpraw „Gry fabularne. Kultura – praktyki – konteksty” opublikowany przez Stowarzyszenie Badaczy Popkultury i Edukacji Popkulturowej „Trickster”.

Z lektury dowiadujemy się, jak dobrym przedsięwzięciem było publikowanie podręczników do gier fabularnych i produktów im towarzyszących, jak wokół RPG wyrosła kultura fanowska z własnymi produktami: instytucjami, obiegiem informacji, a także socjolektem. Popularność ta sprawiła, że fenomen gier fabularnych dostrzeżono również poza wąskim kręgiem zainteresowanych.

Tym samym stały się gorącym tematem, który rozgorzał w wielu środowiskach – począwszy od religijnych konserwatystów, niepotrafiących przełamać tabu oraz wewnętrznych nakazów moralnych. „Epidemia” (jak ją niektórzy określali) wybuchła już w latach 80. minionego wieku w Stanach Zjednoczonych i doprowadziła do burzliwych debat w przestrzeni publicznej, aby na koniec wzbudzić zainteresowanie nobliwych akademików. Wytworzył się nowy dyskurs naukowy, powstała osobna dziedzina wiedzy.

W omawianym tomie przywołano eseje prezentujące badania m.in. nad narracją gier fabularnych, LARP-ami, grami komputerowymi, oraz czysto teoretyczne podejście akademickie. Jednakże wspólnym

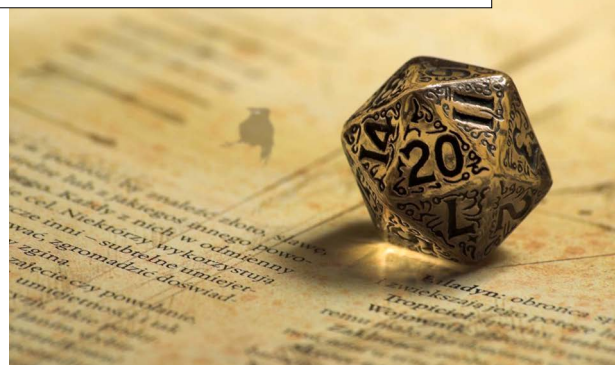
celem autorów było wykazanie pewnych kulturowych praktyk powiązanych z RPG.

Czytelnicy książki znajdą w niej artykuły na temat wpływu gier na współczesną kulturę wampiryczną (Michał Wolski), wolności twórczej autorów książek osadzonych w światach RPG – w tym m.in. „Forgotten Realms” (Olaf Pajęczkowski), strategii adaptowania twórczości Howarda Phillipsa Lovecrafta na potrzeby gier (Robert Dudziński), inscenizacji postapokaliptycznego świata w LARP-ie (Celina Strzelecka) oraz poetyki narracji środowiskowej w RPG (Jakub Krogulec). Stanisław Krawczyk i Robert Dudziński – na zakończenie zbioru referatów – zamieścili również bibliografię polskich tekstów naukowych poświęconych narracyjnemu grom fabularnym.

„Gry fabularne. Kultura – praktyki – konteksty” to już siódmy tom wydany przez Stowarzyszenie Badaczy Popkultury i Edukacji Popkulturowej „Trickster”. Za jego redakcję naukową odpowiedzialni byli Robert Dudziński i Anna Wróblewska, członkowie stowarzyszenia. Autorzy proponują również zapoznanie się z innymi publikacjami wydanymi przez „Trickster”, a powiązane tematyką z tematem numeru, m.in.: „Wybory popkultury. Relacje kultury popularnej z polityką, ideologią i społeczeństwem”, „Wiedźmin – polski fenomen popkultury”, „Groza w kulturze polskiej”.



**Gry fabularne. Kultura – praktyki – konteksty,**  
 pod redakcją Roberta Dudzińskiego i Anny Wróblewskiej  
 118 s. ; 24 cm  
 Wrocław : Stowarzyszenie Badaczy Popkultury i Edukacji Popkulturowej „Trickster”, 2016  
 3167.7937





## MCM i PC Palimpsest na murach i organy Hammonda

PC: Fajną płytę wczoraj słyszałem.

MCM: ?

PC: Fiński zespół Fatal Casualties nagrał płytę „Filter”.

Podobno Martin Gore z Depeche Mode bardzo żałował, kiedy ogłoszono, że Finowie nie będą ich supportem podczas trasy koncertowej w krajach bałtyckich.

MCM: Googluję, że w Polsce również...

PC: Tak, ale nie o płycie chciałbym wspomnieć, tylko o teledyskach (do utworów „Kramp” i „Drown”, które w wykonaniu Fatal Casualties są esencją popkultury, a o niej dziś porozmawiamy.

MCM: Najpierw ustalmy, czym jest popkultura.

PC: Od kilku lat jestem przekonany, że podziaty na kulturę wysoką, niską, elitarną i masową, zaczynają tracić sens, wszystko jest podszyte popkulturą, ale...

MCM: ... jak mawiał jeden z bohaterów „Cry o tron”...

PC: ...wszystko, co przed „ale” nie ma większego znaczenia. Zostańmy przy trochę konserwatywnej nomenklaturze – popkultura to sztuka ulicy, muzyka, szeroko pojęta rockowa, seriale, komiksy, literatura nurtów SF, fantasy, kino blockbusterów, telewizja, malarstwo Andy’ego Warhola i Roya Lichtensteina. Wracam jednak do teledysku, od którego zacząłem, bo przecież wideoklipy, to popkultura w stanie krystalicznym. „Kramp”, wyprodukowany w tym roku, dzięki stylizowanemu, archaicznemu montażowi (i ścieżce dźwiękowej), naśladuje MTV z lat 80. Jest modelowym przykładem tego, czym jest popkultura – palimpsestem.

MCM: To już musisz czytelnikom wyjaśnić.

PC: Najlepiej na przykładzie. W latach 60. – pewnie zaczęło się na

dobrych od eseju Johna Bartha „Literatura wyczerpania” – istnieje pogląd, że w sztuce nie można stworzyć nic absolutnie nowatorskiego, a proza, poezja, scenariusz filmowy, sztuka teatralna cały czas korzystają z kilku odwiecznych archetypów, wymyślonych jeszcze w starożytności. Popkultura, to jasne, też nie jest od nich wolna, ale – w odróżnieniu od dzieł kultury „wysokiej” – jawnie do nich nawiązuje, parodiuje w setkach konwencji. Dam przykład klasycznej sceny z filmu „Szczęści” – na łodzi Richard Dreyfuss i Robert Shaw, wcześniej mówiąc wprost nie przepadający za sobą, pokazują blizny, które zadali im podczas wypraw różne morskie stworzonka. W tonie prześmiewczym powtórzone to zostaje, chociażby w jednej z części „Zabójczej broni” i wspaniale sparodiowane przez Kevina Smitha w komedii o środowisku komikarzy „W pogoni za Amy”. To są właśnie palimpsesty – na starym tekście, dla zabawy nadpisuje się nowy, o podobnym charakterze, lecz innym znaczeniu. Średniowieczni kronikarze robili tak z oszczędności, kronikarze popkultury... bo wszystko już było, a świat pędzi do przodu i jakaś scena czy dźwięk zostają zapamiętane tylko o tyle, o ile zostaną strawestowane.

MCM: Street art też nazwałbyś palimpsestem?

PC: W znaczeniu zamalowywania po dwóch, trzech latach starych murali?

MCM: Tak.

PC: Żałuję, że nie stworzono dokładnej dokumentacji tego, co istniało i potem zostało zamalowane. Taka, interaktywna mapa sztuki ulicznej, która powstała już w Krakowie, a Kielce, mając może kilkaset obiektów, nie mają niestety jej archiwum.

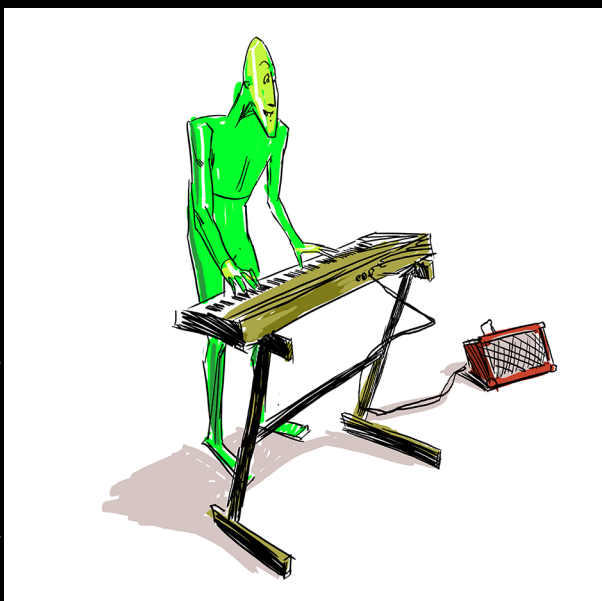
MCM: Wspomniałam o street artcie, bo w Detroit kilkanaście dni temu rozpoczął się ogromny program – artyści-rezydenci w kilku różnych lokacjach, bardzo popularnych wśród grafficiarzy (East Milwaukee, Michigan Avenue, John R. Street, pod wiaduktami, na obwodnicy) tworzą ogromne murale. „Nadpisują” na autentycznym, anonimowym graffiti olbrzymie kompozycje, które niechętni mieszkańcy – a jest ich bardzo wielu – nazywają barbarzyńskimi, niszczącymi prawdziwą sztukę. Najbardziej krytykowany jest Phillip Simpson, który wymalował całą serię internetowych „buziek” i Louise „Ozi” Jones za serię kwiatków. Sama słyszałam już, dość niewybredne, hip-hopowe piosenki uliczne na ich temat. W.C. Bevan i Freddy Diaz, którzy też uczestniczą w projekcie na razie są oszczędzani, ale myślę, że to do czasu. W Internecie czytałam posty, że to sprzedawanie się – i to jest autentyczny wpis – „za srebrniki Duggana” (burmistrz Detroit).

Średniowieczni kronikarze robili tak z oszczędności, kronikarze popkultury... bo wszystko już było.

PC: Zaskakuje mnie, z tego, co mówisz, nie tylko żar dyskusji, ale ten natychmiastowy hip-hopowy komentarz ulicy.

MCM: To normalne. Każda decyzja polityczna, socjalna, dotycząca muzyki, nowej płyty, czy takiej wielkiej akcji jak zamalowywanie tysiąca metrów graffiti jest natychmiast oceniana i komentowana w kilku miejscach. Nikt z tym nie ma problemu, a te komentarze są traktowane bardzo poważnie i nikt oficjalnie nie przyznaje, że należą do „kultury niskiej”. Wydaje się, że nie mamy w ogóle problemu z popkulturą albo raczej z jej zaklasyfikowaniem. Na przykład w Instytucie Sztuki otwarto niedawno wystawę fotograficzną Jenny Risher, portretującą środowisko raperów z Detroit, multimedialna, ze specjalną ścieżką dźwiękową.

Rys. Tomasz Łukaszczyk



Na wernisazu tego vide-artu były tłumy. Obok tego, prawie równocześnie, wyświetlana była, na specjalnym pokazie, polska animacja „Twój Vincent”. Też przy pełnej sali.

**PC:** Z ciekawości, ile kosztował bilet?

**MCM:** Dziewięć i pół dolara.

**PC:** Jak to się przekłada na zarobki?

**MCM:** Godzina pracy w McDonald's. Przy czym mieszkańcy trzech okolicznych dzielnic: Wayne, Oakland, Macomb mają darmowy wstęp.

**PC:** U nas, po potrąceniu podatków, na bilet do kina trzeba pracować czterokrotnie dłużej. A w Kielcach były nawet podobno plany stworzenia muzeum hip-hopu, ale wszystko pozostało w sferze plotek.

**MCM:** Dla nas to nic dziwnego, mamy już kilkanaście takich muzeów (lub wydzielonych części) w różnych miastach. Nie licząc prywatnych sal poświęconych konkretnym raperom, którzy zginęli w ulicznych strzelaninach czy porachunkach gangów.

**PC:** Hip-hopu muzeum nie powstało, ale 28 października otwarto u nas Muzeum Laurensa Hammonda.

**MCM:** Takiego, przyznam się nie mamy, najbliższe, olbrzymie znajduje się w Chicago w dawnych zakładach korporacji Hammonda. Nie są to tylko organy, ale przede wszystkim dokumentacja całej linii produkcyjnej, sprzęt i patenty, które zaprojektował Hammond jeszcze pracując w latach 20. jako inżynier w Detroit, w Gray Motor Company. Dorobił się wtedy na „cichym zegarze” i wyjechał z Michigan.

**PC:** W Kielcach (jednej z nielicznych, obok Berna, takich placówek w Europie), są to przede wszystkim organy – prawie sześćdziesiąt egzemplarzy oraz stolik brydżowy, których produkcją chciał się zająć Hammond, ale nie przyniosły

w oddziale – bo placówka to oddział Muzeum Zabawek i Zabawy – mamy przede wszystkim wycinek muzyczny: instrumenty z serii, na których grali muzycy z Pink Floyd, Focus, Genesis, John Lord z Deep Purple i wielu innych, jest dokładna historia ich autora, prezentacja biograficzna polskich i zagranicznych wykonawców używających podczas nagrań i koncertów organów Hammonda. Otwarcie muzeum to ewenement, jest to pierwsza w Kielcach poważna instytucja kultury o charakterze państwowo-prywatnym. Budynek jest własnością miasta, natomiast właścicielem całej kolekcji jest muzyk i przedsiębiorca (przy okazji posiadacz zbioru ponad 100 tys., winyli) z Kielc – Paweł Wawrzeńczyk. Kolekcja została wypożyczona, mam nadzieję, że to opcja próbna, na trzy lata. Otwarcie trwało kilka dni – towarzyszył mu festiwal z udziałem polskich gwiazd, m.in. zagrał (pewnie kompletnie u was nie znany) Józef Skrzek – założyciel zespołu SBB, ikony i jednego z prekursorów muzyki elektronicznej w Polsce. I to jest bardzo dobry przykład mecenatu i współpracy mieszanej państwowo-prywatnej. Zresztą ostatnio o tym trochę rozmawialiśmy, przy okazji finansowania kultury w Stanach przez fundacje i wielkie korporacje. Mecenate państwowego nie dotykaliśmy.

**MCM:** Dlatego, że on w sposób bezpośredni już praktycznie nie istnieje. Państwo bardzo mocno wspiera i finansuje kulturę

one zysku, nawet w promilu porównywalnego ze sprzedażą instrumentów.

**MCM:** Są szkła do kina 3D?

**PC:** Nie, akurat kino stroboskopowe, z którym eksperymentował wynalazca i które pozwoliło mu wybudować pierwszy zakład w Nowym Jorku, to trochę inna bajka. U nas

poprzez ulgi podatkowe, zwolnienia, ale założony w 1965 roku National Endowments of the Arts stopniowo był wygaszany za prezydentury Ronalda Reagana, kiedy kongres przestraszył się protestów kongregacji religijnych, uznających sztukę współczesną i eksperymentalną za nieobyczajną. Potem w latach 90. były jeszcze pewne niejasności związane z finansami i przykłady nepotyzmu przy przyznawaniu grantów. Dziś instytucje kultury otrzymują tylko mniej więcej około siedmiu procent środków od tej instytucji oraz z budżetów miejskich i stanowych. Resztę każdy musi zdobyć sam. To jest zupełnie inna historia.

**PC:** Pieniądz wprawia w ruch ten świat. Nie porozmawialiśmy jeszcze o przypadku młodej polskiej artystki, która musiała zapłacić prawie pięć tysięcy dolarów za badania dendrologiczne, żeby jej wystawa w galerii nowojorskiej doszła do skutku i o polskim pisarzu Januszu Głowackim, który opowiadał anegdotę, że nawet do toalety trzeba chodzić ze scenariuszem pod pachą, bo nie wiadomo czy sąsiedniej kabiny nie zajmuje wielki reżyser. Nie było też o Garym Numanie, którego płytę recenzujemy w tym numerze i o Trenchie Reznorze, a przecież popkultura kocha buntowników.

**MCM:** Ja w takim razie idę oglądać „Twin Peaks”, bo mam zaległości.

**PC:** W ósmym odcinku jest tam wielka suita wizualna ze ścieżką Pendereckiego i Reznora z Nine Inch Nails.

**MCM:** To wypada tylko ostrzyć ząbki ☺

**PC:** Chociaż ktoś mi napisał, że ten odcinek wypalił mu część mózgu. ;) Ja tymczasem podłączę fragment „Tangines Scales” czyli muzyczny palimpsest, którym Tangerine Dream nadpisali Animalsów. ■

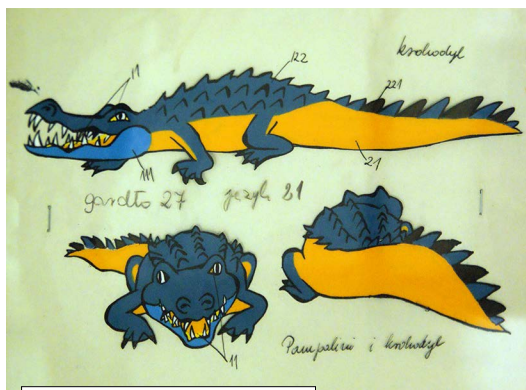


Fot. Tomasz Kozłowski

Izabela Łazarczyk

# Plastuś i inni

„Bohaterowie z ekranu. 70 lat polskiej animacji dla dzieci” to wystawa w Muzeum Zabawek i Zabawy w Kielcach prezentująca postaci z bajek dla dzieci, powstała we współpracy z Muzeum Kinematografii w Łodzi, Studiem Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej, Studiem Miniatur Filmowych w Warszawie, Studiem EGoFILM z Warszawy.



„PAMPALINI, ŁOWCA ZWIERZĄT”  
Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej

WERNISAŻ ZBIEGŁ się z jubileuszem powstania lalkowego filmu animowanego Zenona Wasilewskiego 1947 r. „Za Króla Krakusa”. Jego sylwetka pojawia się na wystawie również w kontekście innych bajek jak np. „Czarodziejskie dary” z 1956 roku. Ten mało znany ludziom niezwiązanym z animacją od strony „technicznej” człowiek, był współtwórcą polskiej szkoły filmu animowanego, ale też malarzem i fotografikiem. Do końca życia związany z „Se-ma-for”-em, który współtworzył.

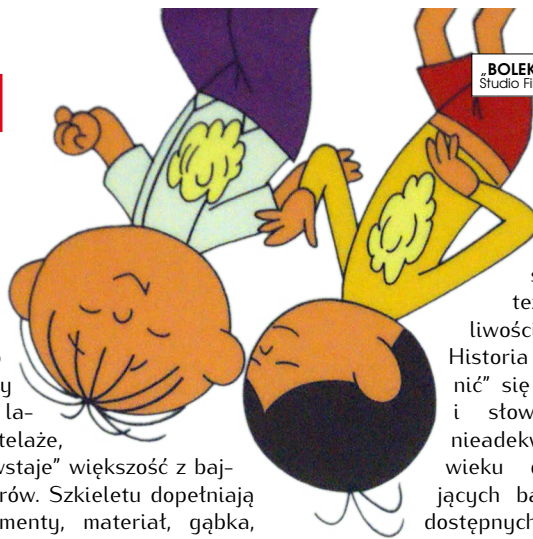
Na wystawie możemy oglądać lalki bohaterów popularnych filmów animowanych dla dzieci. Widzimy misia Uszatka i jego serialowych przyjaciół, Maurycego i Hawranka, Plastusia i zaprzyjaźnione z nim przybory z piórnika. Niewielkich rozmiarów, wykonane ręcznie, pokazują, jak kiedyś

wyglądali bohaterowie bajek. Na szeregu zdjęć ukazano kolejne procesy powstawania lalek, specjalne stelaże, na którym „powstaje” większość z bajkowych bohaterów. Szkieletu dopełniają drewniane elementy, materiał, gąbka, sznurek, filc. Podpisy pod prezentowanymi eksponatami przywołują daty i autorów, szkoda jednak, że brak niekiedy nazwisk pomysłodawców postaci czy książki, na podstawie której powstała seria animacji, jak w przypadku Marcina Mortki, znanego nie tylko z twórczości dla dzieci.

Na celuloidach z Bielska-Białej widać rozrysowane przygody bohaterów „Porwania Baltazara Gąbki”. Ciekawe są również rysunki scenografii z opisami, jak docelowo ma wyglądać animacja oraz storyboardy rysowane współcześnie. Wszystkie te elementy pokazują, jak zmieniła się animacja nie tylko od strony technicznej, ale i koncepcyjnej.

Wiking Tappi to jedna ze współczesnych bajek, które również znalazły miejsce na wystawie. Podobnie Mami Fatale. Na tych dwóch przykładach widać jak zmieniła się estetyka bajek i jak zmienili się bohaterowie, którzy współcześnie bawią dzieci. Nie sposób pozbyć się wrażenia, że kiedyś bajki nie tylko uczyły dzieci podstawowych zachowań

społecznych, ale też uczyły wrażliwości estetycznej. Historia miała „obronić” się sama, bez różnic i słownictwa, często nieadekwatnego, do wieku dzieci, oglądających bajki na ogólnodostępnych kanałach dla



„BOLEK I LOLEK”  
Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej



„PRZYGODY MISIA USZATKA”  
Studio Małych Form Filmowych Se-Ma-For w Łodzi

najmłodszych. Odmienne były również historie pozbawione superbohaterów i brokatu. Bez przemocy, ale pokazujące różnicę między dobrem a złem. To, co widać na pierwszy rzut oka, to fakt, że aktorzy podkładający głosy postaci byli niezwykle ważnym „elementem” całości... Ekspresją głosu nadawali emocje bohaterom, których buzie nie posiadały „uczuć”, w odróżnieniu od dzisiejszej, często „prze-rysowanej” mimiki bohaterów.

Czasu jednak nie da się zatrzymać i tylko pokazując najmłodszym starsze animacje, możemy próbować pokazać im „coś innego”. Pytanie jednak, czy starsze bajki jak chociażby „Co wiemy o Popielu” zdolają prześcignąć współczesne produkcje? ♦



„PRZYGODY MISIA COLARGOLA”  
Studio Małych Form Filmowych Se-Ma-For w Łodzi

„PORWANIE BALTAZARA GĄBKII”  
Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej

Fot. Tomasz Kozłowski

Piotr Kletowski  
**W szponach finansjery**

Trochę pół żartem, pół serio zaryzykowałem recenzję skądinąd niezwykłej ciekawej pozycji, z Wydawnictwa Marzec „Film animowany. Sztuka czy biznes?” Andrzeja Wojnacha.

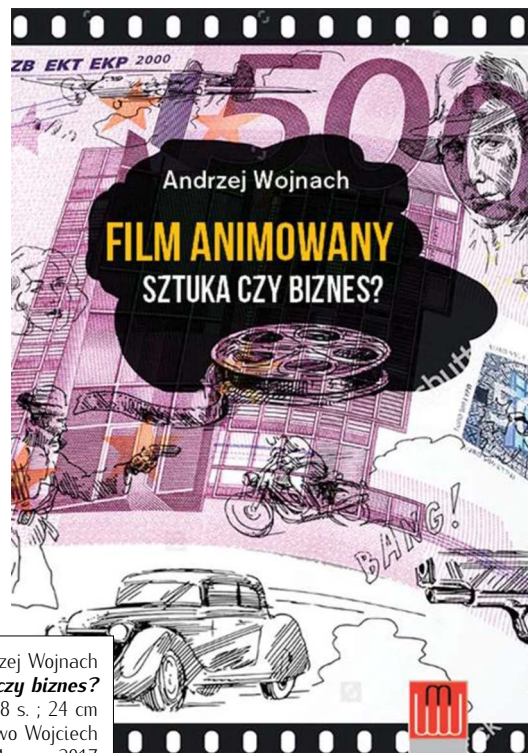
**AUTOR – REŻYSER, PRODUCENT**, medioznawca, wykładowca akademicki, związany z UJ i łódzką „filmówką” – napisał wnikliwą rozprawę poświęconą historii, specyfice samego medium oraz współczesności kina animowanego, ze szczególnym naciskiem położonym na produkcje amerykańskie, zwłaszcza dokonania Walta Disneya, zarówno na polu realizacji filmów (to od jego „Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków” z 1937 r., rozpoczęła się właściwie przygoda X Muzy z pełnometrażowym filmem animowanym), jak i dystrybucyjno-promocyjnym (wyznaczającym szlaki współczesnemu systemowi globalnej kultury popularnej).

Książka jest o tyle istotna, bo zajmuje się zjawiskiem, w potocznym tego słowa znaczeniu marginalnym. Nic bardziej mylnego! Jak dowodzi autor (podpierając się szczegółowymi danymi, przytoczonymi w fachowo przygotowanych zestawieniach), to właśnie filmy animowane zbierają największe zyski w dystrybucji kinowej, generując miliardy dolarów uzyskiwanych ze sprzedaży kinowych biletów, płyt DVD, czy emisji telewizyjnej. Co więcej, ewolucja kina animowanego, którą opisuje Wojnach (od prostej, realizowanej za pomocą ręcznej animacji formy filmowej, przez rotoskopowe odwzorowywanie ruchu, po tworzenie animacji za pomocą komputerowej grafiki, aż po skomplikowane, cyfrowe, wirtualne technologie jak CGI) prowadzi do tworzenia filmów, będących hybrydami kina animowanego (właściwie istniejącego jedynie w pamięci komputerów) z filmem aktorskim (z udziałem żywych aktorów), stanowiącymi dziś właściwą, wysokobudżetową produkcję hollywoodzką („Władca pierścieni” Petera Jacksona, „Avatar” Jamesa Camerona, „Incepcja” Christophera Nolana).

Można powiedzieć, że to właśnie kino animowane, z ważnego, ale jednak marginalnego miejsca w światowej (zwłaszcza amerykańskiej produkcji filmowej) stało się główną jej częścią. Filmowe próby, takie jak ekranizacja komiksu o „Tintinie”, w reżyserii Spielberga, udowadniają zaś, że prawdopodobnie

w przyszłości kino animowane zastąpi nawet kino tworzone przez żywych aktorów (postaci będą generowane komputerowo, tą drogą będzie można nawet „ożywiać” dawno zmarłych aktorów). Ale to przyszłość, w teraźniejszości – jak udowadnia autor opracowania – kino animowane to przede wszystkim „produkt” kulturowego przemysłu, jeden z wielu elementów całego łańcucha podaży i popytu, regulowanego przez zapotrzebowania rynku. Ale choć film animowany (zwłaszcza amerykański) to przede wszystkim „emocjonalny produkt”, który trzeba jak najlepiej sprzedać (a najlepiej kilka razy), zaś jego stworzenie opiera się na przebadanych i wykorzystywanych od lat 40. podstawowych schematach fabularnych, odwotujących się do mitologicznych toposów – których to schematów autor wymienia osiem: KANDYD, KOPCIUSZEK, CIRCE, FAUST, ORFEUSZ, ROMEO I JULIA, TRISTAN, SYN MARNOTRAWNY, przywołując również rozróżnienie brytyjskie: POSZUKIWANIE/WYPRAWA, HISTORIA MIŁOŚNA, KRZYWDA MUSI BYĆ NAPRAWIONA, PAJĄK I MUCHA, CZŁOWIEK NIEZNISZCZALNY, NIESPODZIEWANY DAR, CUDOTWÓRCA/ZDZIWIWY, BLIŹNA DORASTANIA, FATALNY PLAN, NIEROZPOZNANA CNOTA – to wciąż jest to pole do innowacji i kreatywnych pomysłów.

Na szczególną uwagę zasługują opisana przez autora ewolucja filmu animowanego – od typowej, kreskówkowej bajki, adresowanej przede wszystkim do dzieci, przez filmy animowane dla



Andrzej Wojnach  
**Film animowany. Sztuka czy biznes?**  
 328 s. ; 24 cm  
 Warszawa : Wydawnictwo Wojciech Marzec, 2017  
 791.228.004.928(07)

dorostych, aż po „postmodernistyczny” film animowany – peten odniesień i cytatów, realizowany jakby na dwóch planach: dla dzieci (jako prosta historia) i jako aluzyjny film dla dorosłych (doskonałym przykładem jest tu oczywiście animowany „Shrek”, ale i najnowsze produkcje Disneya – jak choćby „Zapłątani”). Książka, choć skierowana przede wszystkim do praktyków kina animowanego (mamy tu opisany szczegółowo cały proces realizacji filmu animowanego – od pomysłu, przez fazę projektów, storyboardów, przez animacje aż po kwestię odpowiedniej sprzedaży i dystrybucji gotowego fil-

**Czy kino animowane zastąpi kino tworzone przez żywych aktorów?**

mu), to powinien zainteresować również wszystkich filmoznawców, interesujących się współczesnym kinem, które wchodzi w konwergencyjne związki z innymi mediami, stając się elementem większej audiowizualnej całości – jakby powiedział Baudrillard – *simulacrum* realnej rzeczywistości. Z obowiązku recenzentkiego muszę jednak wytknąć kilka literówek w nazwiskach (np. nie Oleszczuk a Oleszczyk) oraz źle wydrukowane tabele kończące książkę, przez zastosowany zbyt mały druk, niektóre z nich są po prostu nieczytelne. ■

# Mamidło czyli... supermarket polskiej piosenki

Sylwia Gawłowska

Żyjemy w świecie, w którym wszystko dzieje się szybko. Z niestychaną intensywnością otrzymujemy informacje i produkty. Równie intensywnie je przyswajamy i jeszcze szybciej wytwarzamy. Tempo rzeczywistości nie omija sfery, która zdawałoby się funkcjonuje na uboczu podstawowej piramidy naszych potrzeb, w konsekwencji czego, winna realizować się na odmiennych, od wyścigu codzienności, zasadach. Mam tu na myśli przestrzeń muzyki.

RZECZYWISTOŚĆ JEJ UCZESTNIKÓW daleka jest jednak od mitologizowanego, romantycznego etosu artysty uprzywilejowanego, żyjącego „ponad” problemami powszedniości. Dostępność twórczości muzycznej w przestrzeni wirtualnej, znacząca ilość publicznych i niepublicznych nadawców muzyki, zwiększająca się ilość komercyjnych festiwali oraz kulturowy, telewizyjny trend do odkrywania coraz to nowych talentów estradowych sprawiają, że polski rynek muzyczny daje nam – odbiorcom – dostęp do niestychanej ilości propozycji. Zastanawia jednak, na ile współcześni muzycy pozwalają sobie na „bycie artystą”, na ile zaś stanowią produkt skomercjalizowanej maszyny show-biznesu. Rozpoznanie tej

granicy, niekiedy trudnej do uchwycenia, jest istotnym czynnikiem w wartościowaniu zjawisk muzycznych, które nas otaczają. Ponadto, świadomość ta ma znaczący wpływ na kształtowanie wrażliwości młodych odbiorców, bezwiednie przyswajających promowane postawy, przekazy i „piosenkowy” sposób użycia języka.

Czy możliwa jest sytuacja, kiedy artysta w sposób całkowicie samodzielny i wynikający z jakości jego piosenek, odnosi sukces na rynku muzycznym? Wojciech Korzeniewski – menadżer zespołu Kombi, działający na polskim rynku muzycznym od lat 80. przekonuje: *Każdy artysta musi mieć ludzi, którzy go wspomagają. Doskonatym przykładem jest Maryla Rodowicz, która zawsze potrafiła zgromadzić wokół siebie wspaniałych ludzi i zawsze byli to ludzie z górnej półki. Kiedy brata muzyków, to byli to najlepsi muzycy, kiedy zapraszała do współpracy tekściarzy – to zawsze byli to najlepsi tekściarze.* Nie oznacza to jednak, że dobór odpowiednich artystycznych i management’owych współpracowników stanowi gwarancję sukcesu. Korzeniewski podkreśla, że realnie to właśnie sam artysta wpływa na własne losy: *Ty najpierw sam zostań swoim menadżerem – mówię do młodych muzyków*

Korzeniewski – *Bardzo ważną sprawą dla kariery każdego artysty jest przede wszystkim to, czy jest osobowością i czy ma charyzmę. Te czynniki ułatwiają artystyście i jego managementowi drogę do kariery. Co ciekawe, zdaniem menadżera grupy Kombi, na przestrzeni ostatnich dekad nie uległ zmianie podstawowy mechanizm działania polskiego rynku muzycznego: *W latach 80., przebić się z zespołem spoza Warszawy, to była rzecz niemożliwa. Jak Cię nie ma w pobliżu, to Cię nie ma – do dzisiaj tak jest. Trzeba być na bieżąco w pewnych sytuacjach, z decydentami z wytwórni i stacji radiowych. To wszystko dzieje się tak szybko, że „na topie” są Ci, którzy są „pod ręką”.**

Podobną zależność zauważa artystka młodego pokolenia, laureatka I edycji programu Voice of Poland – Edyta Strzycka. Wokalistka wydała w 2012 r. debiutancki album studyjny nakładem wytwórni Universal Music Polska. Doświadczenie współpracy z koncernem wydawniczym spowodowało, że zrezygnowała z przedłużenia kontraktu: *Uważam, że każdy muzyk, wokalista ma to, na ile sobie pozwoli – stwierdza Edyta – Koncerny rządzą się pewnymi prawami. Duże korporacje wydawnicze liczą na zysk. Kreują więc świat muzyki i gwiazdy, które optaca im się wydawać, i które są w stanie przystać na wiele warunków. Ja tego nie chciałam. Piosenkarka uważa zasadniczą różnicę pomiędzy muzykiem-artystą a muzykiem-produktem: *Myślę, że artyści żyją w świecie prawdy, która niekiedy boli. Artyści są prawdą, czyli... są sobą – nie produktem. Produkt istnieje w świecie iluzji. I artyści i produkty istniały od zawsze. To dwa osobne tory. Artysta – może, produkt – musi.**

O trudnej sytuacji debutantów na polskim rynku mówi także Tomasz „Joseph” Bracichowicz – lider i współzałożyciel zespołu Mafia: *W przeciwieństwie do sytuacji jeszcze z lat 90. artysta to zdecydowanie produkt. Mówię tu o debutantach, którzy chcąc zajmować się sztuką i z niej się utrzymywać, są zmuszeni do wielu kompromisów. To właśnie w nieuchronności kompromisu upatruje Bracichowicz przyczynę „uprodukcyjnienia” młodych twórców muzyki:*



Rys. Tomasz Łukaszczyk

Kompromisy w sferze artystycznej to pierwszy element, który powoduje, że twórczość – a tym samym artysta – staje się produktem i robi to wbrew sobie. Często jest jednak tak, że młody wokalista, czy śpiewająca dziewczyna nie ma pomysłu na siebie, nie jest twórcą i pojawia się w programie typu Talent Show. Jeśli ma talent i wpadnie w oko producentom, to otrzyma pomoc w zrobieniu kariery. Oczywiście nic nie jest za darmo. Kontrakty, które musi podpisać powodują teraz, że również pod względem finansowym staje się elementem systemu, w którym jest bardzo wiele osób i podmiotów zabierających większość przychodów. System ten musi stale szukać nowych artystów, więc kariery trwają najdłużej kilka lat. Refleksja lidera Mafii jest niezwykle trafiona, gdyż nieustannie jesteśmy świadkami „objawień” jednosezonowych gwiazd. W przekonaniu muzyka, taką sytuację wzmacnia monopol koncertów medialnych: Sytuację potęguje fakt, że w Polsce nastąpiła nadmierna koncentracja mediów wszelkiego typu. Polega to na tym, że w sferze radiowej w zasadzie jest monopol. Stacje będące w rękach wielkich, zagranicznych koncertów medialnych niechętnie patrzą na polską twórczość i robią wszystko, żeby jej nie promować. Zjawisko to potęguje konieczność kompromisów artystycznych, a tym samym artysta w coraz większym stopniu staje się produktem. Interesujące jest również spostrzeżenie wiceprezesa ZAiKSu – Marka Hojdy, który zwraca uwagę na postawę samych artystów wobec „uprodukcjonienia” mu-

„nie jestem dostawcą treści, jestem artystą, kompozytorem”. Cała sala się śmiała, uznając to za żart... Zatem diagnoza kondycji współczesnego artysty nie jest zbyt optymistyczna...

Z kolei Leszek Gnoiński, dziennikarz muzyczny, autor biografii polskich muzyków, scenarzysta i reżyser filmów dokumentalnych o tematyce muzycznej, m.in.: „Beats of Freedom – zew wolności”, „Jarocin – po co wolność?”, postrzega status muzyka jako produktu branżowego, jako naturalną konsekwencję jego rzeczywistego, opierającego się próbie czasu talentu: *Każdy wykonawca tworzy pewien produkt, który trzeba sprzedać. Od tego zależy popularność. Wytwórnice to są przedsiębiorstwa, które muszą zarobić. Bez względu na to, najważniejszy jest talent. Gnoiński, obserwując funkcjonowanie polskiego rynku muzycznego w perspektywie mechanizmów rynku zagranicznego dostrzega rodzimą ewolucję: Na Zachodzie wszystko było w jakimś*



Rys. Tomasz Łukaszczuk

i producentów: *Im pisze się repertuar, a różnica między jednym a drugim jest bardzo duża. Przykładami takich wykonawców są zespoły Just 5 czy Papa Dance. Według Gnoińskiego, zdarzały się jednak w historii polskiej muzyki takie sposoby myślenia o twórcach, kiedy to wytwórnice dostosowywały promocję i sposób widzenia danego zespołu, do tego, co tworzyli sami artyści: *Takie było O.N.A., HEY, czy Renata Przemysk. Byli to artyści, którzy mieli pomysł na siebie i firmy dostosowywały się do tych pomysłów, nie wpływając na ich muzykę. Było w tym wszystkim więcej naturalności.**

Naturalność taka jest współcześnie wielką potrzebą i wielką nadzieją dla podnoszenia jakości utworów słowno-muzycznych. Potrzeba autentyczności sztuki i promowania twórczości powstającej w sposób nieprzekalkulowany i pozbawiony „tantiemowego” wyrafinowania zdaje się być rzeczą niemożliwą. Z drugiej jednak strony, świadectwo istnienia w historii polskiej muzyki rozrywkowej artystów, którzy uczynili swoją drogę przykładem symbiozy artystycznej jakości i autentyczności, stanowi dowód na to, że pośród rzeczywistości zbanalizowanych refrenów, infantylnych melodii i estradowych mamidet, nie na próżno poszukujemy peretek. Peretek wartych odkrycia. I wartych zapamiętania. ■



## System musi stale szukać nowych artystów.



zyki i własnych osiągnięć artystycznych: *Firma Google, właściciel serwisu YouTube nazywa muzyków „dostawcami treści”. Sami artyści, mówiąc o swoim sukcesie używają określeń „sprzedałem tyle a tyle płyt”, „zagrałem tyle a tyle koncertów”, „miałem powerplay’a w RMF”. Nie słyszałem, żeby ktoś mówił: „moja muzyka zachwyciła tysiące słuchaczy”. Kilka lat temu, na jednej z konferencji dotyczących prawa autorskiego Paul Williams, prezes ASCAP (amerykański ZAiKS) powiedział:*

*stopniu produktem. Ważne jednak, czy artysta broni się swoją muzyką. Nirvana też była produktem, podobnie jak The White Stripes, które stało się marką i początkiem pewnego trendu. A przecież wszystko to, wyszło z podwórka, z małego klubu... Istotne jest według mnie, nie to, że coś jest produktem, ale czy zostało stworzone w sposób nieprzekalkulowany. Z drugiej jednak strony, Gnoiński zauważa funkcjonowanie na rynku wykonawców stworzonych przez firmy płytowe*

# Voyeuryzm i mroczne inspiracje

Dorota Nowak-Baranowska

**Brytyjski serial „The Fall” („Upadek”) od pierwszego sezonu zaskakuje nieprzeniknioną niejednoznacznością i grą pozorów na wielu płaszczyznach. Jakby tego było mało, okazuje się, że dramatyczna historia osnuta wokół seryjnych morderstw na młodych kobietach może mieć wydźwięk genderowy czy feministyczny. Okazuje się bowiem, że utarte konwencje w „Upadku” nie sprawdzają się.**

SERIAL TRAKUJE O SERyjNYCH zabójstwach i dochodzeniu prowadzonym przez utalentowaną nadinspektor Stelę Gibson (znakomicie zagrana przez Gillian Anderson), która przyjeżdża do Belfastu w Irlandii Północnej, by zrewidować sprawę śmierci Alice Monroe, córki wysoko postawionego urzędnika. Po przejrzeniu materiałów z śledztwa, Gibson nie ma najmniejszych wątpliwości, że chodzi o seryjnego zabójcę.

## O NARODZINACH ZŁA?

W przeciwieństwie do wielu innych seriali, w tym przypadku widz nie szuka jednak odpowiedzi na pytanie „kto zabił?”. Od pierwszych scen montaż bazuje bowiem na równoległym przenikaniu się dwóch płaszczyzn czasowych



**Przemoc ma płęć w społeczeństwach patriarchalnych.**



i przestrzennych. Widzowie więc od samego początku wiedzą, że zabójcą jest Paul Spector (brawurowo zagrany przez Jamiego Dornana). Pomijając jego fetyszująco-voyeurystyczną obsesję, na co dzień jest on całkiem normalnym facetem – szanowanym psychoterapeutą oraz kochającym mężem i ojcem. Inspiracją dla reżysera i scenarzysty Allana Cubitta była rzeczywista postać niejakiego Russella Williams’a, który został aresztowany i skazany na dożywocie w 2010 roku w Stanach Zjednoczonych. Był to mężczyzna, o którym sąsiedzi mówili: miły, uczynny, mówił „dzień dobry”. Podczas

procesu, w wyniku którego stało się jasne, że Williams jest seryjnym mordercą, wyszły na jaw pewne dodatkowe incydenty z odległej przeszłości, jak choćby uprzednie włamywanie się do domów przyszłych ofiar i zabieranie niektórych elementów bielizny. Paul Spector ma dokładnie ten sam modus operandi.

Postać btyksotliwej pani detektyw oraz niczym niewyróżniającego się Paula umiejętnie łączy serialowy schemat, nagina paradygmaty oraz wywraca tradycyjny podział ról w serialach kryminalnych do góry nogami. Nawet już nie chodzi o to, że centralną postacią jest silna, piękna i inteligentna kobieta, ale o to, w jaki sposób reżyser i scenarzyści postanowili poprowadzić grę z widzem, aby zwrócić jego uwagę na pewne genderowe niuanse. Czy morderca może na co dzień być miły? Czy powolne duszenie i maltretowanie ofiar jest chorą patologią właściwą jedynie potworom czy może sam mechanizm przemocy jest skłonnością właściwą wszystkim mężczyznom? Podczas wirtuozersko skonstruowanej gry w kotka i myszkę między policjantką a przestępcą widzowie stopniowo poznają dwa punkty widzenia – Stelli i Paula.

## BELFAST – PRAWDOPODOBNIENIE NAJBARDZIEJ MIZOGINICZNE MIASTO W EUROPIE

Pojawienie się pięknej i btyksotliwej pani detektyw burzy ustalony porządek nie tylko w kontekście prowadzenia śledztwa, ale również zastanej rzeczywistości. Belfast to miasto niechlubnie naznaczone dyskryminacją wobec kobiet. To tutaj, podobnie jak w całej Republice Irlandii i niektórych angielskich miastach, działały przez ponad 150 lat

obozy pracy dla kobiet „społecznie nieprzystosowanych”. Te tak zwane pralnie były oficjalnie instytucjami pomocy, a przetrzymywane tam kobiety były zaklasyfikowane jako „podejrzane obyczajowo”. W praktyce często chodziło o kobiety szczególnie atrakcyjne, ofiary gwałtów, kobiety posiadające kryminalną przeszłość, itd. W pralniach umieszczali je zwykle księża lub mężczyźni członkowie rodziny. Zjawisko to zostało po raz pierwszy sportretowane na szeroką skalę w filmie „Siostry Magdaleny” Petera Mullana. W kontekście magdalenkowych „azyłów” Paul Spector, może być uosobieniem podświadomej tendencji do uprzedmiotowienia kobiet, do sprowadzenia ich do roli niemych obiektów, lalek, estetycznych przedmiotów. W Belfastcie naznaczonym latami przemocy wobec kobiet, aby poczuć się „prawdziwym mężczyzną” należało wstąpić do gangu, policji czy innej patriarchalnej organizacji paramilitarnej. Bez tego męska część populacji miała powody czuć się bezsilną, niekompletną, ułomną.

## WALKA Z SYSTEMEM

Zarówno Spector, jak i Gibson walczy o prawo do samorealizacji w opresyjnym systemie. Dla niego jest to powszechnie obowiązujący kodeks prawny, dla niej to raczej, konserwatywne, szowinistyczne środowisko i skostniała obyczajowość. Ze zderzenia tych dwóch osobowości powstaje obraz pełen napięcia. Reżyser i scenarzyści nie boją się więc mieszać konwencji, kreując piękną, nieprzystępną i analityczną postać kobietę zestawioną z sylwetką zabójcy, który jest odbierany przez społeczeństwo jako czarujący, rodzinny i empatyczny.

Oboje stają do walki z opresyjnym systemem, działając z podobną determinacją. Dążenie do zrealizowania swoich fantazji to kolejny ważny element będący motorem całej akcji mówiący o męskim pragnieniu dominacji, które realizuje Paul, oraz o kobiecym marzeniu o wyzwoleniu, które uosabia Stella. O ile w przypadku Paula fantazje sprowadzają się do uprzedmiotowienia ofiary (malowanie paznokci, ubieranie/rozbieganie, mycie włosów, odpowiednio upozowanie), o tyle Stella zmaga się z bardziej codziennymi, przyziemnymi trudnościami. W przeciwieństwie do swoich kolegów płci męskiej Stella jest nieustannie oceniana przez pryzmat swojego dość bujnego życia towarzyskiego, co mocno podkopuje jej autorytet wśród męskiego grona policjantów. W ten sposób



scenarzyści postanowili dosadnie nakreślić istnienie podwójnych standardów, stosowanych zresztą nie tylko w środowisku pracy. Obrazuje to choćby scena, gdzie Stella Gibson wspólnie ze swoim przełożonym, Jimem Burnsem, opracowuje treść komunikatu prasowego. Burns sugeruje, żeby napisać, że zabite kobiety były „niewinne”. Stella ma na to gotową odpowiedź: „A co, jeśli następnie zabije prostytutkę albo pijaną kobietę wracającą nocą do domu w krótkiej sukience? Czy byłyby one w jakiś sposób mniej niewinne, mniej wymagające współczucia?”

### ESTETYZOWANIE PRZEMOCY CZY ODŚWIEŻAJĄCA ZMIANA PARADYGMATU?

Przemoc wobec kobiet to częsty motyw wielu seriali telewizyjnych, ale

sposób w jaki bywa ona przedstawiana jest dość jednostronny – brutalność miesza się z dosłownością, ale widzowie tylko czasami mają szansę dowiedzieć się czegoś więcej na temat ofiar. Reżyser chciał tego uniknąć, nadając morderczym kobietom określony status – czyjejs siostry, dziewczyny, architektki, prawniczki. Allan Cubitt w ten sposób chciał pokazać bardziej niestereotypowy obraz przemocy, co jednak nie uchroniło go od licznych zarzutów na temat „glamuryzowania” przemocy. Pomysł scenariusza bazuje jednak na dokładnie odwrotnym mechanizmie w porównaniu ze sposobem, według którego działają serijni mordercy. Zanim następuje atak, widzimy całą szereg obsesyjnych czynności – kradzież bielizny, obsceniczne sms-y, wtamywanie się do domu, itd. Te wszystkie działania świadczą nie tylko o obsesji – są

one również, a może przede wszystkim, poświadczeniem i udowodnieniem samemu sobie, że jako mężczyzna mogą w ten sposób dominować nad kobietami.

### „IT’S ABOUT POWER AND CONTROL”

Pod koniec drugiego sezonu w dialogu między Stellą Gibson a jej przełożonym pada ciekawa anegdota, którą opowiada Stella: *Pewna kobieta zapytała swoich przyjaciół, mężczyźni dlaczego boją się kobiet – odpowiedzieli, że boją się wyśmiania. Zapytała też swoje przyjaciółki, dlaczego boją się mężczyzn – odpowiedzieli, że boją się, że oni mogą je zabić.* Jedną z feministycznych badaczek, Andrea Dworkin, zwróciła uwagę na to, że jednym z najgorszych, najsilniej świadczących o patriarchalnym podziale sił, czynów jest gwałt. Nie chodzi tu jednak o przestępstwo spowodowane niekontrolowanym wybuchem testosteronu czy niepohamowaniem męskich pragnień. Chodzi jedynie o prozaiczne udowodnienie sobie i innym własnej siły i umiejętności kontroli. Przemoc, w oczach Stelli Gibson, jawi się jako zjawisko kulturowe, które ma płeć i jest endemiczne w społeczeństwach patriarchalnych. Nie przez przypadek w jednym z pierwszych kadrów obserwujemy scenę, gdzie przyszła ofiara w rozmowie ze swoim kolegą wymienia nazwę grupy etnicznej Mosuo. Żyjąca na południu Chin społeczność jest w dużej mierze matriarchalna i matrylinearna, a kobiety Mosuo praktykują tak zwane „chodzone małżeństwo”. Polega to na tym, że zaakceptowany przez kobietę mężczyzna odwiedza ją po kolacji, zostaje u niej na noc, po czym rano wraca do siebie. Para nie jest złączona żadnymi więzami ekonomicznymi, a „małżeństwo” jest oparte wyłącznie na wzajemnej atrakcyjności i miłości. Podobno w języku ludzi Mosuo (zwanym *naxi*) nie ma słów oznaczających gwałt, przemoc lub morderstwo.

„The Fall” pokazuje, że przemoc nie jest domeną patologicznych zbrodni, tylko wynika raczej ze społecznego uzależnienia usankcjonowanego przez dwa wielkie mity: o kobietach niewinnych i nieczystych oraz o mężczyznach i potworach. Aby usprawiedliwić przemoc wystarczy więc wykazać, że kobieta w jakiś sposób ją sprowokowała lub na nią zastrzyła albo, że mężczyzna, który przemoc stosował, nie był normalnym mężczyzną, ale szatańskim potworem. Te dwa wielkie mity w „Upadku” zostają zburzone. ■



Rys. Tomasz Łukaszczyk

# W cieniu Piotr Kletowski Samuela Fullera

Po raz pierwszy w mym filmoznawczym życiu odwiedziłem Wrocław na American Film Festival. Festiwal ten, którego szefową jest niezrównana Urszula Śniegowska, wypączkował z Nowych Horyzontów, kiedy okazało się, że amerykańskie filmy (głównie niezależne, pokazywane w Sundance i Aspen) oraz dorobek amerykańskich klasyków X Muzy, może zdominować ramówkę NH i że z powodzeniem można z tych, jakże atrakcyjnych, propozycji filmowych ulepić osobne, festiwalowe wydarzenie.

SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO i od ośmiu lat miłośnicy tego, co najlepsze, przede wszystkim w amerykańskim kinie niezależnym, tudzież miłośnicy klasycznego dorobku kina zza Oceanu tłumnie przybywają do grodu nad Odrą, by cieszyć swe oczy kinematograficznymi smakotkami. A tych już w poprzednich edycjach było bez liku. Retrospektywy Jerry'ego Schatzberga, Nicholasa Raya, Clint Eastwooda, Orsona Wellesa, polskie premiery filmów Toda Haynesa, Hala Hartleya, Davida Cronenberga, Jamesa Franco. Znakomite, amerykańskie dokumenty filmowe, zarówno mistrzów (Frederick Wiseman), jak i wschodzących gwiazd tego gatunku kina (Eugene Jarcki, Antonino d'Ambrosio). Ustalony podczas pierwszych edycji festiwalu podział na sekcje, z których najważniejsze są te konkursowe („Spectrum” i – od tego roku: „Konkurs Ale kino+”), dokumentalna („American Docs”) oraz retrospektywne, nie zmienia swej trajektorii i wciąż oferuje widzom najciekawsze propozycje wprost – jak to powiedział kiedyś Orson Welles – z kraju gdzie nawet ludzkie sny są w technicolorze. Moja obecność na tegorocznym festiwalu wiązała się z przegłędem Sama Fullera (1912-1997) – jednego z największych „mavericków” (wolnych duchów) amerykańskiego kina. Człowiek o tak bogatym życiu, że starczyłoby ono na tasiemcowy serial (a i tak pewnie nie wyczerpał by on tematu), był dziennikarzem (najmłodszym freelancerem piszącym

reportaże do nowojorskich gazet), żołnierzem walczącym z Niemcami od Sycylii po Czechosłowację (gdzie wyzwalał obóz w Sokotowie i gdzie zrealizował swój pierwszy film – dokumentujący obozowy horror), by powrócić do USA i rozpocząć karierę filmowego scenarzysty i reżysera. Kino Fullera było takie jak jego pisanie, określał je jednym zdaniem „No bullshit!”: konkretnie, mocno, na (często kontrowersyjny) temat. Nie robisz filmów mawiać, lecz „strzelasz filmy” (*You shoot pictures!*), nawołując, by za pomocą ruchomych obrazów dostownie „zastrzelić” widzów, zarówno emocjonalnie, jak

i intelektualnie. I takie filmy z lat 60. jak „Shock Corridor” – podejmujący temat rasizmu w Ameryce, „Nagi pocatunek” – mówiący o patologii władzy, która „może wszystko” (podejmujący również temat pedofilii), czy też późniejsze dzieła, jak autobiograficzna (choć de facto wszystkie filmy tego twórcy nosiły silne piętno jego egzystencjalnych przeżyć) wojenna „Wielka Czerwona Jedynka” (1980) czy, znów podejmujący kwestie rasizmu, zakazany w USA „Biały pies” (1982) są synonimami twórczej odwagi, bezkompromisowości, a przede wszystkim reżyserskiego nowatorstwa (poprzez rewolucyjne metody filmowania włączające widza w świat przedstawiony filmu). Ale to, co było najważniejsze w kinie Fullera, to po pierwsze strategia twórcza, którą się posługiwał w tworzeniu ruchomych obrazów (a bez których nie byłoby kina Monte Hellmana, Williama Friedkina, Stevena Spielberga, Wima Wendersa, Quentina Tarantino), zasadzającym się na przeświadczeniu o tym, że kino tworzy się z życia. Że aby robić filmy trzeba swoje przeżyć, jeść chleb z niejednego pieca – by później ze swoich doświadczeń tworzyć nawet najbardziej fantastyczne obrazy (które jednakowoż zawsze będą świadczyć o ludzkiej egzystencji, ukazując prawdę o niej). Kino tworzone z życia, jest kinem, które mówi o życiu i mówi jak żyć, nawet jeśli przekazuje tę prawdę w historii o walce z rekinem, westernie o rewolwerowcu, filmie gangsterskim o kieszonkowcu wplątany w szpiegowską aferę. Ale

owo Fullerskie „kino z życia” było wrazem jego filozofii (to drugi powód, by nazwać Fullera prawdziwym mistrzem amerykańskiego kina), mówiącej o tym, że kino powinno być dalekie od wystawiania moralnych ocen. Jak w dobrym dziennikarstwie, powinno się ograniczać do ukazywania faktów, ich etyczną weryfikację zostawiając widzom. Fuller nie dzielił ludzi ze względu na kolor skóry, wyznanie, pochodzenie, uważał, że ludzie są albo źli, albo dobrzy. Ale i tutaj daleki był od jednoznacznych ocen, bo zło w kinie Fullera, będącym emanacją jego własnej wizji świata i człowieka, było często po prostu nieobecnością dobra, a dobro, nigdy nie było w filmo-życiu Fullera kryształiczne.

W niezwykłym dokumencie na temat niezrealizowanego filmu „Tigrero”, Fuller mówi o tym, że dla niego Bóg to natura, również natura ludzka. Filmowiec może ją opisywać, ale nie jest w stanie do końca ją zrozumieć. Warto było przyjechać na AFF by obcować z tak amerykańskim, tak gatunkowym, a jednocześnie tak przenikliwym kinem (dodajmy znanym w Polsce tylko nielicznym), jak twórczość Fullera, słuchając opowieści o nim i o jego kinie, z ust najważniejszych kobiet w życiu reżysera: żony, grającej w jego filmach (choćby w niesamowitym, szpiegowsko-detektywistycznym filmie kręconym w catości w RFN „Szpieg z ulicy Beethovena”), Christy Fuller, i jego córki – Samantha – kontynuującej dokonania swego ojca (zrealizowała świetny dokument „A Fuller Life”, gdzie aktorzy i reżyserzy związani z artystą i jego kinem czytają fragmenty pasjonującej autobiografii). Zaprawdę miał rację Jean-Luc Godard, że obsadził Fullera w swym „Szalonym Piotrusiu”, w roli „amerykańskiego reżysera”. Ale choć pochłonięty byłem dziełem twórcy „Shock Corridor”, udało mi się jeszcze „odhaczyć” kilka ciekawych pozycji z prezentowanych na festiwalu ponad pięćdziesięciu tytułów, z różnych sekcji – filmów w jakiś sposób „fullerskich” (czy to przez odwagę podejmowanych tematów, ich niejednoznaczne rozświetlenie, czy po prostu nowatorską formę).

Z pewnością do najciekawszych należał film „Nowicjat” (2017) – prezentowany w sekcji „Spectrum”. Film Margaret Betts, nawiązujący do długiej tradycji amerykańskich filmów opowiadających o życiu kobiet prowadzących życie konsekrowane („Historia zakonnic”, 1959, Freda Zinnemanna; „Tajemnica klasztoru

Marii Magdaleny”, 1985, Normana Jewisona), choć bliżej mu do ujęcia tematu przez kino europejskie („Teresa”, 1986, Alaina Cavaliera). Opisując przetłomiony dla kościoła katolickiego moment wprowadzenia w życie postanowień Soboru Watykańskiego II, reżyserka – w niezwykle subtelny i wnikliwy sposób – szkicuje portret psychologiczny młodych kobiet próbujących poświęcić swe życie miłości do Boga, pojmowanej na różny sposób, również w wymiarze szukania bliskości drugiego człowieka. Pozornie film Betts może być odbierany, jako film, będący oskarżeniem życia w zakonie, objawiającym się jako restrykcyjne i pełne ograniczeń (reprezentowanym przez siostrę przełożoną stosującą drastyczne metody w procesie kształcenia młodych zakon-

kościół katolicki – ale znów – czy na dobre, czy na gorsze, o tym obcuje z dziećmi Betts zdecydować muszą sami widzowie.

Z pewnością nikogo nie pozostawi obojętnym (bo film wchodzi do kin) najnowsza produkcja Darrena Aronofsky’ego „Matka” – horror metafizyczny, będący swego rodzaju nową wersją klasycznego „Dziecka Rosemary” Polańskiego, ale tutaj podniesionego do rangi trawestacji Biblii, a więc opowieści o relacji Boga i człowieka. Zaczyna się dość niewinnie – od domu zamieszkiwanego przez młode małżeństwo (Jennifer Lawrence, Javier Bardem). Ona zajmuje się remontem budynku, on – słynny pisarz – zмага się z mękami tworzenia nowego dzieła. Świat bohaterów ulega zburzeniu,

tym o śmierć) – to obraz prawdziwego bohatera, idealisty (grający go w słynnym filmie Lumeta Al Pacino ucharakteryzowany był nawet na Chrystusa), który jednakowoż stał się niewolnikiem własnego mitu, utrwalonego przez media. Scena, w której bohater zostaje skonfrontowany z kolegą, który był świadkiem postrzelenia Serpico (i jak pokazywał film nic nie zrobił by temu zapobiec), udowadnia tezę, że kino dokumentalne emocjonalnie przebija każdy film kreacyjny. Innym z ducha „fullerowskim” filmem był, nominowany do Oscara, dokument Raola Pecka „Nie jestem twoim murzynem” – w ekspresyjnych obrazach ukazujących walkę Afroamerykanów o równouprawnienie, ze szczególnym naciskiem położonym na działalność liderów ruchu: Medgara Eversa, Malcolma X i Martina Lutera Kinga. Wartością dzieła Pecka jest to, że – podobnie jak Samuel Fuller – ukazuje rasizm charakteryzujący amerykańskie społeczeństwa wczoraj dziś (i jutro?), dotykający wszystkie strony rasowego konfliktu, choć przede wszystkim tych, którzy od wieków trzymali (i trzymają) władzę nad Amerykańskim Imperium.

Z pewnością AFF to niezwykle ciekawe zjawisko na festiwalowej, filmowej mapie Polski. Bo AFF to nie tylko filmy nowe, nieznanne, to też pozycje, które kiedyś oglądane w TV, na video, można obejrzeć na dużym ekranie. W prezentowanej retrospektywie ku pamięci Sama Sheparda – wybitnego, amerykańskiego reżysera, scenarzysty, aktora, dramatopisarza – miałem okazję przypomnienia sobie, na dużym ekranie, nagrodzonego Złotą Palmą w Cannes, arcydzieła Wima Wendersa (ze scenariuszem Sheparda) – „Paryż Teksas” (1984) – i dodajmy z genialnymi, oleodrukowymi zdjęciami Robby’ego Mullera. Ta filmowa „amerykańska Odyseja”, której filarem jest przede wszystkim znakomite aktorstwo (Harry Dean Steanton – grający w filmie Wendersa główną rolę – był także gwiazdą nagrodzonego na AFF swego ostatniego w karierze filmu „Szczęściarz”, J.C. Lyncha) pokazuje, że Ameryka to rzeczywiście „kraj kinematograficznych snów” – i to nie tylko tych rodem z Hollywood. Snów, które kochamy śnić, wraz z wybitnymi twórcami amerykańskiej X Muzy, którzy – dostarczając nam emocjonującej przyjemności – odstawiają nam zapomniane prawdy o życiu, naszym wnętrzu i w typowo amerykańskim, pragmatycznym stylu, przekonują nas, że, wbrew wszytściemu, warto żyć. ■

## Kino Fullera było takie jak jego pisanie, określał je jednym zdaniem „No bullshit!”, konkretnie, mocno, na (często kontrowersyjny) temat.



nic), a nawet filmową wypowiedzią mówiącą o niedoskonłości całego systemu duchowego, jaki reprezentuje kościół katolicki (zwłaszcza przed Vaticanum II) – nie potrafiącego zaspokoić, w wystarczający sposób, całokształtu ludzkich pragnień (przypominałby w tym, filozoficznym wymiarze „Matkę Joannę od Aniołów” Kawalerowicza). Nic bardziej mylnego. Wartość „Nowicjatu” objawia się właśnie w jego niejednoznaczności, umożliwiającej całkowicie odmienną interpretację (to właśnie duchowy kontakt z Bogiem otwiera bohaterki na bliskość z drugim człowiekiem, poznanie własnych potrzeb, rozpoznanie własnej tożsamości i – co sugeruje wspaniałe, otwarte zakończenie filmu – obranie właściwej, życiowej drogi). „Nowicjat” jest przy tym zaskakującym (jak na debiut) przykładem niezwykle dojrzałej i precyzyjnej reżyserii. Wyczelowane aktorstwo, nastrojowo „przygaszone” a przy tym na swój sposób zmysłowe zdjęcia, doskonałe wykorzystanie muzyki („Requiem” Faure) czynią z filmu Betts przykład kina zastanawiającego, stawiającego najważniejsze dla człowieka pytania, lecz nie dającego jednoznacznych odpowiedzi. Przy okazji, to także głos w sprawie *Vaticanum Secundum* – zmieniającym nieodwracalnie

w momencie pojawienia się ekscentrycznego małżeństwa (Ed Harris, Michelle Pfeiffer) i w odkryciu przez młodą małżonkę swego błogosławionego stanu. Ten gęsty, zmuszający do myślenia, a przecież haptyczny – czyli poprzez audiowizualną ekspresję wprost fizjologicznie wpływający na widza film – to kabalistyczne przepisanie Starego i Nowego Testamentu, opowieść o związku Jahwe i Człowieka, z którego tworzy się to, co najistotniejsze we wszechświecie. Można ten film uznać za bluźnierstwo, ale jest to bluźnierstwo nie zmierzające do zakwestionowania duchowej wizji rzeczywistości, wprost przeciwnie – powoduje wskrzeszenie pytań metafizycznych, w świecie, który o metafizyce prawie zupełnie zapomniał. I robi to w duchu judeochrześcijańskim. Dlatego to filmowe „bluźnierstwo” Aronofsky’ego jest tak naprawdę kinematograficzną peregrynacją najwyższej tajemnicy.

Nie zawiodłem się również na dokumentach. „Frank Serpico”, w reżyserii Antonio d’Ambrosio – przenikliwy obraz byłego policjanta z NY, który rzucił wyzwanie swym skorumpowanym kolegom, doprowadzając do odkrycia największej afery korupcyjnej w historii amerykańskiej policji (ocierając się przy

# Gra w rysunkową narrację

Pawet Chmielewski

**Wyobrażamy sobie współczesną polską teatrologię bez „Szekspira współczesnego” Jana Kotta, filmoznawstwo pozbawione „Kina, wehikułu magicznego” Garbicza i Klonowskiego, sztukę – „Historii koloru” Marii Rzepińskiej? Niemożliwe, prawie ciężkie – cytując klasyka. Do kanonu lektur humanistycznych możemy dopisać nową publikację: „Coś więcej, czegoś mniej. Poszukiwania formuły powieści graficznej w komiksie 1832–2015” Jerzego Szytaka. Od 2017 r. bez jej znajomości, nie będzie można napisać zbyt wiele o czwartym rodzaju literackim.\***

**AUTOR, PROFESOR** Uniwersytetu Gdańskiego, od lat publikuje książki ukazujące symbolikę, ikonografię, konteksty kulturowe komiksu (m.in. „Komiks: świat przerysowany”, „Poetyka komiksu. Warstwa ikoniczna i językowa”). Najgłośniejsza z nich – „Komiks w szponach miernoty” (2013) – usiłująca uporządkować dyskurs teoretyczny w Polsce oraz ustalić siatkę pojęć, wywołata ferment środowiskowy. Dyskusja wokół niej zdominowała nawet jeden numer „Zeszytów Komiksowych” i okazała się piękną, lecz spektakularną klęską. Merytoryka przegrała z atmosferą. Z argumentami autora i jego erudycyjnym wywodem raczej nikt nie dyskutował. Książkę dyskretnie (o ile się udało) przemilczano. Paradoksalnie, głównym bohaterem negatywnym, nie wyrządziła ona zbyt wielkiej szkody. Jednego nawet wywindowała na same szczyty. Powód może być prozaiczny – rząd dusz w polskim komiksie dzierżąc trzydziestolatki, a fakt, że najlepsze dzieła i wartościową krytykę tworzą autorzy o pokolenie starsi, wydaje się nie mieć większego znaczenia.

Dlaczego wracam do historii troszkę przykurzonej i książki sprzed czterech lat? Gdy piszę ten esej, nie-esej, u schyłku paździenika, o „Coś więcej, czegoś mniej” Jerzego Szytaka jest cichutko. A powinna to być książka obecna na półce każdego humanisty, zaczynającego uprawiać krytykę literacką, publikującego felietony i naukowe rozprawy. Dla autorów prac licencjackich i magisterskich o komiksie, których powstaje w Polsce

kilkadziesiąt rocznie – to używając sloganu – must have! Od dziś nieznamość „Czegoś więcej...”, to trochę jak pisanie o powojennym teatrze absurdu bez przeczytania prac Jana Błońskiego, o postmodernizmie – bez Michała Pawła Markowskiego (cokolwiek sądzimy o zawikłaniu jego wywodów ☺, np. w „Efekcie inskrypcji” lub „Czarnym nurcie”).

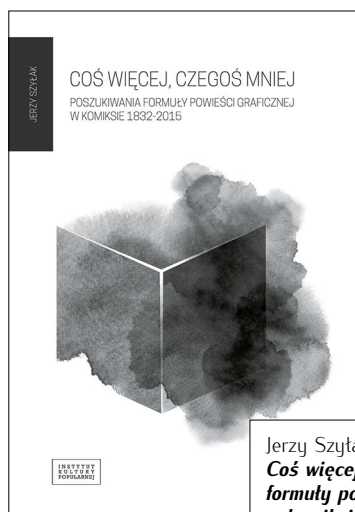
Dochodzimy do sedna. Książkę Szytaka można czytać nieliniarnie, podróżując między rozdziałami, w czasie i przestrzeni, łączyć wątki lub zagadnienia. Jak „Grę w klasy” (ale bez mapy) lub „Jeśli zimową porą...” Calvino, tylko trasę ustalamy indywidualnie. Ten tryb lekturowy umożliwia nam konstrukcja rozprawy. Oto ułożony chronologicznie leksykon – od „Histoire de Monsieur Jabot” Rodolphe’a Töpffera do „Tutaj” Richarda McGuire’a. Większość z omawianych powieści graficznych nigdy nie

ukazała się po polsku i dla polskiego czytelnika pozostaje ziemią nieodkrytą. Książka Jerzego Szytaka staje się więc encyklopedycznym przewodnikiem, zbiorem utworów, które można, warto, należy (niepotrzebnie skreślić) poznać. Odgrywa rolę podobną do wspomnianego już „Kina, wehikułu magicznego”, pięciotomowej „Drogi do science fiction” Jamesa Gunna (w odniesieniu do literatury anglosaskiej) i o globalną perspektywę rozszerza to, co zrobił, pisząc – inną obowiązkową dla badaczy „historii obrazkowych” książkę – Adam Rusek („Leksykon polskich bohaterów i postaci komiksowych”).

Każdy z opisywanych przez Jerzego Szytaka utworów obudowany jest notą o autorze, krótkim streszczeniem, analizą formalną, okolicznościami powstania i najważniejszym z elementów – kontekstem. Hasła leksykonu są utkane z odwołań – historycznych, filmowych, literackich. Czasem oczywistych, czasem lekko zasugerowanych. Wczytując się w te konteksty, nagle możemy dostrzec jak w pierwszej powieści graficznej (Töpffera), wykorzystane zostają „formaty” gagów, które osiemdziesiąt lat później eksploatowali w komedii slapstickowej

Mack Sennett i Chaplin, jak wiele mają wspólnego dzieła Gailmana i Moore’a z filmową i literacką antyutopią, odnaleźć biblijno-mitologiczne topoty w utworze Jensa Hardera „Leviatan” (kolejnego z dzieł nieznanych polskiemu czytelnikowi). Stworzony przez badacza obraz – to jeden z wielu walorów opracowania – nie jest jednoznacznie jednorodny. Jeśli Stan Lee, skądinąd ikona gatunku, tworzy utwór marny, to owa marność zostaje ukazana. Obok wybitnych i rewolucyjnych w formie prac Gustava Doré napotykamy album Fernando Fernadesa „Zora y los Hibernautas” – *postrzegany jako utwór niezbyt poważny i wykorzystujący konwencję science fiction jako pretekst do zaprezentowania dużej liczby na pół pornograficznych obrazków*. Jak w każdej przestrzeni zderzają się przejawy sztuki marnej i wybitnej, kultury niskiej i wysokiej.

Obszerna publikacja o powieści graficznej (gatunku, który już nie jest komiksem, wciąż jest literaturą, ambitnym narracyjnie projektem, może eposem ery smartfonów?), powinna znaleźć się w kanonie czytelniczym literaturoznawców. Bez wiedzy, nawet podstawowej, o wielu – uznawanych za niszowe lub „nieistotne” – zjawiskach:



Jerzy Szytak  
**Coś więcej, czegoś mniej. Poszukiwania formuły powieści graficznej w komiksie 1832-2015**  
587 s. ; 25 cm  
Poznań : Fundacja Instytut Kultury Popularnej, 2016  
82(091)-91

komiksie, sztuce ulicy, muzyce elektronicznej, serialach fantasy, nawet grach wideo, trudno dziś mówić o dobrej recenzji książki poetyckiej czy prozatorskiej. Przenikanie i – tu posłużę się znanym terminem Bachtina – wielogłosowość współczesnej kultury, przede wszystkim internetowej, wymaga, nie tylko leksykonów literackich, ale, również „Czegoś więcej...”.

\* Komiks, bo o nim mowa, to czwarty, obok poezji, prozy i dramatu rodzaj literacki. Ma charakter obrazowy, ale również scenariusz, narrację, literackie umocowanie. W Stanach Zjednoczonych, ziemi obiecanej „historii z dymkiem”, istotna jest właśnie jego literackość (nawet jeśli w powierzchownym czytaniu przypomina tani kryminał lub „powieść dla kucharek”) i to scenarzysta jest osobą najważniejszą.

Must have! dla piszących o współczesnej kulturze

# Ostrzeżenie i śmiech

Agata Kulik



„Kolorowa biało-czerwona” (Fundacja Banina, Lublin)

Na ten listopadowy weekend czekają wszyscy amatorzy sztuki alternatywnej. To trzy dni przedstawień, koncertów i wernisaży. Przegląd Teatrów Alternatywnych organizowany przez kieleckie Stowarzyszenie Artystyczne Teatr Ecce Homo (w tym roku XVII edycja), ma już swoją stałą widownię, która przyjeżdża do Kielc nawet z dalekich zakątków Polski.

PRZEGLĄD OTWORZYŁ SPEKTAKL taneczno-ruchowy Teatru Ecce Homo „Manekiny” – zaprezentowany dość nietypowo, w galerii handlowej „Echo”, a nie Bazie Zbożowej, gdzie rozgrywały się wszystkie pozostałe wydarzenia. To autorskie przedstawienie choreografki i tancerki Kieleckiego Teatru Tańca – Aleksandry Jaworskiej, po dwunastu latach wznowione przez Klaudynę Lewczuk-Banasz.

Jednak moim zdaniem, zdecydowanym faworytem tego dnia było przedstawienie Fundacji Banina z Lublina „Kolorowa biało-czerwona”. Spektakl, ten powinien trafić do uczniów każdej z polskich szkół. Choć tak naprawdę, w dobie podziałów, jakie widać w naszym kraju „Kolorową biało-czerwoną” powinni obejrzeć, również wszyscy dorośli. Przedstawienie porusza bowiem problem stosunku ludzi do własnego kraju oraz łatwości, z jaką mogą nimi manipulować skrajne organizacje za pomocą odpowiednio dobranych haseł. Trafiamy do szkolnej klasy, gdzie widownia to uczniowie. Wchodzi Hubert, który startuje w wyborach na przewodniczącego i próbuje przekonać widzów do oddania



**W dzisiejszym świecie sztuka ma za zadanie budować mosty.**



głosu na niego. Swoją program wyborczy opiera na idei patriotyzmu. No właśnie, ale czym dla nas jest dziś patriotyzm? Gdzie przebiega linia pomiędzy patriotyzmem a nacjonalizmem? „Kolorowa biało-czerwona” zmusza do zrewidowania swoich poglądów, zmusza do oddania głosu za lub przeciw.

Warto zobaczyć grę Huberta Dyla, który z powodzeniem dźwiga cały spektakl na swoich barkach. Wspaniale improwizuje, wdaje się w rozmowy z publicznością, która bierze czynny udział w tym przedstawieniu. Tekst Piotra Przybyty wyreżyserował Bartłomiej Miernik. Do współpracy nad „Kolorową biało-czerwoną” zaprosił również psychologa. Po spektaklu, zazwyczaj,

następuje druga lekcja, podczas której twórcy pokazują jakich technik manipulacyjnych użyto w spektaklu. Jak bronić się przed faszmem i pustostowiem, co tak naprawdę oznacza patriotyzm i dlaczego nie trzeba oddzielać go grubą kreską od tolerancji. W Bazie Zbożowej zamiast lekcji po spektaklu była wspólna dyskusja. Przedstawienie było grane po raz osiemdziesiąty pierwszy, więc twórcy mogli podzielić się z widzami swoimi spostrzeżeniami. Niestety wydały mi się one dość zatrważające, albowiem Hubert wygrał wybory, aż sześćdziesiąt razy. Reżyser kończąc dyskusję, wypowiedział ładne zdanie: *w dzisiejszym świecie sztuka ma za zadanie budować mosty*. Mam nadzieję, że te mosty pomiędzy skrajnościami mogą być przerzucone. Jeśli będziecie mieli okazję, zobaczcie koniecznie „Kolorową biało-czerwoną”.

Program sobotniego wieczoru był bardzo bogaty, rozpoczął się genialnym jak dla mnie spektaklem „Mamy problem. Monodram macierzyński” Magdaleny Bochan-Jachimek z Gdyni. Już nazwa zdradza, że będzie to opowieść o urokach macierzyństwa. Pokazuje



„Mamy problem. Monodram macierzyński”  
(Magdalena Bochan-Jachimek, Gdynia)

się z rzeczywistością, którą oddaje właśnie Magdalena Bochan-Jachimek. Oczywiście macierzyństwo to nie tylko rozstępy, wieczne niewyspanie, brak życia (towarzystwa, erotycznego i umysłowego), ale też coś, czego nie da się wyrazić, coś pięknego, niesamowitego. Jednak wiedza o dwóch stronach medalu sprawia, że łatwiej nie popaść we frustrację i uznanie, że nie jest się wystarczająco dobrą matką dla swojego dziecka.

„Nieskończony zbiór wszystkich innych” w wykonaniu aktorów Ecce Homo był następnym punktem programu. Odegrano fragmenty tego spektaklu w formie śpiewogry, jako hołd zmarłemu dwadzieścia lat temu Tadeuszowi Majowi.

Przedstawieniem, które zachwyliło publiczność tego wieczoru, był „Niedźwiedź” Kompani Teatralnej Mamro z Warszawy. To jednoaktówka z cyklu „Legendarium”, opowiadająca historię o „Niedźwiedziu-Mścicielu”, opartą na wydarzeniach lat 70. w Bieszczadzkim Parku Narodowym. Co ciekawe scenariusz powstał na podstawie opowiadań jednego z bohaterów



„Palacz zwłok. Panoptikum” (Teatr Fieter, Ozimek)



Fot. Wojciech Hobdass

„Audycja” (Teatr Ecce Homo, Kielce)

tego incydentu. Spektakl pokazuje, jak plotka może urosnąć do rangi państwowego problemu oraz ukazuje absurd tamtych czasów (czyżby aktualny i dziś?).

Wieczór zamknęła próba czytana „Mefista” w wykonaniu Marcina Bortkiewicza, w reżyserii Stanisława Miedziewskiego. Monodram został oparty głównie na motywach powieści Klausa Manna, opowiadającej o aktorze w nazistowskich Niemczech, który manipulowany przez propagandę, zaczyna być zabawką w rękach reżimu. Tekst Manna wzbogacony został urywkami z „Fausta” Johanna Wolfganga Goethego, „Komediantów” Thomasa Bernhardta, „Łaskawych” Jonathana Littella, „Życiorysty” Janusza Rudnickiego.

W niedzielę mogliśmy zobaczyć dwa przedstawienia. Pierwszy spektakl w formie monodramu o ciekawej scenografii to „Palacz zwłok. Panoptikum” Teatru Fieter z Ozimka, w wykonaniu i reżyserii Roberta Konowalika. Stworzony został na podstawie powieści Ladislava Fuksa o pracowniku praskiego krematorium. Wiedziony na swój sposób zinterpretowaną buddyjską filozofią próbuje on uwolnić ludzkość od cierpienia, które rozumie jak zło i jako takie pragnie je zwalczać. Potwierdzenie i realizację swych marzeń (ale i filozofii) znajduje w ideologii faszystowskiej.

Przegląd zamknął spektakl „Audycja”, koprodukcja Teatru Ecce Homo z Kompanią Teatralną Mamro.

Ta zabawna komedia omyłek, według scenariusza Grzegorza Reszka i reżyserii Piotra Wawera, zdobyła serca publiczności. To rzecz rozgrywająca się w studiu radiowym. Nagrania nie można jednak zrealizować – brakuje aktorów, giną taśmy, gaśnie światło. W spektaklu wystąpili: Aleksandra Białogońska, Karol Górski, Joanna Grela, Marek Kantyka, Diana Samiczak, Andrzej Sobierajski i Anna Winiarska.

Podczas trzydniowego przeglądu otwarto również trzy wystawy: dwie organizowane przez Stowarzyszenie Twórcze „Zenit” – „Wariacje” Wojciecha Bańskiego (por. str. 57) i „Rewizjoner” (por. str. 56), fotograficzną „Tych dwoje” (prezentującą 10-lecie pracy teatralnej dwojga aktorów Ecce Homo – Klaudyny Lewczuk-Banasz i Jonasza Kantyki). W klubie „Kottownia” wystąpił neofolkowy zespół „Zwierzę Natchnione” oraz gwiazda wieczoru – trio „Muniek i Przyjaciele” w składzie: Zygmunt „Muniek” Staszczuk (śpiew), Muniek Staszczuk i Paweł „Nazim” Nazimek (bas), Janek „Jahlove” Pęczak (gitarra), zaś wypalanie czarek japońską metodą raku przygotowała pracownia Ceramika Nova.

XVII Przegląd Teatrów Alternatywnych z jednej strony rozbawiał, ale z drugiej strony nie można było nie zauważyć, że każdego dnia spektakle ostrzegały przed nacjonalizmem i faszyzmem – przed tą historią, która już nigdy nie powinna wrócić. ■

Agnieszka Kozłowska-Piasta

# Elita patrzy przez okno

**To nie jest zły spektakl. Duet Janiczak-Rubin po raz kolejny mierzy się z historią, tworząc nowoczesny, kompletny spektakl-dyskurs o historii i jej wpływie na naszą współczesność. „Rasputin” to opowieść o władzy, hierarchii, które porządkują świat i spótczeństwo, a jednocześnie leżą u podstaw wszelkich konfliktów, prowadzących nieuchronnie do katastrof. To wreszcie dzieło o braku dialogu pomiędzy członkami tej samej spótczeńności, i oderwaniu władzy od tych zwykłych, maluczkich, którym rządzący tak chętnie odbierają głos i prawo do samostanowienia, narzucając swoją wolę i karmiąc ideami oraz teoriami nieprzystającymi do rzeczywistości.**

Fot. Wojciech Habdas



**PIERWSZA PREMIERA** sezonu w Teatrze im. Stefana Żeromskiego, a czwarte dzieło tego teatralnego zespołu na naszej scenie, tym razem opowiada nie o kobiecie, lecz mężczyźnie – zniechędzonym, mitycznym wręcz Rasputinie, człowieku z ludu, który znalazł postuch u władzy, i zbudował swoją pozycję na carskim dworze ostatnich Romanowów, by potem przez tę pozycję i wpływ na carat zginąć. W opowieści snutej przez Jolantę Janiczak, a skonkretyzowanej przez Wiktora Rubina pełni on raczej rolę symbolu, lusterka, metafory, bardziej niż protagonisty czy sprawcy wydarzeń. Bohaterami są bowiem ostatni Romanowowie tuż przed rozpadem ich świata i śmiercią. Stłoczeni na swoim dworze jak w areszcie, przez okno oglądają nadchodzącą rzeczywistość: protesty, bunty, rozwścieczony, zniechędzony i kompletnie niezrozumiały tłum, który żąda. I który niszczy. Członkowie carskiej rodziny nie rozumieją tego świata. Choć przeczuwają

swój koniec, nadal tkwią w starych przyzwyczajeniach i nawykach, tocząc pre-intelektualizowane i mocno elitarne dysputy o estetyce, historii, polityce czy religii. Strasznie trudno dopatrzeć się w nich ludzkich odruchów, to raczej pozy, fanfaronady, nadęte demonstracje.

Nic odkrywczego. O tym, że władza i elity nie widzą ludzi, nie pochylają się nad zwykłym człowiekiem wiemy nie od dziś. O tym, że to właśnie tę władzę gubi także już styszeliśmy. Los Romanowów jest przypieczętowany, tragiczny, bo rozwścieczony i pełen idei, i wiary w świetlaną lepszą przyszłość lud nie powstrzyma się przed zbrodnią. Mimo to teatralny obraz, gdy olbrzymi żyrandol obwieszony sierpami i młotami przykrywa carską rodzinę nie pozostawia złudzeń i na długo zostaje w pamięci. Nie o historię jednak tylko chodzi. Ostatnie chwile Romanowów są pretekstem do rozważań o współczesności i tym, w jaki sposób można historię wykorzystywać do

uprawiania polityki. Córki cara jak duchy z przedchrześcijańskich dziadów błagają o pomoc w rekonstrukcji ich śmierci, bo tylko to pozwoli dopełnić ich historię. Na scenie pojawia się znumifikowany Lenin, który uwodzi swoją ideologią jedną z carskich córek, Olę. O wyjątkowości i szczodroblowości cara dowiadujemy się z ust wnuczki nieżyjącej już kobiety, która jako mała dziewczynka witała władzę. Wnuczka powtarza gesty swojej babci i za swoją opowieść otrzymuje sowitą nagrodę od teatralnego Mikołaja II. Na ponownym badaniu, interpretacji faktów z przeszłości można zbić niezły kapitał, ot choćby trafić do panteonu nieoficjalnych świętych lub, chociaż trochę zarobić...

W teatralny nawias wzięto także Rasputina. Jak jurodiwyj przychodzi z ulicy (dosłownie!) w walonkach, prawie nagi, przykryty płaszczem. Choć może liczyć na przychylność carskiej rodziny nigdy nie staje się jej częścią. Jak boży szaleniec mówi o Bogu, świadczy o nim, wymusza reakcję innych, staje się symbolem, zwierciadłem, ikoną, niemym uczestnikiem zdarzeń, które dzięki jego obecności nabierają innego zdarzenia. Nie może więc zginąć od trucizny, kuli, czy utonięcia. Staje nagi przed nami z tabliczką na szyi. To już nie Rasputin, ale Maciej Pesta – aktor, skompromitowany, bo do tych podstawowych informacji dopisano słowo „pedał”. Opluty, ponizony, z etykietą, uśmiercony za życia przez język nienawiści i stygmatyzację. To także już znamy, choć trzeba przyznać, że w Polsce – zwłaszcza w polityce – wybaczają się zbyt wiele.

Wszystkie te elementy spektaklu składają się na zwartą przemyślaną i całość. Są czytelne i dodatkowo ciekawe, choć nie odkrywczą teatralnie pokazane. Umowna scenografia i kostiumy – stroje „trochę z epoki”, wzbogacone tandetnymi błyskotkami także wzmacniają przekaz spektaklu. Aktorzy radzą sobie z materią dobrze lub świetnie. Wyróżniłabym tych, którzy w mocno teoretyczne dysputy tchnęły najwięcej życia: Joannę Kasperek jako carycę Aleksandrę, Wojciecha Niemczyka – władczego cara Mikołaja, który jest wręcz kołem zamachowym historii i Dawida Żłobińskiego, który w roli śmiertelnie chorego księcia



Aleksego momentami chwytat za gardło, i ostrą – jak zwykle – energiczną księżną Irinę Eweliny Gronowskiej.

Na tym jednak nie koniec recenzji, bo znany z umiłowania do prowokacji duet postanowił pójść jednak znacznie dalej w swojej teatralnej realizacji. I tutaj zaczynają się schody. Podczas spektaklu mamy okazję również: 1. przez kilka dobrych minut (dla mnie trwało to wieczność) możemy podziwiać przyrodzenie aktora grającego Rasputina, który coś do nas mówi (nieznośność tej sytuacji sprawiła, że niestety nie zapamiętałam ani słowa); 2. zobaczyć techniczne możliwości kieleckiej sceny podczas transmisji na żywo z kieleckiej ulicy Sienkiewicza, gdy aktorzy biegają i próbują namówić kogoś do zarobienia 100 zł (nikt się nie zgodził); 3. uczestniczyć w rekonstrukcji pogromu kieleckiego poprzez bieganie z widzami po tej samej ulicy za aktorką przebraną w kostium Żyda, czyli futrzaną czapkę z pejsami (jeden odważny); 4. podrzeć portret nie lubianego polityka na scenie w obecności całej widowni (0 chętnych); 5. wypić trochę szampana i zapalić papierosa w obecności dwóch carskich córek tańczących na murze, czyli poczuć się lepszym, bo przecież każdy

zwycięski dziki tłum tworzy swoją nową hierarchię (poszedł znajomy twórców przedstawienia, bo też nikt nie chciał); 6. wdepnąć w sztuczne ludzkie „gówno” w foyer teatru przed rozpoczęciem spektaklu (osoba, z którą byłem na spektaklu – przypadkowo!); 7. zaśpiewać Międzynarodówkę (jakieś pół sali).

Na dodatek te elementy zostały wplecione w fabułę spektaklu w ten sposób, by widowni wydawało się (co zresztą w którymś momencie nawet pada ze sceny), że nie ruszymy dalej, jeśli ktoś tego nie zrobi. Mimo to publiczność – jak można wywnioskować z powyższego zestawienia – nie kwapiła się do pomocy. Być może ta premierowa jest inna – zbyt sztywna i zbyt wystrojona. Moim zdaniem opór wynikał z czegoś innego. W opowieści o dwóch hermetycznych, walczących ze sobą światach ludzi, twórcy spektaklu pokazują nam tylko jeden: ten elitarny, wyjątkowy, bogaty i oderwany od życia. Wściekły tłum poznajemy dzięki relacjom członków carskiej rodziny, którzy jak caryca Aleksandra czasami wyglądają przez wielkie okno. Skoro na scenie ich nie ma, to może widzowie nimi są? Nawet jeśli nie to było zamysłem twórców spektaklu, to reagując na prowokacje

aktorów stalibyśmy się zbyt podobni do tej okropnej, przerażającej tłuszczy buntowników i rewolucjonistów, która obaliła carat i zamordowała wszystkich przedstawicieli tej władzy, grabiąc przy okazji ich majątek i niszcząc dorobek. A przecież tacy nie jesteśmy, przynajmniej nie wszyscy.

Prowokacje na scenie, nagość i inne dobrze już znane eksperymenty po-



**A przecież tacy  
nie jesteśmy,  
przynajmniej nie  
wszyscy.**



winny wzmacniać przekaz spektaklu, budząc emocje, a przez nie pamięć i ostrość analizowania i myślenia. W przypadku „Rasputina” raczej się nie przystyżę. Sypane jak z rękawa, były jak dygresje i luźne skojarzenia (wrzucone bo fajne lub odważne), które rozrywają solidną – choć przetadowaną intelektualnie, a w sumie mało odkrywczą – tkankę spektaklu. ■



Agnieszka  
Kozłowska-Piasta

# Protest song z różem w tle

Choć kobiety coraz wyżej podnoszą głowy, protestując, krytykując i walcząc o swoje prawa lub chociażby... damskie końcówki zawodów i stanowisk, w sklepach z ubraniami na regałach przeznaczonych dla dziewczynek nadal króluje róż. Ten kolor wylewa się także z „babskich” półek wypelnionych zabawkami i akcesoriami szkolnymi, a podczas zajęć plastycznych, gdy różu lub fioletu braknie, często leją się łzy.

DLA TWÓRCÓW „AKADEMII pani Beksy”, prapremiery, która rozpoczęła nowy sezon w Teatrze Lalki i Aktora „Kubuś”, róż nie jest tylko kolorem, kształtującym gust przyszłych kobiet, ale przede wszystkim... stylem życia, jeśli nie... stanem umysłu. Autorką tekstu jest nie byle kto, bo Julia Holewińska, najmłodsza laureatka Gdynskiej Nagrody Dramaturgicznej. Jej nagrodzony w 2010 r. dramat „Ciała obce” wywołał spore dyskusje. Nic dziwnego, bo autorka w swoich sztukach rozprawia się z polskimi i współczesnymi mitami, patrząc z zupełnie innej perspektywy m.in. na polskich działaczy antykomunistycznych, rolę kobiet, rodzinne zależności rodziców i dzieci, czy konsumpcjonizm. „Akademia pani Beksy”, choć przeznaczona dla dzieci też jest

taka. Tym razem autorka rozprawia się z męską „Akademią pana Kleksa”, dokonując „feministycznej” trawestacji dzieła Jana Brzechwy.

Po pierwsze do akademii chodzą dziewczynki, a główna bohaterka to Basia, córka Adama Niezgodki. Po drugie ich imiona zaczynają się na B, nie dlate-



Wszystko co grzecznym  
dziewczynkom nie  
wypada.



go, że są drugie czy gorsze od chłopców, ale dlatego, że – w przeciwieństwie do mało skomplikowanych panów dużych i małych – zawsze mają plan B. Po trzecie w akademii robią wszystko to, co nie zawsze mogą robić w domu, bo grzecznym dziewczynkom nie wypada. Łażą po drzewach, łamią paznokcie, kolekcjonują siniaki i zadrapania, które w akademii traktowane są jako trofea. Zmyślają i wymyślają, marzą i śnią, rozwijając wyobraźnię, trajkocząc, bawiąc się i śpiewając. Bo wyobraźnia jest najważniejsza dla pani Beksy: pozwala nie tylko poczuć się kimś innym, ale także zapomnieć o kłopotach. Każda dziewczynka ma swój smutny sekret, a edukacja w akademii pani Beksy pozwala o tym niemiłych doświadczeniach zapomnieć. Zamiast golarza Filipa mamy Różową Królową, dziewczęcym humanoidem jest także przystana do akademii Helga. Na szczęście dziewczynki, uczennice nietypowej akademii potrafią ucztowieńczyć robotkę, by stała się po prostu Bronką.

Bawi nie tylko sama sztuka, ale i jej sceniczna realizacja, której podjął się dyrektor kieleckiej sceny Robert Drobniuch. Można dopatrzeć się inspiracji

latami 80., kiedy to Krzysztof Gradowski brawurowo przeniósł na duży ekran książkę Jana Brzechwy, a Juliusz Machulski zrobił kultową „Seksmissję” (to dorosłe skojarzenie nie pojawia się przypadkiem: robotka Helga ma kostium jak uciekinierki z podziemnej krainy kobiet). Mamy więc prawie musical, iskrzący się feerią barw, dźwięków i peten zaskakujących pomysłów. Zamiast nudnych lekcji pojawiają się kolejne przeboje odśpiewane i zatańczzone tak, że aż dech młodym widzom zapiera (za muzykę odpowiada Piotr Klimek, a za choreografię Karolina Gabacik). Mamy ciekawą scenografię (czy fragment folii bąbelkowej w rozmiarze XXL to symbol nudy czy ciekawej zabawy?) Katarzyny Proniewskiej-Mazurek i zabawne kostiumy Hanksi Podrazy. Basia Niezgodka chodzi w podkoszulce z Barbie z domalowanymi włosami, a Różowa Królowa do pięknego płaszcza i peruki nosi nie szpilki, lecz różowe klapki ogrodowe. Studentki akademii chodzą w kąpielowych czepkach, a pies Balzakin (zastępuje kruka Mateusza) paradyje po scenie w śpiochach w babczki. Choć całość mnie osobiście przypomina kiczowate, papugowate gazetki dla młodszych i nieco starszych nastolatków, przetadowane fotografiami, graficznymi pomysłami, błyskotkami i przemielonymi na mate kawałki treściami, to młodej widowni się bardzo podoba.

W tym energetyczno-muzycznym-dowcipnym klimacie doskonale odnaleźli się aktorzy. Grająca Basię Anna Domalewska trajkocze jak każda podniekszutowana czymkolwiek dziewczynka, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Zblazowany Balzakin Andrzeja Kuby Sielskiego jest trochę jak głos rozsądku, trochę jak mistrz ceremonii, nadający rytm opowieści, a pani Beksa Beaty Ortowskiej to energetyczna, ale pełna matczynego ciepła babka, która twardą ręką prowadzi akademię, nie bacząc na trudności i przeszłości. Show kradnie jednak Agata Sobota jako Różowa Królowa, damul-kowata paniusia, namawiająca w songu „Wtóż róż” do ulegania komercji i niczym nitezasadnionej modzie. Mam jednak nadzieję, że ta energia, jaka bije ze sceny „Akademii pani Beksy” przekona „różowych” do innych kolorów. ■



Katarzyna Szychowska

# Uniwersum (nie)odkryte

*(...) On im dodawał pieśnią sił (...)/ Śpiewał, że czas, by runął mur...* to słowa jednej z najstojniejszej piosenek Jacka Kaczmarskiego, traktowanej jako nieoficjalny hymn „Solidarności”. W świadomości zbiorowej dokonania artystyczne autora „Murów” często sprowadza się wyłącznie do utworów antykomunistycznych. Nie są one jednak jedynym składnikiem niezwykle różnorodnej twórczości polskiego barda. W pełni potwierdza to książka (a właściwie księga!) „Między nami. Wiersze zebrane”.

CZWARTA Z KOLEI ANTOLOGIA POEZJI Kaczmarskiego prezentuje ponad 600 utworów. Zawdzięczamy ją długiej i ciężkiej pracy redakcyjnej Krzysztofa Nowaka. We wstępie do zbioru „Między nami” przybliży on mozolny proces powstawania monumentalnego wydania wierszy. Ujawnia m.in. kulisy ustalania wersji poszczególnych tekstów, podając przy tym najciekawsze przykłady.

Otwierając księgę, wkraczamy w świat osoby żywo reagującej zarówno na ponurą rzeczywistość Polski Ludowej („Wizyta w PRL na zaproszenie rzecznika rządu”) czy wydarzenia na świecie (np. katastrofa w Czarnobylu – „Dzień gniewu II”), jak i na własne doświadczenia życiowe. Przejmujący jest szczególnie ostatni rozdział – „Tunel” – skupiający utwory powstałe w czasie zmagania autora z chorobą nowotworową. W wierszu „Księga skarg i zażaleń” podmiot wyznaje: *Pozatykały mi się rurki, / gruczoły skwierczą jak pturki, (...) przetyk nie dziata ani-ani*. Osobisty dramat nie pozbawił jednak poety poczucia humoru, który ujawnia się w ironicznej zabawie językowej (*zraczyć się raczył kielich krtani*).

Co istotne, krainę poezji barda wypełniają też niecodzienne ujęcia znanych dzieł malarskich i literackich, co świadczy o wszechstronności jego zainteresowań. Na uwagę zasługuje np. „Lalka, czyli polski pozytywizm” z cyklu „Lektury szkolne”. Kaczmarski wydobyl tu najważniejsze wątki i zdarzenia opisane w powieści Bolesława Prusa. Nie jest to jednak proste odzwierciedlenie treści „Lalki” w tworzywie poetyckim, lecz zapadająca w pamięć miniatura, która ten utwór odświeża, nadaje mu nową jakość.

Odbiorców, którzy sięgną po księgę Kaczmarskiego, z pewnością zaskoczy wyjątkowość jego młodzięcych tekstów. Krzysztof Nowak zauważa, że zawrotna kariera polskiego barda nie zaczęła się od

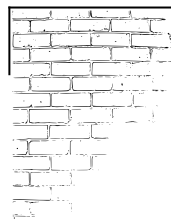
Jacek Kaczmarski  
*Między nami. Wiersze zebrane*  
1142 s.; 24 cm  
Warszawa: Prószyński Media, 2017  
821.162.1-1



stojnych „Murów”, lecz właśnie od juveniliów.


W nich bowiem widać już najbardziej znaczące cechy warsztatu artystycznego poety. Należy do nich celna obserwacja świata, w którym niepodzielnie panuje zasada „po trupach do celu” – każdy chciałby *choć o krok przed swoim być bratem. A gdy się nie daje, za kark go i w pysk! Od lat ta metoda panuje nad światem* („Bieg”).

Inną ważną właściwością pisarstwa Kaczmarskiego jest umiejętność metaforycznego spojrzenia na prozaiczne sytuacje – w jego wizji uwięzienie w windzie to symbol zakleszczenia we własnych problemach i obojętności na ból innych – *Bo każdy własną windą mknie! / I między swymi piętrami tkwi* („Ballada o windzie”). Uderza także trafność refleksji nad burzli-



**Artysta doskonale  
znany, a zarazem...  
jeszcze niepoznany.**

wą historią naszego kraju – w utworze „Wspomnienie” autor, wykorzystując charakterystyczne postaci (hetman, szlachta pijąca wódkę, cudzoziemski oficer, poeta opiewający zwycięstwo), tworzy model bitwy będący kwintesencją postaw w czasie konfliktów zbrojnych w Polsce szlacheckiej.

Jacek Kaczmarski w świetle lektury najnowszej antologii jawi się jako artysta doskonale znany, a zarazem... jeszcze niepoznany. Księga „Między nami” to zatem swoiste zaproszenie do jego (nie)odkrytego uniwersum, gdzie czeka wciąż wiele tajemnic. 

Paweł Chmielewski

# Gombrowicz i Żeromski – rebiografie

Polska literatura i krytyka literacka znalazły się w bardzo ciekawym miejscu – kończy się czas pomnikowych i ulizanych biografii, czas „brązowników”. Wracamy do metody Zbyszewskiego i Boya-Żeleńskiego. Pisarze mają słabości, wstydliwe tajemnice, czarne plamy w życiorysach. Makuszyński jest mizoginem i zdarza się mu bywać antysemitą („Projektor” 4/2017), Lem kłóci się o honoraria i zмага z surrealistycznym światem PRL-u („Projektor” 5/2017), Wyspiański z chorobą weneryczną i obsesją śmierci (por. str. 36). Przed nami etap trzeci – fabuły oparte na biografiach w duchu Irvinga Stone’a, Davida Weissa i Somerset Maughama. Nadejdzie niedługo.

W NURCIE „Zyciorysów odbrazowionych”, opartych na rzetelnej i bogatej analizie źródeł, ukazały się dwie rebiografie – Witolda Gombrowicza i Stefana Żeromskiego.

## Obcy

To dość dziwne, ale nie istniała dotychczas pełna relacja z życia Witolda Gombrowicza. Autor „Kosmosu” egzystował tylko w autokreacyjnych „Dziennikach” i biografiach częściowych – fascynujących, lecz poprzez odwołania do niewielkiego skrawka życiorysu – podsycających ciekawość, jak „Jaśnie Panicz” Joanny Siedleckiej, „Gombrowicz w Vence” Krzysztofa Głaza, fabularyzowanej „Gombrowicz i Buenos Aires” Laury Pariani. Nie istniała, do końca września tego roku. Kilkuletnie badania nieznanymi dokumentami, wspomnieniami, podróże śladami pisarza – i oto mamy: prawie 1200 stron w dwóch tomach, ok. 170 zdjęć, 11 map. „Gombrowicz. Ja, geniusz” Klementyny Suchanow.

Pisarz, być może najwybitniejszy w Polsce w XX w., niektórzy twierdzą,

że nawet w Europie, a w zasadzie jego powikłany, chaotyczny, niski i ciemny, wysoki i wzniosły życiorys, zostaje pokazany na tle przemian historycznych, intelektualnych i społecznych dwudziestego stulecia, na tle losów rodzin Kotkowskich (matki) i Gombrowiczów (ojciec) – tak obszernej prezentacji najbliższych Itka (jak go nazywano) dotychczas nie było. Lektura rozdziałów genealogicznych (nie tylko zresztą ich) podkreśla efekt – powtarzający się na kartach każdego z tomów – „obcości”. Gombrowicze, ziemianie z Litwy, zostają – po kilku wiekach „kresowych” – nagle rzućni do Królestwa Polskiego, gdzie nie chcą i nie mogą utrzymywać prawie z nikim kontaktów. Z ziemian stając się przemysłowcami (fascynujący rozdział dla wielbicieli reymontowskiej „Ziemi obiecanej”) przez lata żyją w swoistym kokonie, po II wojnie światowej – siostra i matka Gombrowicza, podobnie jak dwustu warszawiaków z rodzinami, przez piekło przejściowego obozu Dulag 121 w Pruszkowie, trafiają do Kielc, z zakazem powrotu do stolicy. Żyjąc w izolacji, na skraju nędzy są dość charakterystycznym elementem powojennego krajobrazu miasta. Starsi kielczanie wspominają dwie skromnie ubrane staruszki, spacerujące od mieszkania przy ul. Mickiewicza do parku i ul. Słowackiego, dystyngowane, do których

prawie nikt nie podchodził ze strachu (najpierw), z szacunku (potem) i znów ze strachu (uzasadnionego, jak dowodzą akta służby bezpieczeństwa o inwigilacji rodziny pisarza, do których dotarła autorka biografii).

Ta obcość, inność towarzyszy Gombrowiczowi przez całe życie. Od dzieciństwa, gdy przebierany przez matkę za dziewczynkę był obiektem drwin i niedowierzania wśród służby i chłopów (a jak przekuwał traumę i nadopiekuńczy terror matki w literaturę, pokazuje Suchanow, analizując „Iwonę, księżniczkę Burgun-

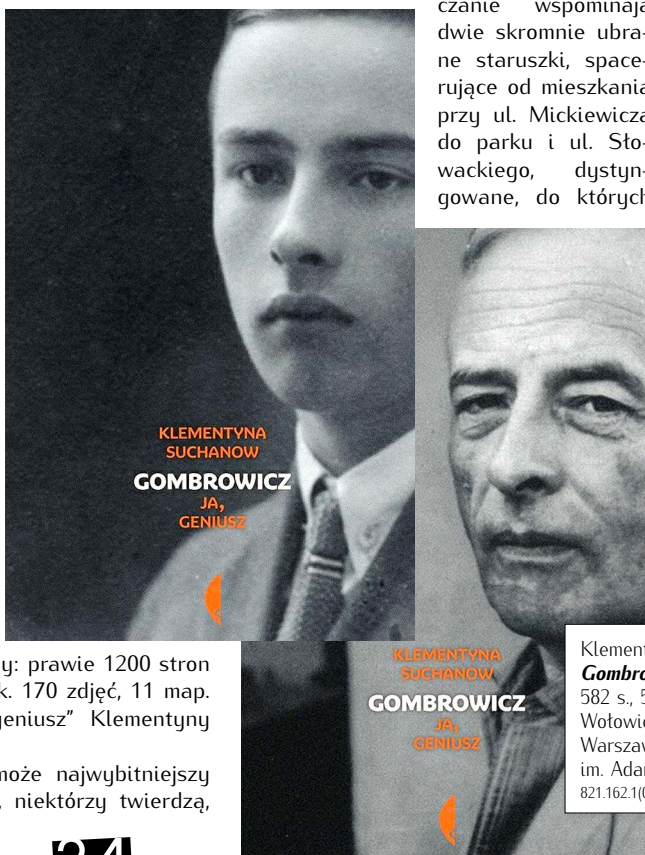


Kończy się czas ulizanych życiorysów, czas „brązowników”



da”), aż do schyłku życia, gdy znajduje spokój dopiero u boku outsiderki (jak on) Rity. Indywidualizm, inność Gombrowicza widać najlepiej w dwóch momentach – szkolnych latach w Warszawie i argentyńskiej emigracji. Poczucie wyższości/nizszości i snobizmu, który panował w przedwojennej stolicy – dowcipnie prezentuje autorka, przywołując wspomnienia dzieci – dotyka Witolda w elitarnym gimnazjum, w którym jest niby z warstwy wyższej, lecz brak mu tego schodka do Sobańskich i Platerów. Żeby w pełni zrozumieć te niuanse, przywołam angielski system, gdzie rozróżnienia na „średnią średnią klasę”, „średnią wyższą” itd. są delikatne i zarazem stygmatyzujące każdego z ludzi. Ten stygmat obcości – który zaważył na karierze literacko-towarzystwej Gombrowicza – to rok 1920, gdy z szesnastolatkiem tylko on nie zgłosił się do wojska i przez lata zmagał się z maską (lub używając jego idiolektu „gębą”) tchórza. Argentyna, to z kolei zderzenie z koturnową „miazgą” emigracji (po tej biografii całkiem inaczej czytamy „Trans-Atlantyk”) i odkrycie własnej seksualności, w homoerotycznych romansach, o których nikt dotychczas zbyt dokładnie nie pisał.

Skłonność do prowokacji, wyrobiona jeszcze w czasach warszawskich „umiejętność gry ludźmi i pogłębiami”,



Klementyna Suchanow  
**Gombrowicz. Ja, geniusz**  
582 s., 598 s. ; 23 cm  
Wrocław : Wydawnictwo Czarne ;  
Warszawa : Muzeum Literatury  
im. Adama Mickiewicza, 2017  
821.162.1(091):929-052(438)119\*

doskonalona przy kawiarnianych stolikach, tuż po sukcesie – nie-sukcesie „Pamiętnika z okresu dojrzwania” i „Ferdurdurke”, nade wszystko zaś bezkompromisowość pisarza, wypycha go w sytuacje tragiczne. Na chwilę widzimy jak obcy i samotny może być geniusz – gdy po pobycie w Niemczech rozpoczyna się nagonka w opiniotwórczej prasie emigracyjnej, europejskiej i kampania krytyków w Polsce – Gombrowicz pozostaje sam, przyjaciele milkną. Jest też w tej biografii Gombrowicz przyziorny i radośnie komiczny, gdy uktada plan wydatków na poczet przyszłej Nagrody Nobla. Jest i obcy, i ludzki.

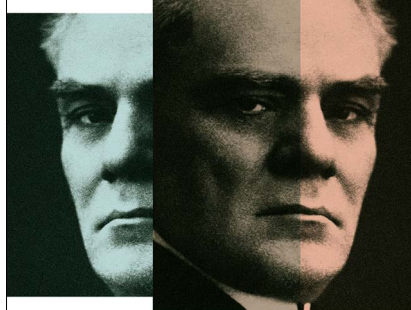
Podobno kiedyś pisarz siedząc samotnie na tarasie willi w Vence miał rzucić do jednego z gości w salonie – „Proszę mnie nie podglądać”. Trzeba przeczytać biografię, by zrozumieć.

## ŻONA, NIE-ŻONA I WYDAWCA CHCIWY

O bohaterze drugiej książki, w charakterystyczny dla siebie prowokacyjno-prześmiewczy sposób, wypowiedział się bohater pierwszej. Dla Gombrowicza, jak to zapisał w „Dziennikach”, Żeromski był autorem „całym z mitości, instynktu”, którego cenili (chyba tylko) za „Dzieje grzechu”. Trudno dziś (mimo *wzniosłych ran rozdrapywania, by nie zarosły błoną podłości* i pięknego idealizmu) czytać Żeromskiego. Modernizm liryczny przyniósł nie tylko piękne, ale i złe kwiaty, niestety – język prozy młodopolskiej, zwłaszcza naszej, nużący, maltretujący wręcz odbiorcę. Jak napisał – nie interesuje nas tu jednak słowna ekwilibrystyka, synestezja rozbudowanych kadencji, żadnego z dwóch niedoszłych noblistów (przypomnieć warto, że i Żeromski, i Gombrowicz byli na „krótkiej liście” Akademii Szwedzkiej – pierwszemu miał zaszkodzić, podobno, antyniemiecki „Wiatr od morza”, drugiemu – przedwczesna śmierć).

Książka – Zdzisława Jerzego Adamczyka (historyka literatury, przez lata profesora Akademii Świętokrzyskiej, potem UJK, od 2011 r. przewodniczącego Komitetu Redakcyjnego „pism zebranych” Stefana Żeromskiego), który w swej pracy opiera się przede wszystkim na opracowanych wcześniej sześciu tomach listów autora „Popiołów”, otóż „Manipulacje i tajemnice. Zagadki późnej biografii Stefana Żeromskiego” – to rzecz z pozoru zaskakująca. Lata dziecięce i szkolne późniejszego autora „Róż” są

Zdzisław Jerzy Adamczyk



## MANIPULACJE I TAJEMNICE

ZAGADKI PÓŹNEJ BIOGRAFII  
STEFANA ŻEROMSKIEGO

CZY  
TEL  
NIK

Zdzisław Jerzy Adamczyk  
**Manipulacje i tajemnice. Zagadki  
późnej biografii Stefana Żeromskiego**  
244 s. ; 21 cm  
Warszawa : Spółdzielnia Wydawnicza  
„Czytelnik”, 2017  
821.162.1(091)\*19:929-052(438)\*19\*

rozpoznane doskonale – nie tylko – dzięki autobiograficznemu „Syzyfowym pracom” i „Dziennikom” pisarza, ale również świetnie udokumentowanej „Młodości Stefana Żeromskiego” Jerzego Kądzioły. Około 1910 r. zaczyna rozsnawać się mgła, która gęstnieje, gęstnieje i zakrywa ostatnie piętnaście lat życia. To paradoks – im bardziej Żeromski stawał się sławny, „na widelcu” opinii publicznej i czytelników (czytelników, którzy w epoce raczkującego kina, bez telewizji, radia, Internetu, nie mieli innych idoli poza pisarzami) – tym bardziej ukrywał życie prywatne. Gdy nie było już Wyspiańskiego, zmarł Sienkiewicz, to właśnie Żeromski stał się „sumieniem narodu”, na którego biografii nie mogła pojawić się najmniejsza ryska. Zdzisław J. Adamczyk, pisząc rozprawę – co określa bardzo wyraźnie we wstępie – musiał zmierzyć się z mitami narosłymi wokół autora „Popiołów”. Mitomanią, którą podtrzymywały skutecznie przez lata dwie biografie pisarza – Moniki Żeromskiej i Hanny Mortkowicz-Olczakowej (córka wydawcy). Mitami, które były delikatną, gdzieś niedość drastyczną, manipulacją. Zaś archiwum – chociażby korespondencyjne – Żeromskiego jest niekompletne. Część listów spłonęła w czasie wojny, inne „zostały zagubione” lub wyczyszczone z faktów niewygodnych.

Autor „Manipulacji i tajemnic”, obok roli naukowca i biografii, wciela się w rolę detektywa. Odtworzyć musi kilkanaście lat z życia na dwóch płaszczyznach: prywatnej i zawodowej. Śledztwo w archiwach państwowych i prywatnych, w Polsce, Szwajcarii, Włoszech, Francji miało wyjaśnić pozycję Anny Zawadzkiej

(matki Moniki), relacji z nią pisarza i równoległego, lecz już rozpadającego się małżeństwa z Oktawią Rodkiewiczową. Odtwarzając biografię i drzewo genealogiczne obu kobiet, śledząc notatki prasowe i wspomnienia osób, które widząc sławnego pisarza, natychmiast „uprzejmie donosiły” znajomym, kto w jego towarzystwie się pojawił, składając te poszlaki, Adamczyk zmierza do odpowiedzi na trzy pytania: czy Żeromski miał równoległe dwie żony? Jaki był status Anny i Moniki? Co znaczący mają zapisy w teście pisarza? Finał śledztwa nie jest może tak błyskawiczny i efektowny jak w beletrystycznej mitografii Dana

Browna, ale niezwykle ciekawy. Zainteresowanych rozwiązaniem odsyłam do książki.

Życie prywatne, ukrywane, bardziej plotkarskie i dla ciekawskich, ale – poza

sensacyjnością – książka Zdzisława Jerzego Adamczyka posiada jeszcze jeden, nie wiem nawet czy nie ważniejszy walor poznawczy. Nie mam na myśli pośmiertnego życia pisarza, związanego z kalwińskim (dlaczego kalwińskim? – niech drobną wskazówką będzie los ojca z „Pamiętnika młodego warszawiaka” J.S. Stawińskiego) pogrzebem. Ten walor przyziorny, związany jest z życiem zawodowym pisarza. Z jego wieloletnim i na wyjątkowość kontraktem z oficyną wydawniczą Mortkowicza. Czytamy o nieustannym wyścigu zbrojeń między właścicielami wydawnictw i pisarzami – wielkościami nakładów, sposobach wypłaty honorariów, fałszerstwach, stawkach autorskich. O grach wojennych, które toczą się w misternej sieci – Żeromskiego, Mortkowicza, Gebethnera. Pisarz był wtedy u szczytu popularności, mógł negocjować stawki trzydziestu procent od sprzedanego egzemplarza, za „przejście do konkurencji” kupić willę w Konstancinie.

Chociaż widzimy konfigurację rodzinne, akty chrztu podpisywane przez nieobecnych świadków, tajemnicze związki małżeńskie, to nie można się oprzeć wrażeniu, że spory wszystkich uczestników dramatu rozpoczynały się zawsze i kończyły jednym pytaniem – kto będzie dysponentem praw autorskich? Ostatnie lata życia pisarza – zdekonstruowane przez Zdzisława Jerzego Adamczyka – to ciekawy teatr, lecz zawsze w tych samych, brzęczących, starych dekoracjach. ■

# Za mało czasu by żyć

Martyna Musiał

Wyspiański był twórcą wszechstronnym. Poczucie ciągłego niespełnienia artystycznego nie pozwoliło mu poprzestać na jednej dziedzinie sztuki, wciąż poszukiwał nowych form ekspresji. Dał się poznać jako znakomity malarz, twórca witraży i polichromii, scenograf teatralny, grafik, poeta i dramaturg. Wszystkie jego poczynania musiał cechować najwyższy artyzm. Był bezkompromisowy w dążeniu do urzeczywistnienia swoich wizji. Zdarzało mu się rezygnować z realizacji niektórych projektów, jeśli nie miał możliwości przeprowadzenia ich według własnego zamysłu. Przed śmiercią posunął się nawet do niszczenia dzieł, które nie spełniały jego oczekiwań. Jednak, spodziewając się krótkiego życia, poświęcał każdą chwilę na pracę twórczą. Dzięki temu pozostawił po sobie imponujący dorobek.

Monika Śliwińska  
*Wyspiański. Dopóki starczy życia*  
 513 s. ; 25 cm  
 Warszawa : Wydawnictwo Iskry, 2017  
 821.162.1(091)\*18\*/19\*:75.071(438):929-052(438)\*18/19\*

TRUDNO NIE POCZUĆ DUCHA dzieł Wyspiańskiego przebywając w Krakowie, gdzie spędził większą część życia. Dzięki dziełom literackim – szczególnie nowatorskiemu, skandalizującemu „Weselu”, w którym sportretował polską mentalność – zdobył tytuł czwartego wieszca. Mniej głośniejsza jest jego biografia – życie rodzinne, motywacje, proces twórczy, sposób w jaki osiągnął sławę i sukces artystyczny. O tym właśnie jest książka autorstwa Moniki Śliwińskiej „Wyspiański. Dopóki starczy życia”.

Stanisław Wyspiański był jedną z najważniejszych postaci Krakowa, twórcą uwielbianym, którego nie wypadało krytykować. Po śmierci żegnano go z honorami, a na pogrzebie zjawili się tysiące mieszkańców. Jednak poprzedziły to lata bezowocnych prób

udowodnienia swojej wartości jako artysty, przekonania odbiorców i współpracowników do odmiennego spojrzenia na sztukę. Trudności w dużej mierze wynikały z niezrozumienia – jego dzieła plastyczne odbiegały stylistyką od obowiązujących kanonów, a przepiękne symbole dramatu sprawiały kłopot nawet najzagorzalszym wielbicielom.

Zdziwienie wywoływały również

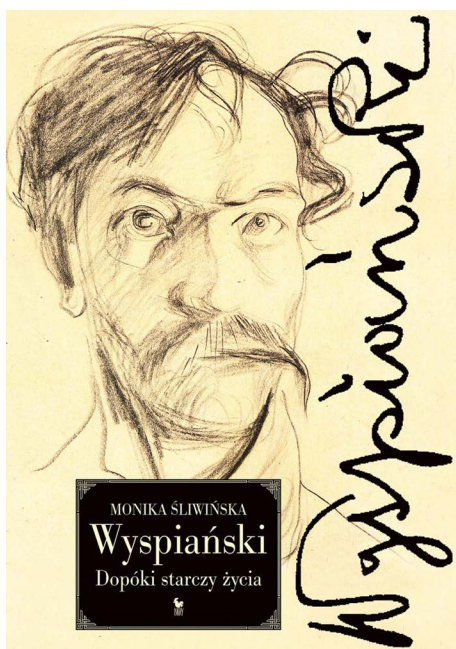
jego zauroczenia. Kobiety, które kochał, nie należały do klasycznych piękności. Jego małżeństwo z chłoptką, nazywaną przez niego pieszczotliwie Teosią, wzbudziło sprzeciw najbliższej rodziny. Żona nie dorastała do niego pod względem urody, statusu społecznego ani intelektu. Wielu uważało ten związek za nieodpowiedni. Wyspiański był jednak przekonany, że poślubienie Teosi jest jego obowiązkiem – była już wtedy matką jego dziecka. Trudno również oprzeć się myśli, że da-

Sztukę tworzy się  
w bólu i lęku.

rzył ją szczerym uczuciem. Została nie tylko jego żoną, ale również muzą.

Największą tragedią nie były jednak przeszkody w osiągnięciu sukcesu, niekończące się problemy finansowe czy niezrozumienie innych dla jego wyborów życiowych, a wyniszczająca organizm przez lata choroba weneryczna. Niemoc spowodowana nawrotami, kiedy nie mógł już utrzymać otówka oraz świadomość nieuchronnie zbliżającej się śmierci, były powodem nieustającej walki z czasem. To właśnie wtedy osiągnął wyżyny twórczości, potwierdzając swoją myśl, że sztukę tworzy się w bólu i lęku.

Śliwińska, pisząc biografię Wyspiańskiego, dotarła do wielu materiałów dokumentujących opisane wydarzenia. Wśród nich znalazły się listy, artykuły prasowe, fragmenty pamiętników czy rodzinne fotografie. Dzięki tej pracy możemy lepiej poznać życie jednego z najwybitniejszych polskich artystów, a także poczuć atmosferę młodopolskiego Krakowa. ■



# Na początku było...

Martyna Musiał

**Na początku żyliście w Jaju. Tam stworzył Was Derkacz. (...) A wszędzie wokół Jaja był chaos (...). Czyż nie wygląda to znajomo? Bodaj każda opowieść o początku świata zaczyna się w zbliżony do tego sposób.**

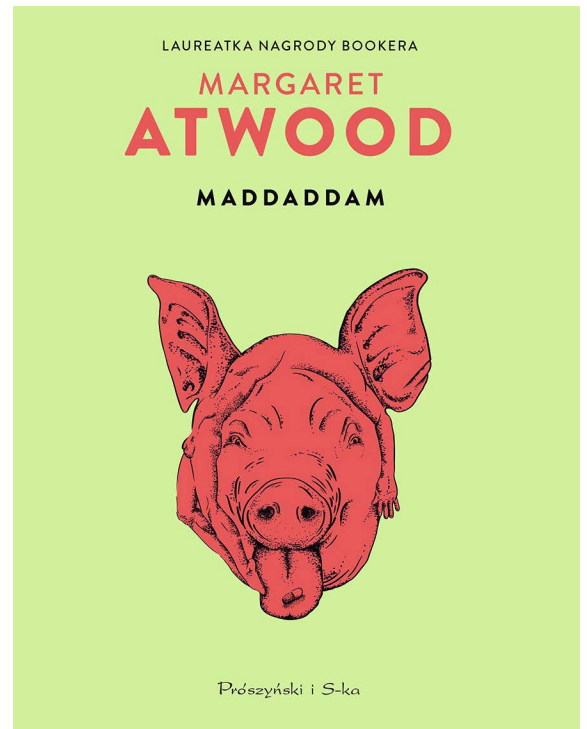
SŁOWA, ROZPOCZYNAJĄCE OSTATNIĄ część trylogii „MaddAddam” autorstwa kanadyjskiej pisarki Margaret Atwood, od lat wymienianej w gronie kandydatów do literackiej Nagrody Nobla, wskazują na narodziny nowej mitologii w czasach po apokalipsie, a w jeszcze większym stopniu – na początek nowego świata. Wypowiada je Toby, ocalała po Bezwodnym Potopie, czyli dziesiątkującej ludzi epidemii wywołanej przez wirusa, którego rozprzestrzenił genialny, ale również szalony naukowiec zwany Derkaczem. Ten sam, który stworzył nowych ludzi – Derkaczan. Piękni, niewinni i naiwni humanoidzi mieli być pozbawieni ludzkich wad, odbudować świat po jego „oczyszczeniu”, tym razem bez błędów prowadzących do cierpienia. Bez konsumpcjonizmu, pogoni za władzą, bez rasizmu czy pożądania, za to w zgodzie z naturą. Czy jednak uda się to osiągnąć, kiedy nauczą się pisma i zaczną tworzyć nową cywilizację?

Podczas śpiączki Yeti-Jimmy’ego, opiekuna i „pro-roka” Derkaczan, Toby przejmuje rolę nauczycielki. Tworzy nową mitologię, by przez opowieści przekazać wiedzę o świecie pełnym zagrożeń, tak ze strony inteligentnych „Świnionów”, zwierząt posiadających część ludzkich genów, jak i bezwzględnych „Paintbólówców”. Mówi również o przeszłości – pragnie bowiem zachować pamięć o minionych wydarzeniach i tych, którzy odeszli – wtedy zniszczenie nie będzie kompletne.

W ostatniej części cyklu opowiadania skupiają się na Zebie, przywódcy ocalałych ludzi, obrońcy uosabiającym siłę, który obok Derkacza i Oryks urasta do rangi nowego bóstwa. Dzięki tej perspektywie mamy wgląd nie tylko w przeszłość mężczyzny, którego kocha Toby, ale również dowiadujemy się jak powstała sekta Bożych Ogrodników oraz grupa MaddAddam walcząca z bezdusznymi korporacjami, co zaspokaja ciekawość rozbudzoną poprzednimi tomami.

„MaddAddam” to nie tylko fantastyka naukowa służąca rozrywce. Zatem czym jest? Dystopią opisującą

Margaret Atwood  
**MaddAddam**  
 500 s. ; 21 cm  
 Warszawa : Prószyński Media, 2017  
 82.111(71)-3



brutalną wizję przyszłości świata opartego na przemocy. Pełną akcji historią o miłości, walce, próbach przetrwania i zbudowania życia w nowej rzeczywistości po katastrofie. Satyrą piętnującą przywary, ale i z humorem przedstawiającą nieporozumienia i problemy w komunikacji między gatunkami. Ostrzeżeniem przed niekontrolowanym rozwojem nauki i technologii ingerującej w naturę, bez granic wyznaczonych przez indywidualne potrzeby człowieka i refleksję moralną. Opowieścią o tym, jak niebezpieczne może się okazać poczucie wszechmocy i „zabawa w boga”. Swoistą Księgą Rodzaju pokazującą powrót do natury i tworzenie od podstaw nowego świata i społeczeństwa. Opowiadaniem o powstawaniu mitu i religii oraz o twórczej

## narodziny nowej mitologii

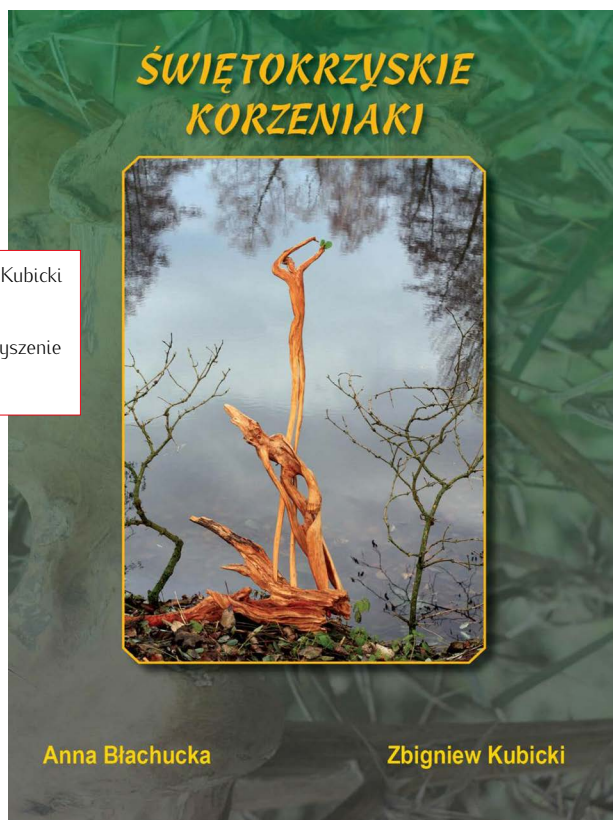
i ocalającej sile słowa. I wreszcie próbą przedstawienia psychologii człowieka, a nawet zdefiniowania istoty człowieczeństwa. „MaddAddam” jest zdecydowanie powieścią wielowymiarową, czego można się spodziewać po Margaret Atwood. Jednak w pełni docenimy lekturę dopiero w zestawieniu z poprzednimi tomami, ponieważ to właśnie cykl tworzy całość doskonałą. ■

# Natura prawdę Ci powie...

Piotr Kletowski

Album „Świętokrzyskie korzeniaki”, autorstwa Anny Błachuckiej i Zbigniewa Kubickiego – jest efektem mariażu trzech sztuk: sztuki poetyckiej, sztuki rzeźbiarskiej i fotografii. Błachucka – związana z Kielecczyną poetka, autorka tomów poetyckich, opowiadań – zetknąwszy się z pracami Zbigniewa Kubickiego – rzeźbiarza-amatora, od kilkunastu lat spełniającego swe artystyczne pasje w dziedzinie korzenioplastyki – napisała kilkanaście wierszy.

Anna Błachucka, Zbigniew Kubicki  
**Świętokrzyskie korzeniaki**  
112 s. ; 24 cm  
Kielce : Katolickie Stowarzyszenie  
Civitas Christiana, 2017  
821.162.1-93



ICH ZBIÓR, POŁĄCZONY Z FOTOGRAFIAMI dzieł Zbigniewa Kubickiego wypełnia karty tej niezwykle oryginalnej publikacji. Jest to swego rodzaju baśniowy almanach, każdy bowiem z utworów, zainspirowany konkretną rzeźbą, odnosi się do jakiejś ludzkiej postawy: raz radosnej, raz smutnej, wzbudzającej wesołość, innym razem inspirującej do moralnych dywagacji, jak w wierszu „Nie wszystko”, kończącym się fragmentem: *Nie wszystko złotem, co się świeci, błyszczący, nie wszystko słońcem, co miewa promienie... Nie każdy pieniądz uczciwością brzęczy, nie każdy człowiek wie, co to sumienie.*

Przed  
wszystkim pokora  
i zauroczenie  
naturą.

Przez te wiersze, którym towarzyszą ekspresyjne (dodajmy wykonane przez samego autora rzeźb) zdjęcia, przebija przede wszystkim pokora i zauroczenie naturą – rozumianą zarówno jako przyroda, ale też jako natura ludzka – podkreślimy – natura ludzka w każdym, nawet swym niekoniecznie pięknym i urokliwym wymiarze.

Korzeniorzeźby i wiersze pomieszczone w „Świętokrzyskich korzeniakach”, są przede wszystkim wyrazem porwywu serca obojga autorów, szczerości w ich patrzeniu na świat, bez jego oceniania i wartościowania, lecz w całej pełni jego doświadczania. Bo choć przebija przez prace Błachuckiej i Kubickiego jakiś moralny, związany z chrześcijańskim etosem zamysł, przede wszystkim są to wizualno-słowne „błyski” ich artystycznej wrażliwości, wydobyte z otaczającej ich rzeczywistości. Ten starannie wydany albumik to nie jest może jakiś „artystyczny dynamit”, daleko mu od wizualno-lingwistycznej ekwilibrystyki (często pisanej na poklask), ale właśnie przez to, że jest tak szczery, skromny i „pisany sercem”, reprezentując ponadto niezwykle ciekawą formę (wizualno-słowną), wart jest najwyższego uznania, wnikliwej uwagi czytelników, stanowiącej rzecz jasna zachętę dla autorów publikacji, by kontynuowali swoje edytorskie przedsięwzięcie w kolejnych tomach. ■

## GLOBAL PLUS

Biuro Rachunkowo-Audytorskie

§

• KSIĘGOWOŚĆ •

• DORADZTWO PRAWNO-GOSPODARCZE •

• DOFINANSOWANIA •

ul. Warszawska 10, lok. 9  
25-306 Kielce  
tel. 531 451 655  
<http://globalplus.com.pl>



# W pigułce

Dominik Borowski

**Właśnie skończyłem lekturę książki „Piszę poemat” Szczęsnego Wrońskiego. Było to moje pierwsze spotkanie z tym twórcą. Dzięki niej udało mi się poznać postać autora, jak i zagłębić w jego niektóre teksty. Pozwolił na to antologiczny charakter publikacji, połączony z wprowadzeniem informacji biograficznych.**

KSIĄŻKA, ZWIĄZANEGO Z KRAKOWEM i Kielcami pisarza, została opublikowana na 40-lecie pracy twórczej Wrońskiego. Widząc okładkę i tytuł, byłem przekonany, że mam przed sobą tomik poetycki. Strona tytułowa sugerowała, że to wydanie opracowane przez Marcina Kanię. Stąd też spodziewałem się naukowego omówienia twórczości Wrońskiego i jego wybranych tekstów literackich. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że nie jest to zwyczajna antologia. Otwiera ją wybór wierszy poety, pochodzących z tomików: „Nadzieja matka głupich” (1980), „Tryptyk rodzinny” (1998), „Smak ciemności, smak światła” (2006), „Poręcze” (2006) i „Czas rozpocząć” (2015). Środek „Piszę poemat” stanowi wywiad-rzeka z autorem, który przeprowadza z nim przywołany wcześniej Marcin Kania. Ostatnia część zawiera próbki prozy.

Trudno wskazać domenę artysty, ponieważ spod jego ręki wychodzą zarówno wiersze, jak i proza, a także projekty przedstawień teatralnych. W postaci Wrońskiego interesujący wydaje się fakt, że pozostaje on bardzo zaangażowany w rozwój kultury literackiej. W wywiadzie wspomina, chociażby o sprawowaniu opieki nad młodymi autorami, organizacji konkursów i spotkań z wybitnymi poetami. Pisarz dość dobrze znany jest w Krakowie, również w Kielcach, gdzie wspiera działania teatralne.

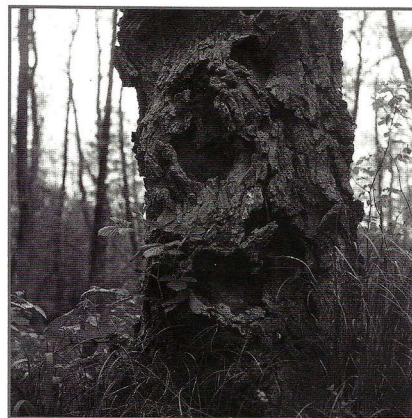
Przywołane informacje biograficzne poprzedza kilka wierszy Wrońskiego. Wyłania się z nich obraz poety, który dużo mówi o człowieku i jego nastawieniu do

świata. W utworze „Cortazar” zwraca uwagę na zmianę w postrzeganiu pojęcia nadziei; początkowo uważamy ją za coś ważnego, jednak z czasem, człowiek uświadamia sobie jej nicość. Spośród załączonej prozy, ciekawy wydał mi się esej „Pop-poezja”, w którym poruszono kwestię miejsca liryki we współczesnym świecie. Według autora coraz więcej pojawia się twórczości poetyckiej drugiej kategorii, którą należałoby oddzielić od tej wysokoartystycznej.

„Piszę poemat” to antologia, dzięki której można poznać Szczęsnego Wrońskiego i jego twórczość z różnych stron. Dla mnie szczególnie znaczenia ma tutaj zamieszczony wywiad-rzeka, który odświeża wiele ciekawostek o twórcy. Na słowo uznania zasługuje Marcin Kania, który przeprowadził wyczerpującą rozmowę i dokonał wyboru twórczości pisarza. Myślę, że każdy, kto lubi poezję, a także poznawanie sylwetek i warsztatu poetów, powinien sięgnąć po to wydawnictwo. ■

wiersze,  
proza, projekty  
teatralne

## Szczęśny Wroński Piszę poemat



Wydawnictwo i Drukarnia Tercja  
Kraków 2017

Szczęśny Wroński  
**Piszę poemat**  
21 cm  
Kraków : Wydawnictwo  
i drukarnia Tercja, 2017  
821.162.1

Piotr Kardyś

# Zaczęło się od Suchyni...

Obecny Suchedniów to niewielkie miasto położone malowniczo wzdłuż rzeki Kamionki, której meandrujący i wartki nurt przysporzył w przeszłości wielu korzyści.

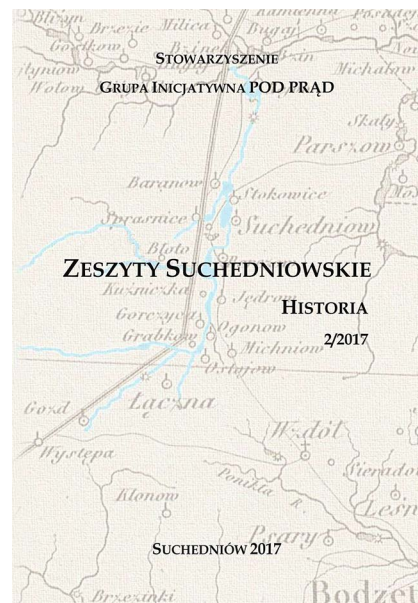
NIE BYŁOBY JEDNAK SUCHEDNIOWA, a być może nie udałoby się wykorzystać możliwości produkcyjnych wspomnianej rzeki, gdyby nie pojawił się w XVI wieku

**Nie tylko historią  
człowiek żyje.**

przedsiębiorczy kuźnik, *Suchynia* vel *Suchinia* (choć pierwszym był niejaki Walek – ale to tak prostacko brzmi?!). Obecnie badania nad dziejami – tej bardzo ciekawej – z punktu widzenia historii gospodarczej osady – wkroczyły w nowy „wymiar”. Jak łatwo się domyśleć, chodzi o wymiar rocznicowy, tj. 55-lecie uzyskania praw miejskich. I jak zwykle przy tej okazji ruszyła lawina różnego rodzaju działań prospołecznych, mających wzmocnić tożsamość lokalnej społeczności. Nas będą interesowały cztery publikacje, zapowiadane jako swego rodzaju wstęp do przyszłorocznej, naukowej monografii miasta i gminy.

szczególnie historii społecznej, administracyjnej i gospodarczej. Życie oświatowe i kulturalne w osadzie w XIX i początkach XX wieku, zabytki drewnianej architektury, stacja kolejowa, zabawkarstwo, opisy Suchedniowa z lat 1925 i 1935, kuźnice nad Kamionką w okresie staropolskim, rewolucja 1905-1907, lustracja klucza suchedniowskiego z 1789 roku, kalendarium kaplicy i kościoła św. Andrzeja, suchedniowski epizod malarki Joanny Ledoux – to tylko niektóre z zagadnień poruszonych na łamach „Zeszytów Historycznych”.

Z analizy tekstów wynika, że gdyby nie właściciel okolicznych ziem, każdorazowy biskup krakowski aż do reform skarbowych Sejmu Wielkiego, niemożliwy byłby rozwój demograficzny i gospodarczy, a zwłaszcza uprzemysłowienie. Dbali o swoje dochody purpuraci, chętnie spro-



**Zeszyty Suchedniowskie,  
Historia 2/2017**

344 s.

Suchedniów : Stowarzyszenie Grupa  
Inicjatywna Pod Prąd, 2017  
93/94(05)

człowiek żyje, opublikowano jeszcze dwie książki. Pierwsza z nich to album ze wspomnieniami mieszkańców, druga

to swoisty katalog pocztówek. W albumie skoncentrowano się na wydarzeniach, ludziach i miejscach, dopuszczając do głosu wszystkich mieszkańców, którzy chcieli się w ten sposób wypowiedzieć w kwestiach najbardziej ich interesujących, m.in.: jakie były ważne imprezy kulturalne w mieście, jak funkcjonowała parafia, kto odwiedzał Suchedniów, które miejsca były „centralnymi” punktami w życiu codziennym mieszkańców itp. Przypnieć trzeba, że album prezentuje się okazale, bogato ilustrowany, z tekstami i wypełniony zdjęciami wielu autorów jest swoistym kalendarium 55-lecia.



wadzali kuźników, młynarzy, górników i zawierali z nimi korzystne dla obu stron umowy. Poza wspomnianymi wyżej Suchynią należy wspomnieć o rodzinie

Cacció, Gibbonich, Szoberze, wreszcie o Zglenickim „polskim Noblu”. Trzeba przypnieć, że opublikowane materiały prezentują się dobrze i są interesującym wstępem do planowanej syntezy dziejów Suchedniowa.

Ponieważ jednak nie tylko historia

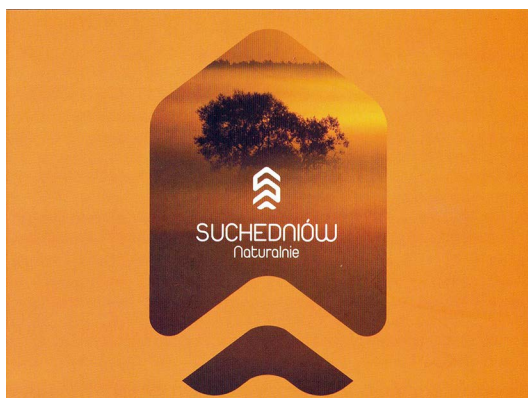
**Wydarzenia, miejsca, spotkania.  
55 lat miasta Suchedniowa,**

red. Karolina Gałczyńska-Szymczyk  
151 s.

Suchedniów : Urząd Miasta i Gminy  
w Suchedniowie, 2016  
94(438)A/Z

Druga książka może trafniej książeczką, jako że ma format pocztówki, prezentuje „naturalny” Suchedniów. Zobaczymy w niej wilka, dzika, tabędzie, owady, drzewa, zbiorniki wod-

ne – zaprawdę wszystko w sielankowej i pięknej kolorami różnych pór roku osnowie. Tylko ludzi zabrakło. Czyżby wśród mieszkańców Suchedniowa nie było naturszczyków? Ależ zapewniam Czytelników, że są, nawet ich czasami spotykam, gdy przejeżdżam przez Suchedniów. Nie zawsze są kolorowi, ale zawsze naturalni. ■



Dwie z nich to zbiory popularnonaukowych tekstów z szeroko rozumianych dziejów osady,

**Suchedniów naturalnie**

68 s.

Suchedniów : Urząd Miasta i Gminy  
w Suchedniowie, 2016  
94(438)A/Z

Agnieszka Majcher

# Legendy pomnożone

**Dodajmy do jednego z najstynniejszych kompozytorów polskiej muzyki popularnej przynajmniej dwa nazwiska tekściarzy znane każdemu w kraju nad Wisłą, weźmy na warsztat największe jego przeboje. Do tych legend przyda się też jakaś legenda wokalna; dobrze by było, żeby nie była oklepana. Joanna Dark nie okupuje może dziś wielu list przebojów, ale jest profesjonalistką, wśród osiągnięć której większość opracowań podkreśla fakt, że wokalistka była częścią obsady „Metra” z czasów przedstawień na Broadwayu.**

**OSOBIŚCIE NIE UWAŻAM** tamtego epizodu za sukces polskiej sztuki musicalowej, ale dla wielu jest to ważne wydarzenie w historii naszej rozrywki. Krajewski, Osiecka, Cygan, Broadway – i mamy przepis na sukces. Niekoniecznie. Mimo oryginalnych świetnych aranżacji, ciekawych partii instrumentalnych, piosenki Seweryna Krajewskiego okazały się materiałem miejscami niebezpiecznym.

Joanna Dark może pochwalić się świetną dykcją (rzecz dziś rzadka), niskim i ciepłym głosem, umiejętnością budowania intymnego klimatu. Niestety, czasem popada w nieznośną manierę i, jeśli mogę sobie pozwolić na diagnozę, to wina doboru repertuaru. Miejscami znajomość oryginału powoduje takie (być może podświadome) „ciążenie” do oryginalnych interpretacji, że słuchanie efektu końcowego staje się problemem. Co było znakiem rozpoznawczym wokalu Krajewskiego powinno pozostać przy nim. Na szczęście to przypadłość tylko kilku propozycji z tego albumu.

Miałam ogromny kłopot z tą płytą. Niestety, dla mnie numer pierwszy, „Czekasz na tę jedną chwilę” okazał się na tyle niestrawny, że zaprzestałam słuchania w potowie piosenki. Wielki przebój z „Uprowadzenia Agaty” zupełnie mi się nie spodobał. Wokal pływający między nutami, lekkie zawrozczenie, w połączeniu z rzewnością tego utworu, wpisaną w samą kompozycję, ociera się o kicz. Na szczęście, po powrocie do nagrań dotarłam do dalszych utworów. Z każdym kolejnym numerem płyty słucha się coraz lepiej. Co prawda, jak napisałam wyżej, piosenek dla mnie niemiłych do słuchania było jeszcze parę, ale zasadniczo album zyskuje z każdym przestuchaniem. Muszę przyznać, że teraz „jestem generalnie na tak”.

Problematyczne faktycznie wydają się dla wokalistki „samograje” jak: „Remedium” („wsiąść do pociągu” z genialną partią fletu) z „ogniskową” manierą podjeżdżania pod dźwięk, gdzie z kolei refren jest zaśpiewany dobrze i bardzo ciepło, „Nie spoczniemy” (z hipnotyzującym tekstem Osieckiej), z glissandem, wyciśniętymi wysokimi dźwiękami i zasadniczo zaprezentowane tak, jakby nie było pomysłu na tę piosenkę. O rozterki przyprowadzi mnie też „Uciekaj moje serce” (kolejny genialny tekst Agnieszki i kolejna bardzo liryczna kompozycja).

i ciepłej bossa-novy. W tych piosenkach Joanna Dark czuje się doskonale, brzmi jak Diana Krall, jest liryczna ale i zadziorna, glissy i niewielkie wibrata brzmią tu autentycznie i pożądanie. Do moich faworytów zaliczę: świetne i intymne „Kiedy mnie już nie będzie” oraz „Stan podgorączkowy”, z chwytającymi za serce tekstami Osieckiej i ciepłym klimatem jak u Stacey Kent, „Płoną góry, płoną lasy”, z dobrze brzmiącym mocnym wokalem szczególnie w zwrotkach,

**Z każdym kolejnym numerem płyty słucha się coraz lepiej.**

„Szukaj mnie”, przywodzące na myśl „Girl from Ipanema”, z prostym i czystym wokalem.

pozytywny odbiór płyty wzmacniają: „Barwy jesieni” – ballada jak ze starego polskiego kina i rozkotysane „Przemija uroda w nas” (tekst Jacka Cygana), w dobrej aranżacji z wokalem nabierającym waloru w refrenach.

Na koniec chciałabym wyróżnić dwie piosenki nie wpisujące się w wyżej wychwalany klimat bossa-novy, ale będące niewątpliwymi perełkami tego wydawnictwa. „Bądź wśród nas” jest świetnie zaaranżowane. Przyprawia o pożądany dreszcz kontrast między częścią wokalną, z prosto „opowiedzianym” tekstem niby modlitwy a lekko psychodelicznym klimatem instrumentalnego bridge’u. Album zwieńcza „Kotysanka dla Okruszka”, precudna intymna mruzcanka. W niej lekkie tkanie głosu, operującego na granicy szepotu jest bardzo na miejscu. „Pozytywkowy” aranż wzmacnia wrażenie podstuchania mamy nucącej dziecku do poduszki.

Podsumowując ten album, muszę przyznać, że faktycznie pewnych piosenek nie należy ruszać. Nawet jak – a może właśnie dlatego, że – są wielkimi przebojami. Szkoda, że kilka nietrafionych decyzji niemal mnie odwróciło od poznania tej nietuzinkowej propozycji muzycznej. ■

JOANNA DARK



KRAJEWSKI NA DZIŚ

Joanna Dark, Krajewski na dziś, Universal 2017

W pierwszej zwrotce w założeniu intymne śpiewanie ociera się o zawrozczenie. Słuchając tylko tej piosenki, można by artystkę nawet posądzić o braki warsztatowe albo zbyt małą skalę głosu. W warstwie instrumentalnej natomiast aranżacja tego przeboju jest porywającą, przywołuje na myśl kompozycje Gorana Bregovića. W kolejnych zwrotkach wokalistka podporządkowuje się bałkańskiemu stylowi, ale nie jest to chyba jej ulubiony rodzaj ekspresji.

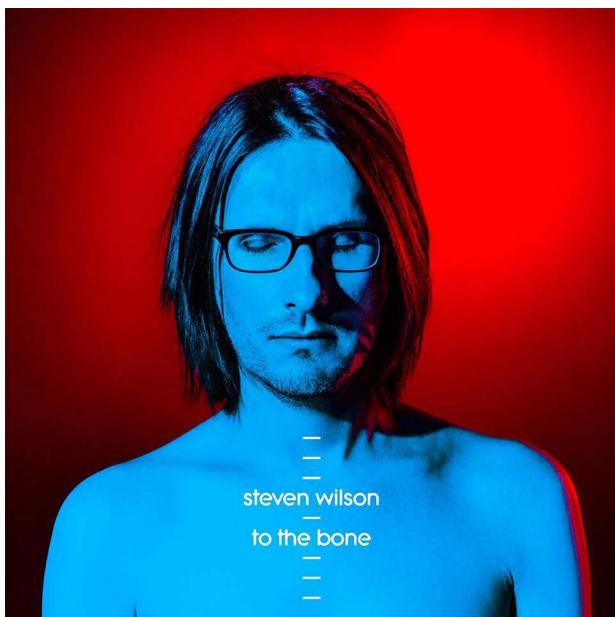
Moje ukochane propozycje z tego albumu są utrzymywane w klimacie tanecznej

# Prog-pop na ciężkie czasy

Łukasz  
Szaruga

Tak zwany „główny nurt” muzyczny, zbrojny specami od marketingu i agencjami PR-owymi pożre i wyrzuci ze swych trzewi wszystko, cokolwiek pochłonie. Co począć, jednak gdy w krwioobiegu tego monstrum pojawia się ciało obce? Gdy infekuje je *święcący triumfy brytyjski artysta, o którym nigdy nie słyszałeś*, jak napisał o nim The Telegraph?

NIEMAŁYM ZDUMIENIEM MUSIAŁO być dla Stevena Wilsona wdarcie się na pierwsze miejsca list sprzedaży od Wielkiej Brytanii, po Finlandię i Szwajcarię. A jeszcze mocniej może dziwić fakt ściągnięcia uwagi wyżej opisywanego światka na album, w zamierzeniu mający nawiązywać do klasyków ambitnego popu, jak



Steven Wilson, *To The Bone*. Universal, 2017

Talk Talk, Tears For Fears czy Petera Gabriela, na którym jednak Wilson dokonał niespotykanego chyba w skali jego twórczości emocjonalnego obnażenia.

Powodem takiego stanu rzeczy są zagadnienia podjęte na „To The Bone”. „Relatywizm epistemologiczny”, wynaturzenie uczuć w obliczu śmierci, bezwstydną fałsz, fanatyzm religijny i wędrówki ludów, zatarcie wyrazistych dawniej pojęć, rozmywająca się tożsamość. Na nowym albumie Wilson myśli swe okrasit gdzieś chyba najbardziej „porkowymi” kompozycjami, jakie stworzył w solowej działalności. I być może wynika to z tęsknoty za porzuconym w 2010 roku Porcupine Tree. Niemniej bardzo charakterystyczne, do złudzenia „Prodigalowe” akordy, wychwycić można na „The Same Asylum As Before”, „Jeżozwierzowymi” harmoniami ciejszy „Nowhere Now”, zaś utwór tytułowy to już mocowanie się ducha macierzystego zespołu Wilsona z wibracjami legendarnego Talk Talk, wzmacnianymi przez szorstkie zagrywki harmonijki Marka Felthama. Tam,

Steven Wilson stanął okrakiem między dwoma wymiarami, w żadnym nie czując się komfortowo.

gdzie pojawiają się znane i swojskie brzmienia, Wilson wprowadza zadziwiająco jak na siebie przebojowe refreny, główny element popowy na „To The Bone”.

Muzyk najwyraźniej nie mógł się do końca zdecydować, czy album powinien brzmieć bardziej jak Prog-pop, czy Pop-prog. Przez to natrafić tu można zarówno na drżący samoudręczeniem „Pariah”, chyba najbardziej kontrowersyjny utwór w karierze Wilsona – „Permanating”, który spolaryzował fanów, jak i spowite cieniem, niepokojące oblicze rodem z „Insurgentess” na „Song Of I”, które wykreowała, wraz z Brytyjczykiem, Sophie Hunger.

Steven Wilson stanął okrakiem między dwoma wymiarami, w żadnym nie czując się już komfortowo. Na nowym albumie być może zabrakło odwagi, by mocniej nasycić go popowym kolorytem, ale to oznaczałoby osiągnięcie skrajności i tym samym, niewolę kategorii, których były lider Porcupine Tree obawia się bardziej od religijnych fundamentalistów. Zagorzali fani muszą wiedzieć, że ich guru skrycie pragnie stać się kolejnym Prince’em, co stanowić może kierunek jego dalszych działań solowych. Oby jednak nie. ■

# Dźwięk pustynnej planety

Emmanuella Robak

Gary Numan na festiwalu Soundedit '17

**„Savage (Songs from a Broken World)” – na ekrany kin wszedł właśnie film w reżyserii Gary’ego Numana, ukazujący wizję postapokaliptycznego świata w obliczu globalnego ocieplenia, w którym człowiek walczy za wszelką ceną o przetrwanie, egzystując w cieniu swoich wszystkich mrocznych dokonań.**

**GŁÓWNY BOHATER** – Gary przenika kultury Wschodu i Zachodu, próbując znaleźć ten jedyny punkt wyjścia, od którego wszystko zacznie się na nowo. Szuka przebaczenia, zrozumienia, szuka rozwiązań, które pomogą mu zbudować nowy świat na zgliszczach starego. Swoim głosem i pieśniami, niczym „Czyniący” prosto z powieści Grzędowicza, powołuje do życia niestrudzoną armię „Ghost Nation” i wraz z nią dociera ze swoim przekazem do tych najbardziej opornych muzycznie przedstawicieli gatunku ludzkiego. W podróży towarzyszy Gary’emu jedenastoletnia córeczka Persia oraz producent muzyczny Ade Fenton. Czy bohaterom uda się dzięki muzyce stworzyć nowy świat?

„Savage (Songs from a Broken World)” to nie film, a ja nie piszę recenzji filmowej. Powyższy opis nie jest jednak wcale tak zupełnie przypadkowy. Ale od początku. 15 września 2017 nakładem BMG ukazał się dwudziesty

jeśli Fenton miesza w tym palce, to wiadomo, że nie dostaniemy nic nowego. No, ale właśnie – ile ludzi, tyle opinii.



Gary Numan, **Savage (Songs from a Broken World)**, BMG Records, 2017

Jak prezentuje się najnowsze, apokaliptyczne dziecko Numana? Na singiel promujący album wybrano „My Name Is Ruin” z wokalizami Persi – czyli najmłodszej córki Numana. Jest to najbardziej przebojowy numer z albumu, a dodatkowym atutem jest kłip w reżyserii Chrisa Cornera (znanego m.in. z projektu IAMX). Chris (jak zawsze) stworzył świetny obrazek, zrobił genialne zdjęcia, a całość dopełniła wizję albumu. Po promocji singla padł zarzut – ale przecież to przypomina do złudzenia „Love Hurt Bleed” z poprzedniej płyty. Tak przypomina, ale jeśli już porównywać „Savage” i „Splinter” to zdecydowanie „Savage” wygrywa to starcie. Cały album jest bardziej spójny, niż poprzednie wydawnictwo. Dobrze się go słucha w całości, a co więcej właśnie jako całość stanowi ciekawy koncept fabularno-narracyjny, który spokojnie mógłby przyczynić się do powstania jakiegoś fajnego filmu postapo. Genialna ścieżka dźwiękowa do tego filmu już jest.

Bo właśnie – „Savage” jest albumem filmowym, jest bardzo melodyczny, patetyczny, wzniosły. Każdy numer nadaje się jako tło finałowej sceny filmu (kręconej najlepiej w slow motion). Nie każdemu takie rozwiązanie będzie się podobać.

Ale co jest chyba najważniejsze – „Savage” brzmi totalnie na żywo. 27 października Gary Numan wystąpił w tódzkim klubie „Wytwórnia” w ramach Festiwalu dla Producentów Muzycznych Soundedit. Sam festiwal jest niesamowicie ciekawym wydarzeniem – poza koncertami na uczestników czekają warsztaty, wystawy, wernisaże, spotkania i prelekcje. W ciągu czterech dni można doświadczyć praktycznie wszystkiego, co dla muzyka jest ważne – od teorii po praktykę. Numan wystąpił w piątek. Koncert rozpoczął monumentalny „Ghost Nation” i od razu było widać jedno – profesjonalista wszedł na scenę. Muzyk dał genialny, bezbłędny występ, zostawiając swoich słuchaczy w całkowitym osłupieniu. I naprawdę mogą pojawiać się głosy, że nowy album bliźniaczo przypomina wcześniejsze dokonania Numana, że brzmi jak zbieranina odrzutów z poprzednich płyt, że gdyby nie Anton, to album na pewno brzmiałby inaczej – zarzutów można znaleźć całe mnóstwo, ale tylko do momentu usłyszenia tego materiału na żywo. Wtedy wszystkie argumenty giną, a zostaje tylko muzyka.

Ja uważam „Savage” za bardzo dobry krążek, a takich utworów jak „Ghost Nation”, „When The World Comes Apart”, „My Name Is Ruin”, „And It All Began With You” – mogą słuchać na okrągło. Jest jeszcze moja perełka – bonusowy utwór „If I Said”, który ma dokładnie te emocje, których zawsze szukam w muzyce. I z niecierpliwością czekam na kolejny występ pana Numana w Polsce. Obiecuję, że szybko wróci. Mam nadzieję! ■



Fot. Małgorzata Wojna

Genialna ścieżka dźwiękowa do tego filmu już jest.

pierwszy studyjny album Gary’ego Numana – mistrza i prekursora wielu nietypowym rozwiązań oraz unikatowych brzmień elektronicznych. Nad nowym albumem pracował oprócz Gary’ego, producent Ade Fenton, którego fani doskonale kojarzą z poprzednich albumów, a mixem i mastering zajęli się Nathan Boddy, Paul Carr oraz Matt Colton. I od razu podniosły się krytyczne głosy fanów czekających na nowe brzmienie Numana:

Mówi się, że była częścią spektaklu już w teatrze antycznym. Podobnie jak zwyczaj jej „burzenia” przez aktorów. Przełamywanie „czwartej ściany” towarzyszy również bogatej historii festiwalu „Memorial to Miles”, który jak co roku odbył się w ostatni weekend września. Na usta od razu ciśnie się jednak pytanie, jak zburzyć niewidzialną ścianę w sztuce, której fundamentem jest improwizacja oraz kontakt z publicznością?

RafcoX

## Łukasz Rakalski Za czwartą ścianą

**PIERWSZE DŹWIĘKI** TEGOROCZNEJ edycji festiwalu rozbrzmiały w piątkowy wieczór w kameralnej atmosferze na małej scenie KCK. Jako pierwszy pojawił się autorski projekt naszego rodzimego Rafała Gęborka – „RafcoX Trio”. Towarzyszył mu Paweł Konikiewicz (instrumenty klawiszowe) oraz Andrzej Rajski (perkusja). Zespół posiada już dorobek w postaci albumu „Sound Designer”. Jego brzmienie w dużej mierze koncentruje się na bardzo przestrzennych, elektronicznych brzmieniach. Dzięki temu nawet niezbyt rozbudowane kompozycje przyciągają uwagę. Sercem zespołu w tym kontekście jest zdecydowanie unikalny tembr trąbki Rafała. Jej niezobowiązujące frazy tchnęły życie w obraz naszkicowany przez gąszcz dźwięków syntezatora. Inauguracja festiwalu zakończyła się występem izraelskiego gitarzysty Dima Gorelika wraz z Shacharem Elnatanem (perkusja) oraz Franciszkiem Pospieszalskim (kontrabas). Dźwięki jego gitary były już słyszane w towarzystwie wielu polskich artystów, m. in. Anny Marii Jopek, Zbigniewa Namysłowskiego i Adama Bałdycha. Jego kompozycje cechuje bardzo powściągliwa narracja. Pełne spokoju, choć często niebanalne frazy zaostrzyły mój apetyt na jazzową ucztę, której nadzieje wisią w powietrzu.

Charakterystyczna dla festiwalu rangi „Memorial to Miles” jest obecność „kolektywu”, czyli zespołu

istniejącego tylko w ramach festiwalu. Marcin Gawdzis, Wojciech Jachna, Jerzy Matek, Tomasz Kudyk, Piotr Schmidt, Maurycy Wójciński to nazwiska sześciu trębaczy, którzy połączyli siły, by za pomocą improwizowanych dźwięków oddać cześć legendzie polskiej awangardy w projekcie „Tribute to Andrzej Przybielski”. Ci, którzy mieli okazję stanąć twarzą w twarz z „Majorem” rozumieją, przed jakim obtędnym zadaniem stanęli muzycy kolektywu. Jego kreatywność nigdy nie uwzględniała żadnych kompromisów. Wykonanie kilku zaaranżowanych utworów ku jego czci nijak nie odzwierciedla doświadczeń z koncertów Andrzeja. Wiedzieli o tym z pewnością organizatorzy, którzy do tego zadania zatrudnili enfant terrible polskiej trąbki jazzowej, Jerzego Matka. Każda sceniczna persona jest skazana na obnażenie w obecności Jurka. Jego spontaniczna energia nie pozwoliła pozostałym muzykom nałożyć maski przed publicznością. Nie pozostał bez komentarza również wydarzeń na scenie oraz wspomnień o „Majorze”. Odniosłem wrażenie, że dzięki temu wszyscy obecni na koncercie poczuli się częścią „jazzowej rodziny”.

Sobotnie koncerty podsumował występ „najlepiej ubranego zespołu jazzowego w Polsce”. Wyczelowane wizualizacje oraz niebanalne kreacje muzyków kwintetu Wojtka Mazolewskiego zrobiły piorunujące pierwsze

wrażenie i na pewno nie uszły uwadze publiczności. Muzyka płynąca spod palców Marka Pospieszalskiego (saksofon tenorowy), Cypriana Baszyńskiego (trąbka), Joanny Dudy (instrumenty klawiszowe) oraz Kuby Janickiego (perkusja) charakteryzowała niezwykle żywiołowość. Niezwykle zdeterminowane i precyzyjne wykonanie rytmicznie skomplikowanych melodii wprowadziły w trans publiczność, która falami braw nagradzała każdą kolejną kompozycję.

Herbie Hancock, Oscar Peterson, John Scofield, Pat Metheny to tylko część imponującej listy muzy-



### Jazzowa uczta wisząca w powietrzu.



ków, z którymi współpracował szwedzki wirtuoz gitary, Ulf Wakenius. Na scenie towarzyszył mu Tony Match na perkusji oraz Leonardo Corradi, nazywany „młodym geniuszem organów Hammonda”. Ich występ przywiódł wspomnienia z 2015 roku, kiedy na deskach KCK wystąpił Jakob Bro Trio. Od tamtej pory szwedzki jazz w wykonaniu gitarzystów stał się już swego rodzaju stereotypem. Minimalistyczny styl w połączeniu

z wrażliwą ekspresją bardzo przypadły do gustu kieleckiej publiczności. Moją uwagę zwrócił również niezwykle rozwinięty język improwizacji, którym mogli się poszczycić wszyscy trzej panowie.

Elektryzujący rytm oraz intrygująca melodia rozbrzmiewająca ciepłym, kobiecym głosem to opis, który przywołuje wspomnienia wszystkich uczestników finałowego, niedzielnego koncertu. Jego gwiazda, China Moses, nie potrzebuje przedstawienia, jako córka słynnej Dee Dee Bridgewater. Przykuwające ucho kompozycje stanowią mieszankę wybuchową razem z głębokim tonem wokalu, który w swojej ekspresji rozbrzmiewa echem tradycyjnego, przesiąkniętego bluesem, jazzu. Odniosłem wrażenie, że nie zależnie od oczekiwań, wielbiciele wszystkich jego krętych ścieżek poddali się urokowi zmysłowych dźwięków.

Zimny wieczór ma w sobie nieprzeciętny ładunek. W głowach rozbrzmiewają nieokietznane frazy, wzbudzając na nowo przeżyte emocje. XVI-ta edycja festiwalu „Memorial to Miles” pozostanie jednak już tylko w rozmowach i wspomnieniach. Wierzę jednak, że w przyszłym roku Leszek Ślusarski znów pojawi się na scenie i dzięki niemu usłyszę imiona moich sąsiadów z widowni po lewej i prawej stronie w oczekiwaniu na jazzową ucztę. Do zobaczenia! ■



Fot. Wojciech Habdas

Dima Gorelik

Mirostław Krzysztofek

# Post-hardcore neo-prog

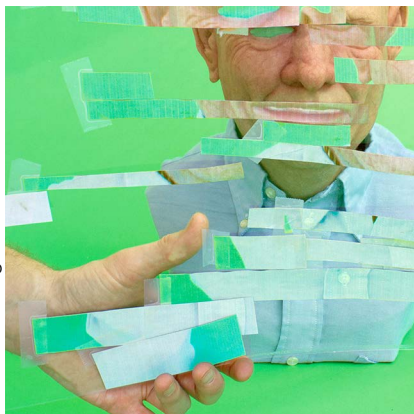
Po czterech latach nieobecności na rynku wydawnictw płytowych Tera Melos wracają z bardzo dobrą płytą. Amerykańskie trio z Sacramento zwróciło wcześniej moją uwagę świetnym, wydanym w 2013 roku krążkiem „X’ed out”. Określana terminami post-hardcore lub math rock muzyka już wtedy brzmiała zaskakująco świeżo.

Do płyty „TRASH Generator” można jeszcze dopisać określenia neo-prog i experimental, ale nie ma to większego sensu, ponieważ jest to po prostu kawał mocnego, ambitnego rockowego grania. Szufladkowanie może się jeszcze komuś przydaje w wyszukiwarkach internetowych i ja właściwie nie mam nic przeciwko temu. Przyznaję jednak, że nie znając muzyki Tera Melos, słysząc powyższe

Z agresywną gitarową ścianą dźwięku kontrastuje melodyjny i czysty śpiew gitarzysty.

określenia muzycznych szuflad byłbym lekko skonsternowany. Bo neo-prog kojarzy się przede wszystkim z kontynuatorami rocka progresywnego z lat siedemdziesiątych w rodzaju The Flower Kings lub dajmy na to Marillion.

Tera Melos. Trash Generator Sargent House, 2017



Otóż takiej muzyki na płycie tria po prostu nie ma. Bliżej im do Sonic Youth niż do Genesis. A jednak jest to granie jak najbardziej zasługujące na przymiotnik „progresywny”. Bo taniańce znakomitej sekcji rytmicznej i gitarowe solówki mają swoje źródło zarówno w dokonaniach King Crimson z Adrianem Belew w składzie, jak i w zakręconej nowofalowej muzyce z lat osiemdziesiątych granej przez zapomnianych już dzisiaj Irlandczyków z zespołu Stump. Z agresywną gitarową ścianą dźwięku kontrastuje melodyjny i czysty śpiew gitarzysty Nicka Reinharta. Dodajmy do tego sprawność instrumentalistów na poziomie kanadyjskiego Rush i mamy kandydatkę do płyty roku. ■

## Ośmiogłowa bestia

Rok 2017 zbliża się ku końcowi, więc Robert Fripp i spółka wyszykowali nam idealny prezent świąteczny. Kolejna płyta koncertowa zespołu tym razem nagrana tylko podczas jednego koncertu z pominięciem, na co wskazuje nazwa „bootleg” zabiegów ulepszających koncertowe brzmienie zespołu.

BARDZO DOBRZE, bo z tego, co słyszałem, będąc na ich polskim koncercie w 2016 roku, mogłoby to tylko zaszkodzić. A tak otrzymujemy podwójny album, będący zapisem koncertu w Chicago nagrałego w ośmioosobowym składzie. Bestia zyskała ósmą głowę. Stało się to za sprawą dosyć zaskakującego powrotu do King Crimson Billa Rieflina, perkusisty, którego w 2016 roku zastąpił bardzo udanie Jeremy Stacey. Bill Rieflin postanowił wrócić, ale nie była to klasyczna dobra zmiana polegająca na wyrzuceniu kogoś z trzech perkusistów i zastąpienia go synem marnotrawnym. Rieflin dołączył do grupy jako kolejny, ósmy członek zespołu, przestał być perkusistą, ale został za to muzykiem grającym na instrumentach klawiszowych.

Wydawnictwo przynosi znaną z wcześniejszych płyt porcję klasyków grupy. Jest parę niespodzianek. Nowy utwór „The Errors” i przede wszystkim

King Crimson, Official Bootleg: Live in Chicago DGM, 2017



udana moim zdaniem próba zmierzenia się Jakko Jakszyka z repertuarem śpiewanym wcześniej przez Adriana Belewa. Obie próby w postaci utworów „Neurotica” oraz „Indiscipline” są bardziej niż udane. Ten ostatni utwór w wykonaniu Jakszyka z dodaną linią melodyczną, zamiast recytacji obecnej w oryginale, to prawdziwe arcydzieło. Utwór „Fallen Angel” pochodzący z płyty „Red”, z 1974 roku zabrzmiał chyba po raz pierwszy w wykonaniu koncertowym. Twórczość King Crimson w składzie, w jakim grają obecnie to synteza tego wszystkiego, co zespół stworzył przez ostatnie 48 lat. Dzięki dołączeniu do składu grupy kolejnego muzyka, grającego na instrumentach klawiszowych, muzyka King Crimson zyskała sporo przestrzeni i „powietrza”, co nie jest wcale łatwe do osiągnięcia na koncercie, zważywszy na jednoczesną, asynchroniczną grę trzech kapitalnych perkusistów, nie

I niech co najmniej taka moc będzie z nimi jak najdłużej.

mówiąc o co najmniej doskonałej grze pozostałych członków zespołu.

Aktualny skład King Crimson, wersja 8.3 przedstawia się następująco: Robert Fripp (gitara, instrumenty klawiszowe), Tony Levin (Chapman stick, basy, śpiew), Gavin Harrison (perkusja), Pat Mastelotto (perkusja), Jeremy Stacey (perkusja, instrumenty klawiszowe), Bill Rieflin (instrumenty klawiszowe), Mel Collins (saksofony, flety), Jakko Jakszyk (gitara, flet, śpiew). I niech co najmniej taka moc będzie z nimi jak najdłużej. ■



# Cudny koniec wakacji

**Agata Suszczyńska** Schyłek lata, gmina Bieliny, miejscowość Huta Szklana, osada średniowieczna pod Świętym Krzyżem, za nią polana a na niej Festiwal Kultur „Dalej się nie da 2”. Zorganizowany w ramach projektu NIC „Natura – Idea – Człowiek” – działania na rzecz rozwoju turystyki ekologicznej w świętokrzyskich i nadwiślańskich parkach krajobrazowych.

DWUDNIOWE WYDARZENIE ZAPLANOWANE zostało zarówno dla tych starszych jak i najmłodszych, dla całych rodzin, z dostępnym polem namiotowym, wszystko nieodpłatnie. Pierwszy dzień festiwalu odbył się pod hasłem koncertu. Było różnorodnie i pozytywnie zaskakująco. Rozpoczął zespół The Badji Band – rozbrzmiały dźwięki prosto z Zachodniej Afryki, przy akompaniamencie egzotycznego instrumentu, kory, wyjątkowego rodzaju dwudziestojednostrunowej harfy. Zespół wzbogaca swoje brzmienie czerpiąc inspiracje z jazzu, bluesa, funku czy popu. Przyjemne, lekkie granie.

Gogodzy Ganski, kolejny skład, to nowy projekt byłych członków ukraińskiej Prekabuty. Nietuzinkowa propozycja wokalisty, połączona z huculskimi cymbałami, klezmerskim klarnetem czy perkusją, tworzą razem hucul-punk-kabaret, jak piszą o sobie w sieci. Było nietuzinkowo. Dalej na niewielkiej scenie w pięknych okolicznościach przyrody zagrał Bezjazgh. Reggae z momentami mocniejszego grania. Kolejny zespół porwał mnie bez reszty – Fifidroki. Pięknie o sobie piszą na swoim fanpage’u: *Nie ma gatunku muzycznego, który jasno opisuje muzykę*

*Fifidroków, tak jak nie ma piosenki Fifidroków, która mieści się w danym gatunku. Są natomiast słuchacze, którym brak kategorii nie straszny i którzy doceniają zawartość muzyki w muzyce. Mnie osobiście przekonał folkowo-ludowy odcień tego składu. Część koncertową zamknęła swoim występem Zmiana Czasu. Formacja*

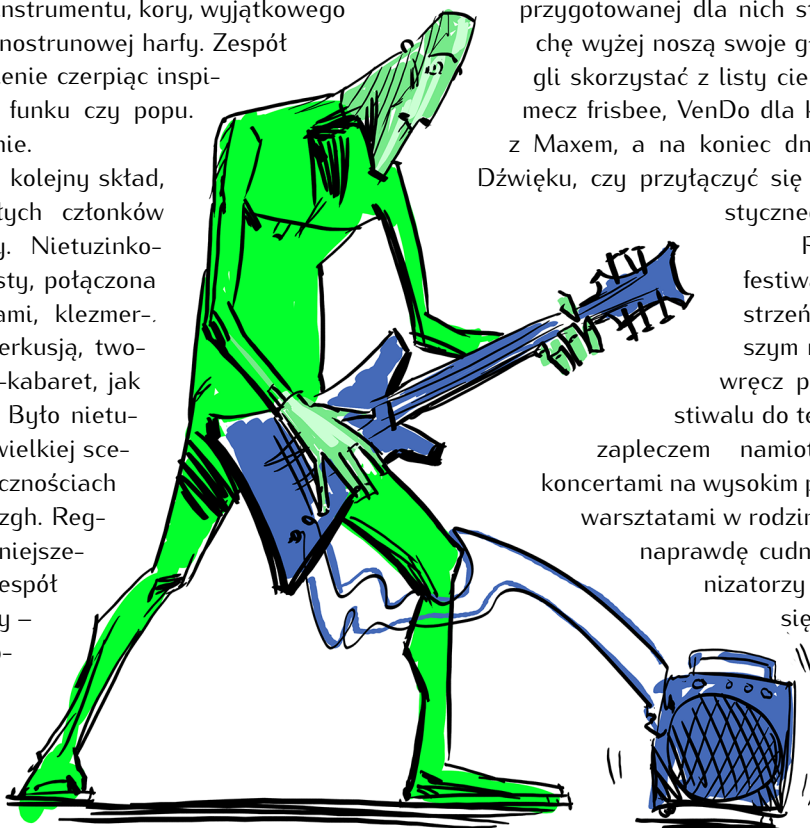


**Fifidroki. Fraktal. Bezjazgh. Gogodzy Ganski.**



Michała Zapały, tworzy autorską muzykę do tekstów polskich poetów. Wieczór wybrzmiał cudnie różnorodnie, porywająco i intrygująco. Drugi dzień upłynął pod hasłem warsztaty. Dla dzieci zorganizowano kurs pierwszej pomocy, poprowadzony przez Karola Hajduka ze stowarzyszenia Fraktal, najmłodszy mogli budować, odnawiać i bawić się beztrudnie w specjalnie przygotowanej dla nich strefie. Ci, co już trochę wyżej noszą swoje głowy nad ziemię mogli skorzystać z listy ciekawych zajęć – joga, mecz frisbee, VenDo dla kobiet, ugotować coś z Maxem, a na koniec dnia posłuchać Teatru Dźwięku, czy przyłączyć się do wspólnego, akustycznego jam session.

Propozycja takiego festiwalu wypełniła przestrzeń, w której w naszym regionie zamieszkała wręcz próżnia. Nie było festiwalu do tej pory z plenerowym zapleczem namiotowym, darmowymi koncertami na wysokim poziomie, darmowymi warsztatami w rodzinnej atmosferze. Było naprawdę cudnie. Już w sieci organizatorzy zapowiedzieli „Dalej się nie da 3” słowami *„będzie rodzinnie, będzie przyjaźnie i ekologicznie. I odkrywcza muzyka z regionu i świata.”*



Rys. Tomasz Łukaszczyk



# Czułość

Sylwia Gawłowska

Na początku lutego 2017 r. związany z regionem świętokrzyskim zespół Lorein wydał nakładem wytwórni Mystic Production swój trzeci album studyjny „Złamania”. Płyta jest interesująca nie tylko, ze względu na indie-rockową poetykę warstwy brzmieniowej, ale także z uwagi na nieczęsto spotykaną w polskiej muzyce poprockowej, warstwę liryczną znajdujących się na niej piosenek.

NASTROJOWĄ DOMINANTĄ ALBUMU jest w moim przekonaniu czułość. Emocja ta, uzyskana została przez pochodzących ze Skarżyska-Kamiennej i Suchedniowa muzyków, nie tylko dzięki aksamitnej, niezwykle subtelnej barwie głosu wokalisty Łukasza Łańczyka, ale także dzięki precyzyjnemu wyprofilowaniu brzmień elektronicznych i gitarowych. Niezaprzeczalną zaletę nagrań stanowi uzyskana przez muzyków symbioza gęstego riffowego grania, nisko brzmiącego basu i – znajdującego się w kontrze do nich – lirycznego, „rojkowego” wokalu.

Na krążku znalazło się jedenaście piosenek, których tematyka orbituje wokół rozterek rozedrganego, śpiewającego „ja”. Co ciekawe, doświadczenia

i obserwacje bohatera piosenek: „Fale”, „Dźwięki rozstania”, czy „Ładny”, bliskie są wrażliwości bohatera piosenek Artura Rojka, które znamy z wydanego w 1999 roku albumu „Miłość w czasach popkultury” grupy Myslovitz. Jest to doświadczenie człowieka ponowoczesnego, rozbitego współczesnością i wrzuconego w – niebezpieczną dla jego delikatności – codzienność. Te dwa światy – świat Myslovitz i świat Lorein – różnicuje jednak skoncentrowanie autora tekstów na przeżywaniu opozycji: ja wobec rzeczywistości. Świat Artura Rojka to świat utkany ze zdarzeń, konkretyzujący się w przedmiotach, czy charakterystycznych dla współczesnego człowieka elementach kultury masowej. W przypadku twórczości Łukasza Łańczyka rzeczywistość ta dotyczy przede wszystkim świata uczuć i emocji, zwłaszcza tych, które stanowią o pęknięciach i „złamaniach” naszej duszy. Stąd powracające w tekstach Lorein metafory i sposoby opisu rzeczywistości: *Uczucia upadły/ roztrzaskały się o stół* („Złamania”); *Czuję strach, niepokój, lęk o moją przyszłość, która nie nadejdzie* („Dźwięki rozstania”); *W sercu czuję kamień (...)/ ginę wśród fal* („Fale”); *Mija czas, z każdym wdechem mniej go mam* („Na głos niewypowiedziane”).

„Złamania” Lorein to płyta dojrzała. Z pewnością ośmioletnia praca artystyczna zespołu jest w tym względzie nie bez znaczenia. Pochopnie – z uwagi na melancholijność melodyki utworów – moglibyśmy stwierdzić, że to płyta, której przekaz artystyczny potęguje przygnębienie i nastrój smutku u odbiorcy. Sądzę jednak, że słuchając jej, mamy raczej do czy-

Ileż to razy w nas umarły motyle...?

nienia ze spotkaniem z twórczością bardzo świadomą i naszpikowaną wrażliwością w przeżywaniu świata. Takim sposobem mówienia o otaczającej rzeczywistości, zwłaszcza mówienie o niej w sposób liryczny i odwołujący się do wartości metafizycznych, ulotnych, wymaga nie lada odwagi. I tego z pewnością nie można odmówić muzykom Lorein. Podobnie, jak nie można im odmówić wrażliwości. „Złamania” nie prowadzą odbiorcy do załamania, ale przy użyciu rockowej, przestrzennej, a momentami energetycznej aranżacji, opowiadają nam o sobie samym. Ileż to razy w nas *umarły motyle*...? ◆

Agata Suszczyńska

# Utrwalić na fotografiach

W pierwszą sobotę październikowej jesieni w Centrum Edukacyjnym „Szklany Dom” w Ciekotach odbyło się podsumowanie, trwającej już pięć lat, akcji społecznej zatytułowanej „Kwiatki w betonie”.

ZAGRAŁA M.IN. MŁODZIEŻOWA Orkistra Dęta z Mastowa, uczestnicy wysłuchali wykładu prezesa ZPAP OŚ Piotra Suligi o rzeźbie plenerowej w Kielcach, zorganizowano pokaz Polskich Kronik Filmowych, otwarto wystawę fotograficzną „5 lat kwiatków w betonie”, a na całe wydarzenie chętni mogli dojechać zabytkowym jelczem, tzw. „ogórkiem”. W składzie „kwiatkowego komitetu organizacyjnego” wymieniono Małgorzatę Chmiel – koordynatorkę przedsięwzięcia, Marcina Michalskiego, Agnieszkę Gołębiowską, Magdalenę Wolff oraz Katarzynę Piec.



**Czy malowane na elewacjach dekoracje geometryczne nadal mogą zachwyć?**




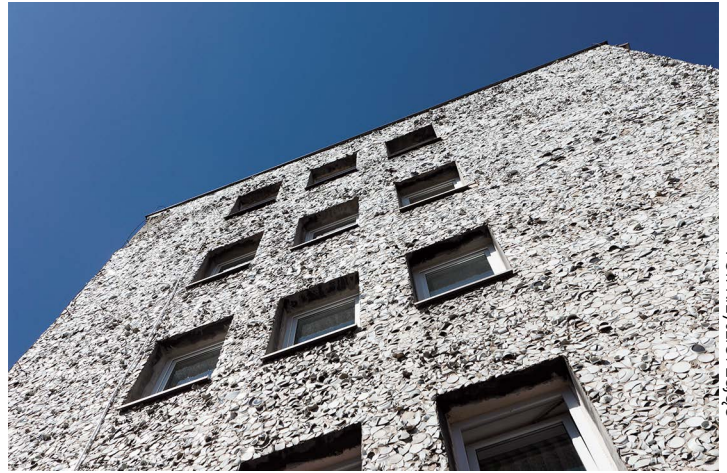
Sama akcja „Kwiatki w betonie” zainaugurowana została 9 marca 2012 r. w siedzibie GOKiS w Mastowie. Wtedy właśnie odstonięto, w pierwszą rocznicę śmierci autora, odnowiony witraż Adama Wolskiego. Ideą akcji jest dokumentowanie na fotografiach sztuki i obiektów dekorujących przestrzeń publiczną z czasów PRL-u. Rzeźby, mała architektura, murale, mozaiki, witraże i inne nietypowe zdobienia z lat 1945-1989, uwiecznione zostały, bądź dopiero zostaną (bo akcja jeszcze trwa) na fotografiach zarówno profesjonalnych jak i amatorskich, nadesłanych z całego kraju. Organizatorzy, poprzez zainicjowanie tej akcji zadają sobie i wszystkim chętnym do udziału pytanie, co się dzieje z pracami plastycznymi zdobiącymi budynki w drugiej połowie zeszłego wieku? Czy ceramiczne kwiatki czy malowane na elewacjach dekoracje geometryczne zachowały swój wyraz i nadal mogą zachwyć? Czy może z upływem czasu stały się bardziej

interesujące? Na swoje stronie FB o pomysły na nazwę piszą: *Czasy betonowej, szarej rzeczywistości nie zniszczyły w ludziach potrzeby piękna. (...) Plastycy zaczęli zdobić ściany freskami, muralami, czy innymi elementami dekoracyjnymi. Kwiat był w nich częstym, choć nie jedynym motywem.*

Na wystawie w Ciekotach zaprezentowano prace dokumentujące głównie obiekty z regionu świętokrzyskiego, dominują Kielce, choć nie zabrakło „okazów” z Zabrzeża, Dąbrowy Górniczej czy Helu. Plenery fotograficzne organizowane przez grupę zapaleńców z Kielc utrwały obiekty w takich miasteczkach jak Chmielnik, Raków, Daleszyce, Bodzentyn. Jeden z plenerów odbył się na terenie kieleckiego dworca PKS. Dokumentując unikatową architekturę „świętokrzyskiego ufo”, autorzy zdjęć działali na rzecz ocalenia budynku przed degradacją do roli marketu, o czym informowali na utworzonym z tej okazji fanpage’u.

Wśród działań w ramach akcji odbywają się również happeningi. Jeden z nich pt. „Goździk dla sztuki” polegał na obdarowywaniu kieleckich rzeźb i innych obiektów czerwonymi goździkami. Happening zrealizowano w Dniu Kobiet pod hasłem „Rzeźba jest kobietą”.

Inicjatywa jest niezwykle ciekawa i ważna, z punktu widzenia artystycznego, ale i społecznego. Wiele mówi o minionych czasach, o trwałości, o ludzkich potrzebach piękna i dekoracji przestrzeni. Jest podróżą w czasie, do odległych wspomnień, w nieistniejące już niekiedy, widoki. 



Fot. Krzysztof Zając



Fot. Tomasz Słudak



Fot. Marcin Michalski

Piotr Kletowski

# Polskie kino w okresie przejściowym

**Przeciąganie liny między Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a środowiskiem filmowym, reprezentowanym zwłaszcza przez dwa ciała – Polski Instytut Sztuki Filmowej i Stowarzyszenie Filmowców Polskich – które wzmógł jeszcze spór o PISF (po odwołaniu minister Magdaleny Sroki), trwa w najlepsze.**

MINISTERSTWO CHCE NIBY rozmawiać, filmowcy – niby też, ale ani jedna, ani druga strona nie odpuszcza (choć w sumie można byłoby się jakoś dogadać, realizując kilka projektów „liberalnych” oraz kilka „konserwatywnych”). Co z tego wyniknie? Tego nie wie nikt.

Szczęśliwie podczas festiwalu były filmy realizowane z wielką wrażliwością. Choćby zastanawiająca „Wieża. Jasny dzień” – w jakiś sposób podejmujące podobny temat jak „Pokot” Agnieszki Holland (z którego wymową absolutnie się nie zgadzam) – ukazująca wszelkie, jak

najbardziej interesujące, tak pod względem estetycznym, jak i filozoficznym, możliwości tkwiące w kinie polemicznym względem tradycyjnych wartości, lecz ukazującym wielowymiarowość rzeczywistości, w jakiej żyje człowiek.

W debiucie Szelc (nagrodzonym za najlepszy scenariusz), przypominającym nieco „Teoremat” Piera Paolo Pasoliniego, w świat wieloosobowej rodziny przygotowującej się do Pierwszej Komunii córki – wchodzi kobieta: siostra, matka, córka – dziwna postać, której stan psychiczny (duchowy), tożsamość do końca nie jest poznana. I jak pasolinowski Gość pobudza duchową (ale i cielesną) aktywność członków rodziny. Do końca nie poznamy, czy tajemnicza kobieta jest wiedźmą wzbudzającą rezonans sił przyrody, czy może aniołem dotykającym bez lęku rzeźby Chrystusa, by rozbudzić w ludziach uśpioną duchową moc. Także zakończenie filmu, przywołujące z jednej strony obraz chocholego tańca, z drugiej biblijną scenę wyjścia niewolników żydowskich z ziemi egipskiej, z domu niewoli, wzbudza w widzu pytania natury metafizycznej, wieloznacznej, otwartej. Z pewnością, gdyby filmów takich jak „Wieża. Jasny dzień” zabrakło na kinematograficznej mapie Polski (bo, niestety „skasowanych” jako filmy realizowane nie po „konserwatywnej” linii, a przecież nie jest to film jednoznacznie „lewicowy”) byłoby szkoda, bo właśnie takie filmy świadczą o wielkości kinematografii, w której są tworzone. Ze swojej

strony zalecam wystanie filmu Szelc do Cannes, przy swej niejednoznaczności ma on szanse na laury.

Najlepszym filmem, zresztą nagrodzonym na festiwalu Złotymi Lwami, był obraz „Cicha noc”, również pełnometrażowy debiut Piotra Domalewskiego, zrealizowany w wielce zastużonym dla polskiego kina Studiu im. Andrzeja Munka. W filmie tym, szczęśliwie, nie pali się kościół, lecz jeszcze (mimo wszystko) do niego się chodzi, szukając zagubionego gdzieś w życiu, poczucia wspólnoty.

I takiego zrozumienia drugiego człowieka bardzo dziś potrzebuje polskie kino.

A jednak nie jest to film pocieszający, ciepły, mogący być wizytówką „tradycjonalistycznego”, polskiego kina. Wprost przeciwnie. To drapieżny, nawiązujący do kina Smarzewskiego, choć niewolny od groteskowego zacięcia „Polaków portret własny”, widziany przez pryzmat bożonarodzeniowej nocy, gromadzącej pod jednym dachem rozproszoną po świecie (głównie na zarobkowej emigracji w Anglii) członków polskiej rodziny.

*Musimy bronić swojej schedy* – mówi w pewnej chwili ojciec rodziny (znakomity Arkadiusz Jakubik), czyli



„Reakcja łańcuchowa”, Fot. Marcin Makowski



„Wieża. Jasny dzień”

„Człowiek z magicznym pudełkiem”



czego? – pyta nie uzyskawszy odpowiedzi przybyły z Anglii syn. A jednak w tym obrazie destrukcji międzyludzkich wartości, rodzina wciąż staje się przystanią dla człowieka, punktem odniesienia w jego życiowych wędrówkach i bitwach. Jak kościół, do którego w finale filmu biegnie mała siostra bohatera. *Chcę tam iść – mówi – by być ze wszystkimi.* Z pewnością takie filmy jak *Cicha noc* stanowią wzór dla twórców polskiego kina, ukazujących prawdziwy, nieprzejęty ani w prawą, ani w lewą stronę obraz polskiego społeczeństwa. Film Domalewskiego – słusznie nagrodzony, wyznacza według mnie najwartościowszą drogę polskiego kina, filmy, które – choć nie podporządkowane jednej ideowej drodze, ukazują świat rozchwiejanych wartości, w których mimo wszystko jest miejsce na zrozumienie drugiego człowieka.

I takiego zrozumienia drugiego człowieka bardzo dziś potrzebuje zarówno polskie społeczeństwo, jak i polskie kino, mogące być tworzone jedynie w atmosferze zrozumienia, wielkoduszności i woli dialogu.

Aby jednak relacja z gdyńskiego festiwalu była pełna, wspomnieć muszę jeszcze o trzech filmach, podpisanych przez młodych twórców (nadzieja w młodości!), które wywarły na mnie duże wrażenie, a również wystawiają pozytywną cezurę



współczesnemu, polskiemu kinu. „Zgoda” Macieja Sobieszcańskiego – rzecz o obozie dla Niemców zorganizowanym przez komunistyczne władze, w którym krzyżują się losy trojga młodych ludzi:

„Cicha noc”

Polaka, Niemki i Niemca. Polak – strażnik w obozie – zakochany w dziewczynie, robi wszystko, by uratować młodego Niemca, którego nad życie kocha dziewczyna. Finał filmu przynosi tytułową zgodę, ale jest to zgoda straszliwa, tragiczna, naznaczona śmiercią.

Film Sobieszcańskiego nie jest filmem „rewizjonistycznym” – wiadomo, kto tu jest katem, kto ofiarą – ale w warunkach wojny tak naprawdę nikt nie pozostaje bez winy, konflikt deprawuje każdego, i – co najpotworniejsze – fizycznie zabija mitość.

„Człowiek z magicznym pudełkiem”

Bodo Koxa – wspaniały filmowy melodramat, zrealizowany z kolei w rzadko u nas spotykanym gatunku SF, to popis nie tylko reżyserskiej inwencji, co przede wszystkim mistrzowskich umiejętności w ukazywaniu subtelnych stanów emocjonalnych zakochanych w sobie bohaterów. Pełnometrażowy debiut Jakuba Pączka „Reakcja tańcuchowa” – film, który spotkał się z niestuszną obojętnością gdyńskiej publiczności, to może niepozabawiony błędów formalnych, ale wciąż jeden z najbardziej oryginalnych polskich obrazów ostatnich lat: kinofilski (każdy kadr dzieła jest odwotaniem do klasyki), wolny (reżyser zrobił go dokładnie tak, jak chciał) i precyzyjny w określeniu problemu młodych ludzi (pokolenia Czarnobyli), których jątwe życie portretuje, polegającym na całkowitym odrzuceniu duchowej strony egzystencji. ■

Materiały prasowe FPFF w Gdyni



„Zgoda”

# Kwestionariusz widza, reżysera i krytyka

Piotr Kletowski

**Dwie, najnowsze (i dodajmy wyróżnione) pozycje wydane przez nieocenione dla wszystkich interesujących się problematyką filmową wydawnictwo Marzec, dotyczą bardzo ważnej kwestii, zwłaszcza w procesie realizacji filmu – a mianowicie psychologii.**

JEŚLI CHODZI O TEORIĘ ogniskującą się na procesach odbioru dzieła filmowego, jak również zawartych w nim treści, psychologia była obecna od samego początku. Wystarczy przypomnieć pionierskie prace na temat filmu amerykańskiego Hugo Munsterberga – zresztą pioniera w psychologicznych badaniach w ogóle, nie tylko w odniesieniu do kina – czy też pracę „Od Caligario do Hitlera – z psychologii kina niemieckiego”, pióra Sigfrieda Karacaura, opisującą fenomen kina ekspresjonistycznego odbijającego spoteczne lęki Niemców okresów międzywojnia. Również rozwijając tę perspektywę ujęcie psychoanalityczne w czytaniu filmu (dominujące w latach 60. i 70.),

Aleksandra Zienowicz, Ewa Serwotka  
**Psychologia osiągnięć dla twórców filmowych**  
383 s. ; 24 cm  
Warszawa : Wydawnictwo Wojciech Marzec, 2017  
791.071(438):159.9-057.13:316.77

lub też prezentujące zgoła inne podejście – choć również wyrastające z psychologicznego pnia – kognitywistyczne ujęcie badania tekstu filmowego, wciąż są obecne w teorii dzieła, albo objaśniając mechanizmy odbioru filmu przez widzów (idąc bardziej w stronę psychologii), albo skupiając się na ukrytych sensach, które – jak uczył Jean Louis Baudry – można zre-kreować na drodze analizy, zbliżonej rzecz jasna do psychoanalitycznego seansu. Ale, co zaskakujące NIE O TAKIEJ (ALBO O TAKIEJ ALE TYLKO W NIEWIELKIM STOPNIU) PSYCHOLOGII (PSYCHOANALITYCE) mówią dwie, znakomite książki wydane przez Marca: „Psychologia osiągnięć

dla twórców filmowych” Aleksandry Zienowicz i Ewy Serwotki oraz „Samorealizacja filmowa” Konrada Aksinowicza. Obie prace traktują ni mniej ni więcej, tylko o psychologii w odniesieniu do twórców filmowych i procesu tworzenia dzieła filmowego – na wszystkich jego etapach.

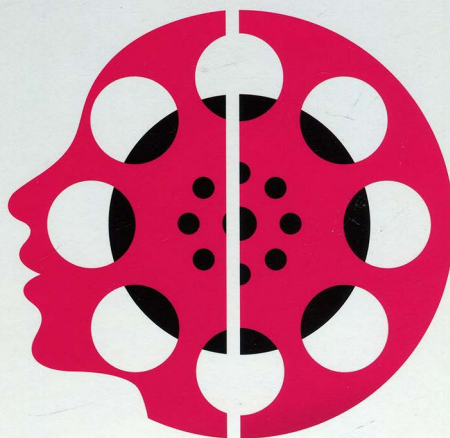
Książka „Psychologia...” to kompleksowa rozprawa stanowiąca pokłosie naukowej kwerendy autorek, biorących pod lupę filmowców ze wszystkich pionów produkcyjnych odpowiedzialnych za stworzenie dzieła filmowego. Postępując się metodą tzw. psychologii osiągnięć, stanowiącej część szerszego, psychologicznego projektu tzw. psychologii pozytywnej (nie skupiającej się na negatywnych aspektach ludzkiej psychiki i ludzkiego zachowania nią motywowanego, lecz na aspektach pozytywnych, afirmatywnych, zachęcających do

życia i twórczego działania), stosowanej przede wszystkim w pracy w środowisku sportowców, autorki badają wnikliwie środowisko filmowców – praktyków (z jednym wyjątkiem – na okoliczność stymulującej pracy krytyka zostaje przepytany/przebadany znany krytyk filmowy i teatralny Łukasz Maciejewski), by pokazać jak ważne są psychologiczne mechanizmy w procesie tworzenia filmu. Książka podzielona jest na trzy części. W pierwszej dostajemy przejrzyste opisany rys metodologiczny (kładący nacisk na opis strategii takiej stymulacji psychicznej, by można było efektywnie wykorzystać tkwiący w twórcy (i zespole filmowym) potencjał, i poprzez wspólną pracę stworzyć finalne dzieło, jakim jest film właśnie).

Upraszczając sprawę chodzi przede wszystkim o takie ustawienie podejścia indywidualnego twórcy, by – wprzęgnięte z aspiracjami innych ludzi pracujących przy realizacji filmu – uzyskać optymalny efekt, a więc stworzenie dzieła stanowiącego wypadkową indywidualnych i zbiorowych wysiłków, aspiracji i ambicji. Dla postronnego, niezwiązanego z psychologią czytelnika, ten zbiór psychologicznych metod, opisanych przez autorki,

może być trochę takim „masłem maślanym”, pełnym truizmów i motywacyjnych hasel, oklepanych hasel, streszczających się mniej więcej w twierdzeniu: *optymalnym celem realizacji filmu jest realizacja jak najlepszego filmu a przez to samorealizacja twórców realizujących film*. A jednak jest to bardzo mylne odczucie, ponieważ autorki zwracają uwagę na fundamentalne (a często nie ujawnione i nieopisane) w całościowym procesie tworzenia dzieła filmowego czynniki. Jak zbiór wartości, jakimi kierują się twórcy filmu, motywacja, jaka im przyświeca, cechy indywidualne i zbiorowe, konieczne do wspólnej, twórczej pracy, wreszcie sposoby radzenia sobie z sytuacjami kryzysowymi na filmowym planie i poza nim.

Wspólna wizja, odpowiedzialność, świadomość (samoświadomość), cel, jaki się stawia, wreszcie pozytywne nastawienie na ciężką, wymagającą wyrzeczeń pracę i radzenie sobie z ostatecznymi jej efektami – to słowa-kłucze, o jakich pisać w pierwszej części książki



**PSYCHOLOGIA OSIĄGNIĘĆ  
DLA TWÓRCÓW FILMOWYCH**

Aleksandra Zienowicz  
Ewa Serwotka



jej autorki. W drugiej – dodajmy najciekawszej – dostajemy szereg wywiadów z przedstawicielami zawodów filmowych (z grubsza rzecz biorąc, związanymi z Gdyńską Szkołą Filmową, gdzie autorki przeprowadzały gros swych rozmów). A więc wybitni scenarzyści, aktorzy (Maciej Stuhr, który sam studiował psychologię), operatorzy filmowi (zwraca zwłaszcza uwagę rozmowa ze Sławomirem Idziakiem, podkreślającym rolę innowacji w procesie edukacji i tworzenia przez operatora filmowego), reżyserzy (świetna rozmowa z Wojtkiem Smarzowskim o konieczności mówienia „własnym głosem” i „poruszania się ciągle naprzód” – czyli nieustannego myślenia o robieniu kina), dźwiękowcy, kostiumolodzy, aż po kierowników produkcji i montażyistów (inspirująca rozmowa z Pawłem Laskowskim, montażyistą filmów Smarzowskiego).

W rozmowach z filmowcami Zienowicz i Serwotka potwierdzają opisane na początku książki stanowiska psychologiczne, podkreślając rolę psychologii w zdobywaniu świadomości, procesie twórczym (na każdym jej etapie) i jego następstwach (w szerokim tego słowa znaczeniu). Teoria znajduje więc swe zamocowanie w praktyce, ale co z tego wynika? Otóż wnikliwe przestudiowanie tych rozmów (ze świadomością metody) pozwala NAUCZYĆ SIĘ, efektywnie pracować w środowisku filmowym, mając zarówno świadomość „globalną” (na temat jak postępować by tworzyć filmowy dream team), ale również świadomość „indywidualną” (nie tylko pozwalającą na odkrycie w sobie twórczego, czy organizatorskiego potencjału, ale również wzbogacającą wiedzę o proste, ale jakże przydatne rady – polecam np. wypowiedź Andrzejem J. Jaroszyńskiego na temat roli... wczesnego przychodzenia na plan przez reżysera i operatora).

Ostatnia część książki przynosi zestaw ćwiczeń (testów, zadań opisowych, ankiet) pozwalających na wyrobienie w sobie cech, o jakich piszą w swej pracy autorki, a jakie są niezbędne do wykonywania zawodów filmowych (zwłaszcza reżysera, ale

również i innych filmowców pracujących we wszystkich pionach produkcyjnych kinematografii).

Świetnym uzupełnieniem do książki „Psychologia osiągnięć...” jest niezwykle oryginalna pozycja „Samorealizacja filmowa”, pióra reżysera, scenarzysty, Konrada Aksinowicza, autora bardzo ciekawej, innowacyjnej produkcji pt. „W spirali”. Jest to rodzaj poradnika dla miłośnika kina motywującego go do podjęcia trudu zostania praktykiem kina

do własnych doświadczeń w przemyśle filmowym, snuje swego rodzaju „gawędę”, opisując kolejne etapy wiodące od pomysłu, by być reżyserem, po tworzenie scenariusza, sprzedanie pomysłu na film, jego realizację, aż po trudy związane z reżyserowaniem debiutu, stawieniem czoła artystycznej porażce (sukcesowi), trudnym życiem w zawodzie.

To przede wszystkim psychologiczny poradnik, jak iść za swymi marzeniami, swoją pasją filmową, i – często wbrew wszystkiemu – spełnić swoje nadzieje o zostaniu reżyserem filmowym i tworzeniu kina. Są tutaj passusy dość oryginalne, np. kiedy autor pisze, że często trzeba się „dostosować”, by w ogóle zaistnieć w kinie (a więc np. zamiast za wszelką cenę realizować film swoich marzeń, gdy nadarzy się okazja, „trzasnąć” jakiś teledysk, czy film krótkometrażowy). Cały widz jednak w tym by nie „ugrząść”

w tworzeniu tego typu form, jeśli jest się – mimo wszystko – zdecydowanym na stworzenie wielkiego, filmowego dzieła. Można z takim podejściem polemizować – przykład wielkich reżyserów, jak Welles, Kubrick, czy Tarantino, stawiających często – „na jedną kartę”, dowodzi że czasem nie warto iść na żaden kompromis – ale z drugiej strony (o ironio!) można właśnie zastosować opisaną przez autora strategię i, mimo wszystko wyjść na swoje. Takich „złotych” myśli znajdziemy w „Samorealizacji filmowej”, bez liku. Mnie najbardziej przypadła do gustu część na temat tworzenia scenariusza filmowego (kapitałna rozdział o tworzeniu tzw. logline’u, czyli „wabika” – dwu-trzy zdaniowego streszczenia scenariusza filmowego).

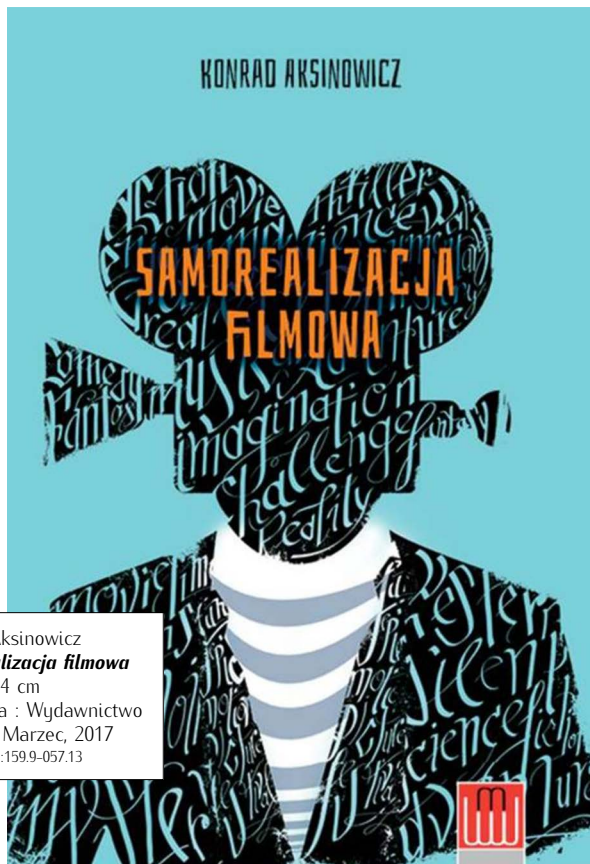
Podsumowując, Marzec znowu dostarczył filmowcom (choć nie tylko, krytycy też powinni przeczytać obie książki, może wtedy krytykowane dzieł filmowych nie przyszło by im tak łatwo, a jeśli już, to miałyby to w sobie prawdziwie merytoryczną wartość) wspaniałe narzędzia pozwalające na odpowiednie podejście do realizacji filmu, rozumianego przede wszystkim jako najpełniejszy sposób psychologicznej samorealizacji. ■



## Cały widz jednak w tym by nie „ugrząść”.



(reżyserem piszącym scenariusze, ale są tu „wycieczki” w stronę innych zawodów filmowych – aktorów, operatorów, dźwiękowców, mówiące o ich roli w tworzeniu filmowego dzieła). Autor, odwołując się



Konrad Aksinowicz  
**Samorealizacja filmowa**  
 352 s. ; 24 cm  
 Warszawa : Wydawnictwo  
 Wojciech Marzec, 2017  
 791.071(438):159.9-057.13



# Słowo w rysunku ujęte

**PRAWIE CZTERDZIESTU** artystów, siedem tytułów i całe mnóstwo ilustracji. „Charaktery”, „Newsweek”, „Zwierciadło”, „Znak” – każdy zna, czytał nie raz, ale czy zauważył? Czy świadomie prześledził i zanotował intencje ilustratora? Trafność komentarza czy refleksji zawartej w rysunku? A może pochylił się nad stylem, kreską, plamą – artystycznym wyrazem tego działania? Przyznam się bez bicia, że moja ignorancja w tym temacie zaskoczyła mnie samą. Uległam modzie na szybkie komunikaty wizualne, pośpiech i bezrefleksyjne przyswajanie obrazów. A tymczasem, jak się tak przez chwilę zatrzymać i popatrzeć...

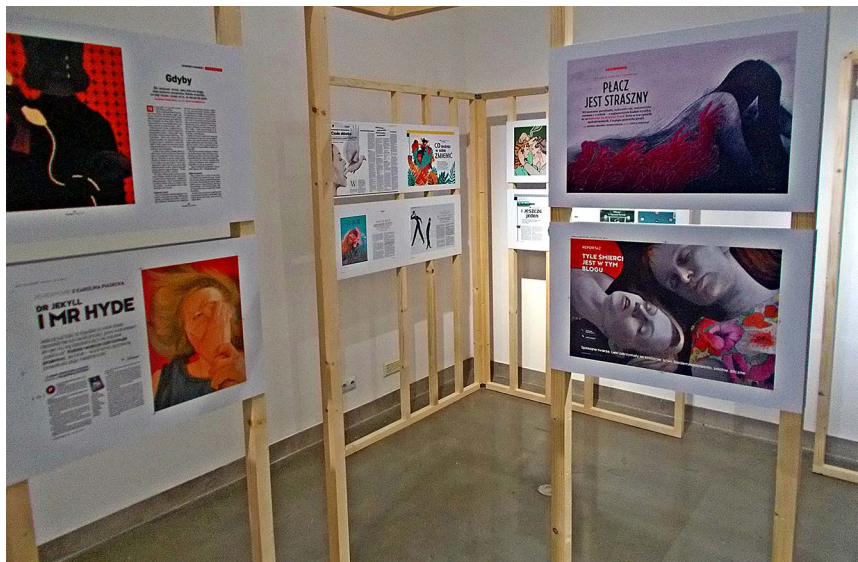
Zestawiając ilustracje różnych twórców kuratorki wystawy – Urszula Dudek i Dominika Janicka uwypukliły ich różnorodność i formalną odmienność. Od bardzo malarskich realizacji Anny Reinart, wykonującej zlecenia dla „Dużego Formatu” czy „Wysokich Obcasów”, po graficzne, ograniczone w formie propozycje Matgorzaty Gurowskiej. Dawid Ryski z kolei to wizualne działania stylistyką zbliżoną do plakatu. Z podobnych form wypowiedzi czerpie Maja Wolna. Piotr Chatkowski natomiast wykonuje ilustracje kojarzące się z obrazem wypracowanym przy pomocy komputera. Jednak bez względu na stylistykę ilustracji, która bywa bardzo odmienna, jedno łączy wszystkie realizacje zaprezentowane na wystawie – zaangażowanie w tekst. Wszystkie, bez wyjątku, są komentarzem, odautorską refleksją nad przeczytanym artykułem, często poszerzającą odbiór tematu, pomagającą spojrzeć na poruszaną sprawę z odmiennej perspektywy. A te sprawy właśnie bywają przeróżne – praca, czas, pieniądze, po te trudniejsze

związane z seksualnością, przemocą czy zdrowiem psychicznym.

Bardzo trafnie skomentował swoim rysunkiem artykuł o „alimenciarzach” Jan Koza, przedstawiając prostą kreską

Jak się tak przez chwilę zatrzymać i popatrzeć...

ojca, który podrzuca w zabawie swoją córeczkę, po czym odwraca się odchodząc, gdy dziecko jest jeszcze w górze. W samo sedno. Dosłownie. Bolesnie prawdziwie. Poruszający i bezpośredni był także komentarz Anny Reinart do tekstu o stracie nienarodzonego dziecka.



Agata Suszczyńska

Do 12 listopada w Galerii Głównej w Instytucie Dizajnu na Wzgórzu Zamkowym w Kielcach można było odwiedzać wystawę zatytułowaną „Uwikłani w tekst. Ilustracja zaangażowana”. Pomysł na ekspozycję był bardzo prosty – zaprezentowano okładki czasopism lub fragmenty artykułów wraz z towarzyszącą im ilustracją, a całość okraszono nagraniami wywiadów z redaktorami prezentowanych wydawnictw. Samo obcowanie z tą propozycją jednak już takie proste wcale nie było.

Ubrana w czarną sukienkę kobieta trzyma ręce, jakby znajdowało się w nich niemowlę, za nią stoi ojciec, załamany, zakrywa twarz rękoma. Cholernie trudny temat, cholernie dobrze ujęty na ilustracji. Rysunkiem w stylistyce komiksowej opatrzył artykuł pt. „Tajemnica kobiet i klucz” Michał Dziekan. Dowcipnie ujęty temat relacji damsko-męskich, pokazany przy pomocy postaci mężczyzny z epoki, gdy ludzie żyli jeszcze w jaskiniach, trzymającego otówek w zębach w geście zamyslenia, przy próbie rozwiązania labiryntu, narysowanego na ciele leżącej przed nim, zalotnie uśmiechniętej przedstawicielki płci przeciwnej z czasów współczesnych. Niebanalnie, nieprostoliniennie. Takie przykłady można by mnożyć.

Była to niezwykle ciekawa propozycja, jedna z tych, które zmieniają sposób patrzenia na poruszane tematy. Patronat medialny nad całym wydarzeniem objęły „Charaktery”, a współpracowały miesięcznik „Znak”, „Wysokie Obcasy”, „Duży Format”, „Enter the ROOM x G’rls ROOM”, „Newsweek”, „Zwierciadło”.



Izabela Łazarczyk

**Dwaj bracia – Stanisław i Piotr, synowie „tego” Młodożeńca – Jana. Zaprezentowali swoje prace na wspólnej wystawie w Galerii Sztuki Współczesnej „Winda” w Kielcach.**

**STANISŁAW – STARSZY Z BRACI**, absolwent malarstwa warszawskiej ASP od wielu lat mieszka i pracuje w Nowym Jorku. W swoich dziełach ukazuje miejski pejzaż w jego realistycznej i abstrakcyjnej odmianie. Z jednej strony Brooklyn, stacja metra, Muzeum Guggenheima, zapisując zastaną chwilę, z drugiej idzie ku abstrakcji w pejzażu. Wpisane w przestrzeń sylwetki postaci, bez cech portretowych, w sumaryczny sposób uzupełniają architektoniczną przestrzeń, zatrzymane w ruchu, niczym na fotografii, stają się dopełnieniem przestrzeni wybranych wnętrz. Podobnie obrazy pokazujące studio artysty. Malowane bardziej precyzyjnie, z zaznaczeniem detali czy nawet będąc swoistą reprodukcją pomieszczeń, w których tworzy, zwracają uwagę tym, jak różnie prowadzi artysta kolor i jak różnie interpretuje zastaną rzeczywistość. Idąc

**Kładziona miękko, zamasyście farba, traktowana z pewną swobodą i brutalnością...**

w kierunku abstrakcji, powraca ponownie do pejzażu, szukając refleksów barwnych wydobywanych słońcem, zapisując graficzną wersję przyrody, do której odniesienia pojawiają się jedynie w tytułach, ponieważ graficzność obrazu przywodzi na myśl bardziej ornamentalne niekiedy struktury, nie elementy przyrody.

Na innych płótnach multiplikuje sylwetki kobiet („Nudes”) lub głowy („Twarze”) będące niekiedy malarskim cytatem z historii malarstwa aktu i portretu. Nie łączące się ze sobą, lecz zachowujące swoją odrębność na zagarniętym fragmencie płótna są podobnie, jak w pracach pokazujących pracownię „obrazem w obrazie”.

Drugi z braci Piotr, absolwent grafiki warszawskiej ASP tworzy i mieszka w stolicy. Jego twórczość w sposobie nakładania farby, przywodzi na myśl plakaty ojca. On sam podobnie kreuje postaci, w podobny sposób również rozwiązuje problemy kompozycyjne. Jednak jego obrazy, nawiązujące niekiedy do grafiki, tworzone na płótnach bądź papierze, krzyczące jaskrawością koloru dopełniają często zgaszona szarość. Wybrane przez młodszego Młodożeńca tematy są



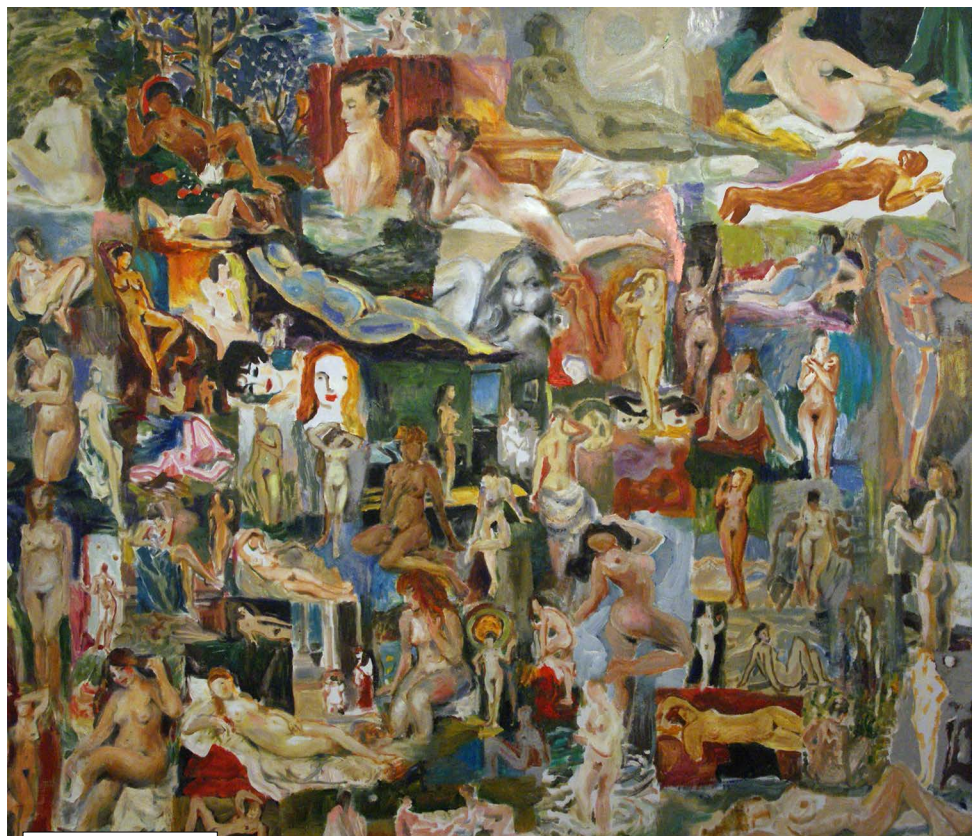
Fot. Tomasz Kozłowski

# Nowy Jork i Warszawa

niekiedy bliskie wyborom brata. Niezwykle różne w sposobie operowania płamą, idą zdecydowanie ku abstrakcji i prymitywizmowi. Z drugiej strony używają rastra, tworzy oszczędne w formie i kolorze prace. Za pomocą sitodruku powiela niekiedy istniejące zdjęcia z gazet. Prace te mają zupełnie inny charakter niż geometryzujące – budowane powtarzalnością prostokątów kompozycje. Kładziona miękko, zamasyście farba, traktowana

z pewną swobodą i brutalnością, niekiedy znajduje dopełnienie w samych podobrazach, traktowanych ostro, odrywających się od blejtramu...

Pomimo wspólnego rodowodu, obaj artyści, których inspiracje zbiegają się niekiedy, starają się wypracować autonomiczną, własną przestrzeń i być rozpoznawalnymi nie tylko ze względu na świadome czy nieświadome nawiązania do twórczości ojca. ■



Stanisław Młodożeńca „NUDES”, 2017



Gabriela Pol

Marta Trechowska

# Kalejdoskop autentyzmu



Anna Jasińska

**Wystawa „Rewizjoner” w Bazie Zbożowej – towarzysząca XVII Przeglądowi Teatrów Alternatywnych (podobnie jak „Wariacje” Wojciecha Adama Bańskiego), to prezentacja czterech młodych twórczyń, ubiegłorocznych absolwentek kieleckiego Zespołu Państwowych Szkół Plastycznych.**

Mówią o SOBIE – tłumacząc tytuł wystawy i zarazem nazwę grupy – że tworzą nowe formy artystyczne,

interpretując i inspirując się otaczającą rzeczywistością. Nie dążą do osiągnięcia sztucznej oryginalności, ale do odnalezienia własnego stylu. Ta wystawa, pierwsza poważna, w której uczestniczyły jest pokazem owych poszukiwań twórczych, bardzo różnorodnych, jeszcze obarczonych pewnymi błędami, ale autentycznych. W każdym z zestawów prac dostrzegamy bowiem autentyczność, często bardzo osobistych przeżyć autorek.

Anna Jasińska, studentka ASP w Łodzi zaprezentowała fotografie i rysunki. To martwe natury o niewielkich rozmiarach, z bardzo wyraźnymi nawiązaniem do poetyki surrealizmu. Anna Macias z krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego pokazała cykl fotograficzny, czarno-biały reportaż „Łączność, ulotność czasu”. Wprowadzając obserwatora – przez szybę – w przestrzeń zamkniętą, szklarni, ukazując starych ludzi i potamane rośliny, proponuje sugestywnie rozmowę o przemijaniu i śmierci.

Podobny ton przemijania i refleksji proponuje nam, dzięki swoim pracom, Kamila Serwicka – studiująca na Wydziale

Operatorским PWSFTviT w Łodzi. To dokumentacja ostatnich dwóch lat bliskiej osoby, prababci autorki. W innych cyklach również pojawia się ten element obserwacji, swoistej teatralności życia – to serie zdjęć modelek przygotowujących się do występu i pierwszych (jak się możemy domyślać) zasugerowanych, intymnych kontaktów pary młodych ludzi. Gabriela Pol, studentka Architektury Wnętrz i Scenografii na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, obok instalacji, zaprezentowała cykl fotograficzny inspirowany, jak sama mówiła, przede wszystkim naturą. Uchwyczone z ciekawej perspektywy małe rybki w wodzie o najróżniejszych odcieniach, stały się nieledwie przedstawieniami bliskimi abstrakcji. ■

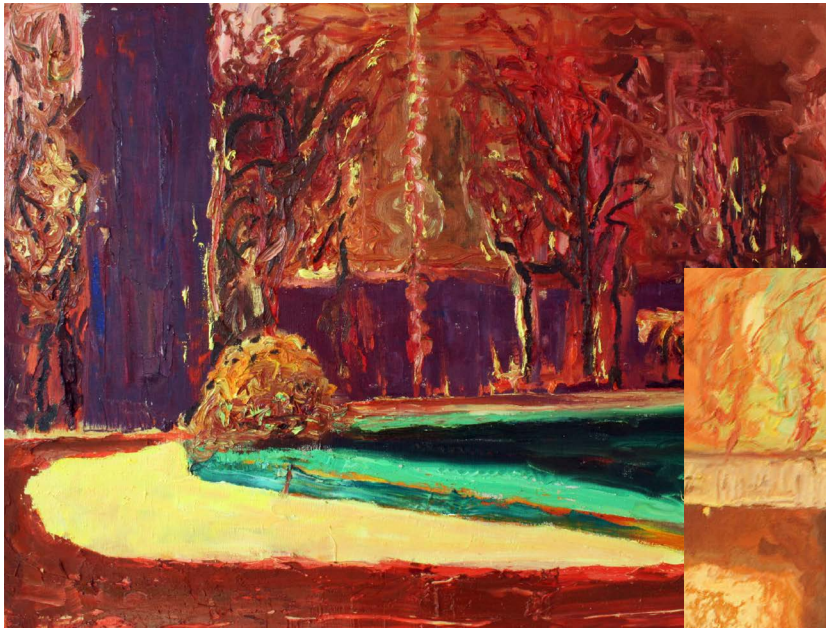


Anna Macias

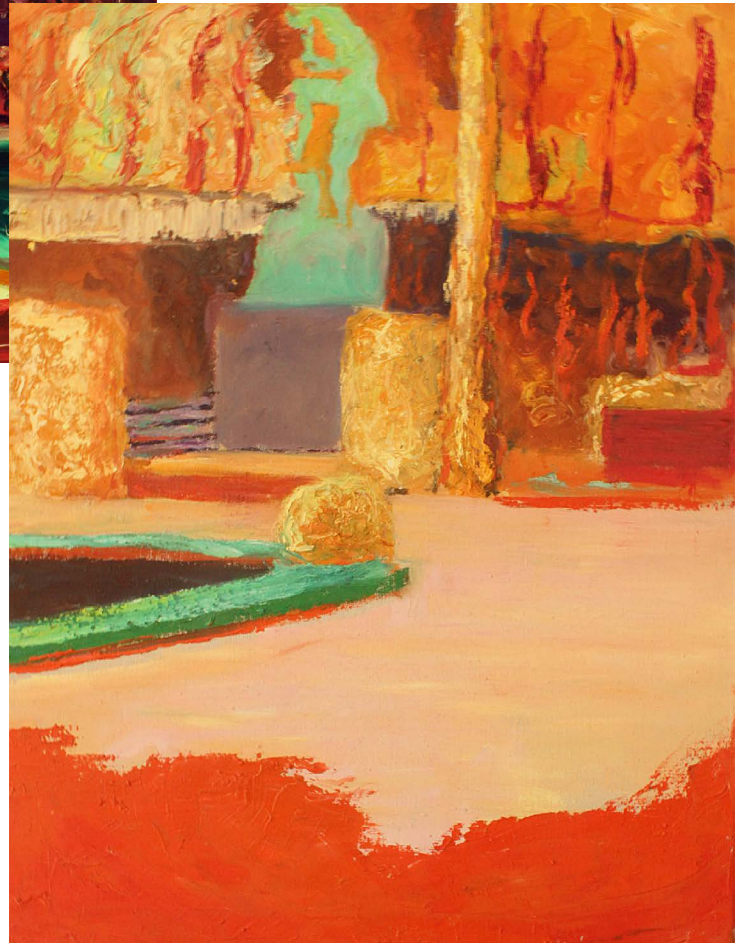
## surrealizm i rozmowa o śmierci



Kamila Serwicka



droga ku własnemu  
spojrzeniu



# Od impresji do abstrakcji

Izabela Łazarczyk

**Wystawa Wojciecha Bańskiego (urodzonego w Elblągu, studenta ASP w Warszawie w pracowni prof. Stanisława Bają) w Bazie Zbożowej o dość przewrotnym tytule „Wariacje”, to nic innego jak rozważania o pejzażu.**

Z JEDNEJ STRONY WIDZIMY OBRAZY pokazujące kadry, niczym pocztówki z odwiedzanych miejsc, pełne światła stawy, otoczone drzewami przywołujące na myśl park. Ukazują one tradycyjne podejście do tematu. Zastniaty – kolor lokalny – mający na celu, jak można sądzić, pokazanie ulotności chwili, staje się po prostu kolejnym pejzażem. Podobnie w pracach z dominantą jednej – zazwyczaj czerwonej barwy, takie rozwiązania kolorystyczne pokazują próby odnalezienia, wypracowania podejścia do wcześniej wybranego tematu.

Z drugiej strony widzimy dzieła bardziej dojrzałe, nieco eteryczne w kolorze i sposobie kreowania przestrzeni płótna. Nostalgiczne, skąpane w jasnych barwach prace pokazują warsztat Bańskiego w innej odsonie. Wybór motywów jest bardziej umowny, summaryczny niż oczywiste jak na wyżej wspomnianych

pracach. Pejzaż jest bardziej impresyjny, malowany płaską plamą barwną. Domyślamy się wybranych elementów kompozycyjnych: drzew, chmur, szukamy innych odwołań z własnego doświadczenia. Tworząca nacieki farba, jej być może swobodny, zatrzymany na płótnie „ruch”, prowadzi domysłny pejzaż ku abstrakcji, z której wyłaniają się mocniej zarysowane kształty przywołujące na myśl niekiedy trawę... „Wariacje” można potraktować jako próbę pokazania drogi ku własnemu spojrzeniu na wybrane zagadnienie malarskie. Tylko, niekiedy, zastanawia jednak brak pewnej spójności w doborze prac, choć być może właśnie to ma być próbą pokazania drogi w rozwoju twórczości. ■

To dwudziesta dziewiąta i trzydziesta wystawa zorganizowana przez Stowarzyszenie Twórcze „Zenit” (wydawcę magazynu „Projektor”).

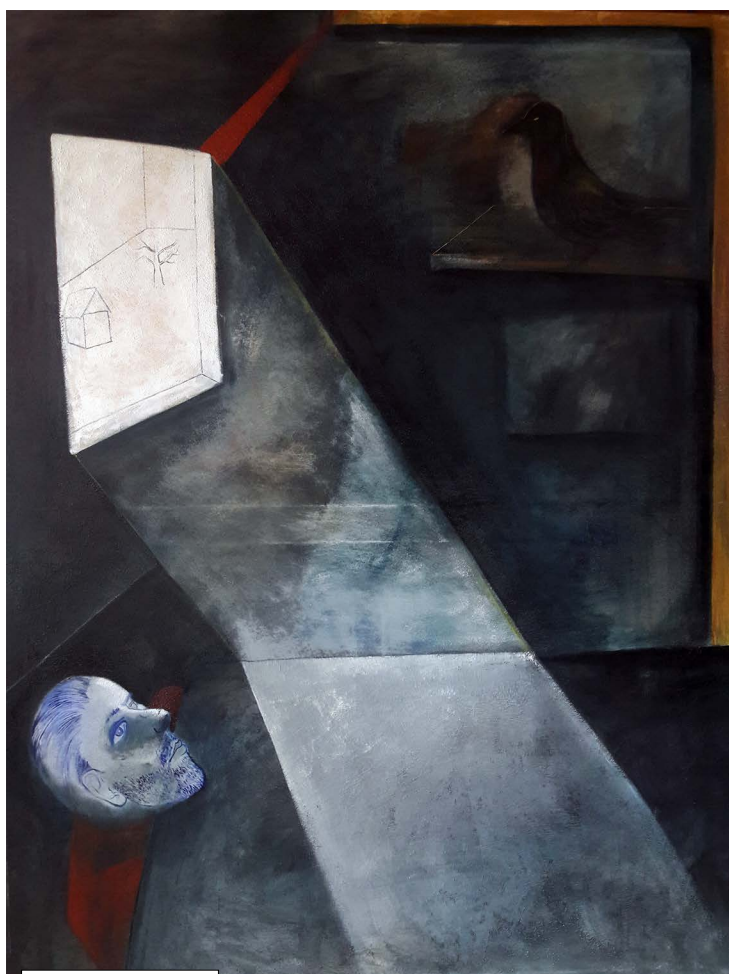
# Franciszek Chmielowski

## Orzeźwiający powiew nowości

W dzisiejszym, „odczarowanym” świecie europejskiej kultury niewielu artystów tworzy dzieła odnoszące się serio do problematyki metafizycznej i religijnej. Instytucjonalnie wykreowany świat współczesnej nam sztuki zwraca uwagę na kwestie obyczajowe, społeczne i polityczne kształtujące głównie materialny i cielesny wymiar ludzkiej egzystencji oraz skwapliwie zajmuje się tropieniem i krytyką resztek duchowego dziedzictwa, na którym ufundowana została nasza europejska tożsamość.



„DOM NA SKALE”, 2015  
fusz, tempera



„NOC CIEMNA 2”, 2017  
olej

W TAK UFORMOWANYM PARADYGMACIE sztuki twórczość Davida Javorsky'ego – prezentowana na wystawie w Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach – przedstawia się jak haust świeżego powietrza i orzeźwiający powiew nowości. Podjęte przez słowackiego artystę twórcze zadanie odznacza się prawdziwie romantycznym maksymalizmem, o którym pisał Artur Schopenhauer przekonując, że *nie tylko filozofia, ale też sztuki piękne zmierzają w gruncie rzeczy do rozwiązania zagadki bytu. Albowiem w każdym duchu, który choć raz oddał się rozważaniom nad światem, rodzi się dążenie do uchwycenia prawdziwej istoty rzeczy, życia, bytu, nawet jeśli jest głęboko ukryte i nieświadome* (A. Schopenhauer, „O samej istocie sztuki”, [w:] „Świat jako wola i przedstawienie”, PWN, Warszawa 1995, s. 581.)

Artystyczną wyobraźnię Davida Javorsky'ego ożywia filozoficzne i zarazem egzystencjalne pytanie o sens ludzkiego istnienia i możliwość doświadczenia obecności Boskiego Absolutu. Pytanie to stało się dla niego szczególnie aktualne i dojmujące po lekturze tekstów hiszpańskiego reformatora życia religijnego, poety i mistyka, św. Jana od Krzyża.

David Javorsky chętnie odwołuje się do alegorii „obrotu niewiedzy” zaczerpniętej ze średniowiecznego anonimowego tekstu, uznanego za arcydzieło chrześcijańskiej literatury mistycznej. Dla artysty wyznacza ona punkt wyjścia i zarazem horyzont możliwości obrazowego przedstawienia znaczeń.

Semantyka przekazów literatury mistycznej, należących zarówno do kultury zachodniej, jak i kultur orientalnych, napotyka z konieczności na szereg ograniczeń wynikających z niemożności przedstawienia nieskończonego Absolutu poprzez skończone i ograniczone środki wyrazu. Głębokie treści doświadczenia zderzają się z ubóstwem dyskursywnego języka, dlatego wielu autorów tego obszaru kultury uciekało się do języka teologii negatywnej bądź do metaforycznego języka sztuki.

### Symboliczne przedstawienia absurdalnego projektora emitującego mrok zamiast światła.

W podobnej sytuacji znalazł się także David Javorsky, lecz jako artysta umiejętnie wykorzystał bogactwo semantycznych możliwości malarstwa do wygenerowania nowych znaczeń. Jego obrazy wykazują perfekcyjną sprawność w operowaniu myślowym skrót-



„ZAPROSIENIE, ALBO ŚWIĘTA BARBARA W PRZESTRZENI”, 2017  
technika mieszana

tem i wizualną metaforą, czego przykładem mogą być powtarzające się symboliczne przedstawienia absurdalnego projektora emitującego mrok zamiast światła, bądź wyobcowane i wyrwane z naturalnych kontekstów wizerunki ludzkich postaci i przedmiotów.

W malarskich przedstawieniach Davida Javorsky'ego wyczuwalna jest niezwykła pasja oraz



„ROZMOWA MISTYCZNA”, 2016  
olej

imperatyw obrazowania tego, co niewidzialne a obecne. Artysta pisał o tym również pięknie w tekście swojej rozprawy dyplomowej: *Pragnę przekopać się. Myślę o tym, jak wejść „pod skórę” obrazu. Jest to dla mnie fascynujące. Jakbym odstaniał jakąś zastonę i wstąpił do świata, w którym wszystko jest możliwe.*

Fenomen malarstwa Davida Javorsky'ego można rozumieć jako efekt osobliwego spotkania w czasie dwóch „bratnich” konstrukcji psychicznych: współczesnego artysty i mistycznego autora sprzed czterech wieków, jakim była postać św. Jana od Krzyża. Jest to spotkanie niezwykle w kontekście dzisiejszej, nasyconej hedonizmem i relatywizmem kultury. Spotkanie tym bardziej zasługujące na uwagę, że mamy do czynienia nie tylko z ekspresją woli, lecz także z dojrzałym, określonym w swojej indywidualności malarstwem, którego Autor ma odwagę stawiać współczesnemu człowiekowi trudne, egzystencjalne pytania. ■



Piotr Bieniek



Piotr Bieniek

## Japońska technika, mikroświaty przedmiotów

Oliwia Hildebrandt

**W październiku Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach gościło dwie wystawy: „S jak serigrafia” w Galerii Górnej oraz obszerną prezentację fotografii Piotra Bieńka w Galerii Dolnej.**

PIERWSZA STANOWIŁA PREZENTACJĘ efektów International Serigraphy Symposium Ostrava, projektu artystycznego Wydziału Sztuki Uniwersytetu Ostrawskiego. Projekt skierowany do kadry pedagogicznej szkół

wyższych Europy Środkowej zakładał udział w warsztatach serigrafii i dał możliwość indywidualnych wypowiedzi poszczególnym artystom w formie dzieła graficznego w tej konkretnie technice.

Pochodząca z XVII wieku, z Japonii, wykorzystująca metodę szablonów nakładanych na drobną siatkę technika sitodruku, w której wykonanie odbitki polega na przettaczaniu farby przez matrycę, stała się na przestrzeni dziejów niezwykle popularną, dającą wiele możliwości dziedziną kreacji. Początkowo wykorzystywana tylko w poligrafii cieszyła się powodzeniem dzięki swobodzie w dobieraniu podłoży czy farb drukarskich i możliwość druku na tkaninie. Z czasem jako technika artystyczna dzięki prądom pop i op-artu, które ją niezwykle rozwinęły, stała się cenionym medium w sztuce. W jakiej kondycji pozostaje dzisiaj? Czy wszechobecny druk cyfrowy, jakim przesyciona jest współczesna cywilizacja obrazkowa, spowodował, iż grafika straciła na popularności? W dużej mierze tak tradycyjne techniki odchodzą do lamusa. Dlatego ideą ostrawskiego sympozjum było przywrócenie świetności i prezentacja rozległych, często niezastąpionych możliwości wyrazu serigrafii.

Prezentowana wystawa pokazuje właśnie taki wachlarz rozwiązań formalnych, w dużej mierze określony poprzez sposób wykonania matrycy graficznej: za pomocą rysunku tuszem czy kredką litograficzną – widzimy to w pracach o zdecydowanej przewadze linii i lawowanej plamy, wycinanych szablonów – gdzie dominują formy geometryczne barwne i operujące monochromiami czy dzięki naświetlanej emulsji światłoczułej – szczególnie rozpoznawane poprzez współudział klisz fotograficznych, czyli z wykorzystaniem zdjęć, oczywiście przetworzonych w procesie kreacji. Całą tę różnorodność formalną dopełnia międzynarodowy przekaz artystyczny pięćdziesięciu dwóch autorów, dotyczący ich indywidualnego postrzegania świata i aktualnych problemów w kontekście artystycznym czy ogólnoludzkim.

Piotr Bieniek, autor wystawy, w której skład weszły prezentacje pt. „Moja Niemartwa Natura” i „Krajobrazy Mikroskopowe” to fotografik, posiadacz tytułu Artysty Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (AFIAP), członek ZPAF oraz Fotoklubu RP i jednocześnie chemik, pracownik naukowy Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Oddany fotografii, którą uprawia – jak sam określa – *przy okazji życia fotografując to, co wydaje mu się interesujące tematycznie lub wizualnie*, zdradza w swojej sztuce także i chemiczne

zamitowania, uwieczniając niewidzialne gołym okiem światy dostępne dzięki mikroskopowi polaryzacyjnemu.

W konsekwencji tematyka i forma obrazów jest zróżnicowana, ale mają one wspólny mianownik – pochodzą ze środowiska najbliższego autorowi, jego



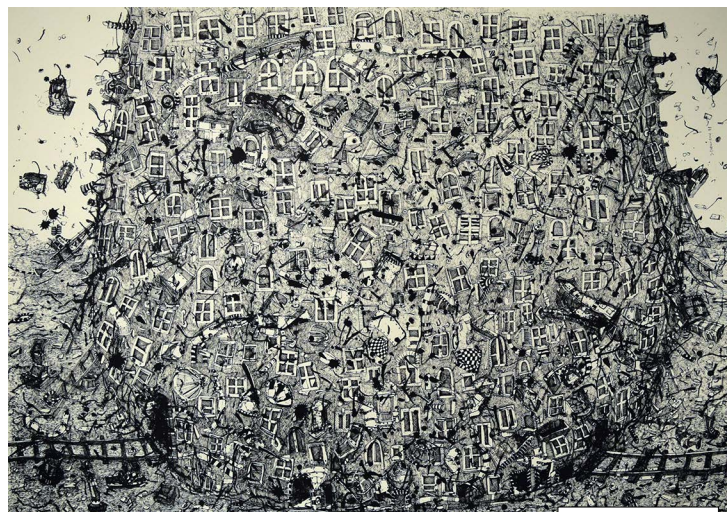
### Personifikuje je w ujęciu człeko- czy zwierzęcopodobnym.



domu, jego codzienności. Artysta w seriach „Moje Przedmioty”, „Moje Kulinaria”, „Moja Podłoga”, wtajemnicza nas w relacje nie z ludźmi, a zwykłymi rzeczami, najbliższymi towarzyszami powszedniości, które nas otaczają, stykamy się z nimi, służą nam, stąpamy po nich, użytkujemy czy nawet nimi żyjemy.

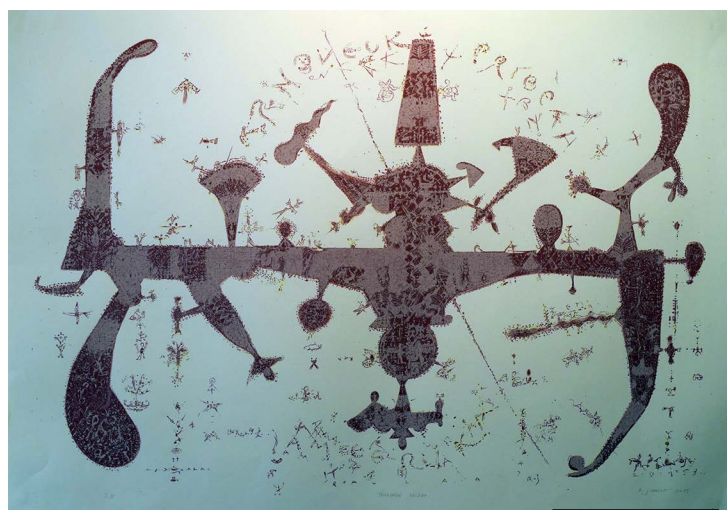
W humorystyczny sposób personifikuje je w ujęciu człeko- czy zwierzęcopodobnym. Mamy tu serię pościelową o ludzkich twarzach, zatroskany listek z tabletkami, stale obserwującą podłogę czy groteskowe potwory typiące z talerzy. Autor wprowadza również literacki komentarz do fotografii. W czasach, kiedy relacje międzyludzkie w społeczeństwie informacyjnym stają pod znakiem zapytania i sptycają się do kontaktów w sieci, w bliskości fizycznej pozostają przedmioty. Zdają się w narracji autora przeżywać wspólne emocje, wykazywać empatię, utożsamiać się z właścicielem, obserwować go i tworzyć. Artysta wybierając z otoczenia, ożywia je, stają się „Niemartwą Naturą”, podnosi ich rangę.

Wnikliwie, w mikroskopowym powiększeniu obserwując „wnętrze” przeróżnych mikstur i chemikaliów, odkrywa i bada niedostępne dla wzroku mikroświaty, pokazując fascynujące piękno ukryte w materii. Powiększone jej drobiny tworzą zgeometryzowane wzory, mikrostruktury stają się pejzażami, które zapisuje z reporterską precyzją. Spolaryzowane światło dodaje pracom kolorytu. Kompozycje barwne, budowane dzięki kontrastom i gradacjom temperaturowym, dynamizują układy diagonalne, rytmiczne, harmonijnie stosowane akcenty. Sam autor odwołuje się w pracach do dorobku Kieleckiej Szkoły Krajobrazu, poszukując piękna, geometrii i tądu podobnego do rolniczego pejzażu. Bo czymże jest fotografia jak nie sztuką obserwacji otaczającej nas rzeczywistości. ■



Jacek Szewczyk PL

Fot. Olivia Hildebrandt



Robert Jančovič SK



Paweł Kwiatkowski PL

Magazyn "Projektor" jest dostępny:

www.projektorkielce.pl

instytuty

muzea

teatry

biblioteki

stowarzyszenia

galerie

federacje

Instytucje kultury:

### MUZEUM NARODOWE W KIELCACH PAŁAC BISKUPÓW KRAKOWSKICH

25-010 Kielce, pl. Zamkowy 1, tel. 41 344 40 14  
kasa biletowa: tel. 41 344 23 18  
e-mail: poczta@minki.pl; www.mnki.pl

### MUZEUM HISTORII KIELC

25-303 Kielce, ul. Św. Leonarda 4, tel. 41 340 55 20  
www.muzeumhistoriakielce.pl

### MUZEUM LAT SZKOLNYCH STEFANA ŻEROMSKIEGO

25-013 Kielce, ul. Jana Pawła II, tel. 41 344 57 92  
www.mnki.pl

### GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ „DOM PRACZKI”

25-009 Kielce ul. Zamkowa 5/7, tel. 41 367 62 97  
e-mail: dompraczki@o2.pl

### MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY

25-367 Kielce, pl. Wolności 2  
tel. 41 34 440 78, tel./fax. 41 344 48 19  
e-mail: poczta@muzeumzabawek.eu  
www.muzeumzabawek.eu

### DWOREK LASZCZYKÓW

25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 6, tel. 41 34 450 06

### BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

25-011 Kielce, ul. Kapitulna 2, tel. 41 36 76 447  
e-mail: sekretariat@bwakielce.art.pl  
www.bwakielce.art.pl

### TEATR LALKI I AKTORA „KUBUS”

25-304 Kielce, ul. Duża 9  
tel. 41 344 58 36, 41 368 02 93  
e-mail: sekretariat@teatr-kubus.pl  
www.teatrakubus.pl

### GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „WINDA”

25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32 w. 262  
www.galeriawinda.pl

### MUZEUM DIALOGU KULTUR

25-303 Kielce, Rynek 3, tel. 41 344 60 96  
www.mdk.mnki.pl

### GALERIA ZPAP „TYCJAN” SKLEP BOHEMA

25-007 Kielce, pl. Artystów / ul. Sienkiewicza 29  
tel. 668 895 221

### GALERIA XS

25-717 Kielce, ul. Podklasztorna 117  
http://wptia.ujk.edu.pl/isp

### INSTYTUT DIZAJNU

25-009 Kielce, ul. Zamkowa 3, tel. 41 315 26 39, w. 117  
www.idkielce.pl

### TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO

25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32  
tel. 41 344 75 00, 41 344 47 65  
tel. 41 344 60 48 w. 31 – impresariat  
e-mail: biuro@teatr-zeromskiego.com.pl  
www.teatr-zeromskiego.com.pl

### FILHARMONIA ŚWIĘTOKRZYSKA IM. OSKARA KOLBERGA

25-369 Kielce, ul. Żeromskiego 12  
tel. 41 368 11 40, kasa biletowa: 41 365 54 83  
e-mail: impresariat@filharmonia.kielce.com.pl  
www.filharmonia.kielce.com.pl

### GALERIA SZTUKI „ZIELONA”

28-100 Busko-Zdrój, al. Mickiewicza 7  
tel. 41 378 71 91  
e-mail: galeriazielona@busko.com.pl

### DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH „PAŁACY TOMASZA ZIELIŃSKIEGO”

25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5  
tel. 41 367 67 70, 41 367 67 71  
www.palacyzielinskiego.pl

### KIELECKIE CENTRUM KULTURY

25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32  
www.kck.com.pl

### KIELECKI TEATR TAŃCA

25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2B  
tel./fax 41 361 27 46, 41 341 51 77  
e-mail: impresariat@ktt.pl, ktt@ktt.pl; www.ktt.pl

### WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. WITOLDA GOMBROWICZA W KIELCACH

25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 13, tel. 41 344 70 74  
www.wbp.kielce.pl

### PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA W KIELCACH

25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 5, tel. 41 344 28 61  
www.pbw.kielce.pl

### MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W KIELCACH

25-406 Kielce, ul. Konopnickiej 5  
tel. 41 362 70 13, 41 368 54 09, fax 41 362 61 15  
biblioteka@mbp.kielce.pl; www.mbp.kielce.pl

### „BAZA ZBOŻOWA”

25-416 Kielce, ul. Zbożowa 4  
www.baza-zbozowa.eu

### WOJEWÓDZKI DOM KULTURY

25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 2, skr. poczt. nr 5  
tel. 41 365 51 00, fax. 41 361 83 81  
e-mail: wdk@wdk-kielce.pl; www.wdk-kielce.pl

### KIELCE

ANTYKWARIAT NAUKOWY IM. ANDRZEJA METZGERA (ul. Sienkiewicza 13)

BAZA ZBOŻOWA (ul. Zbożowa 4, lokal 12 – redakcja; lokal 1 – zarząd; budynek ochrony)

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W KIELCACH (ul. Świętokrzyska 21e)

DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH (ul. Zamkowa 5)

GALERIA „FORMA” (ul. Mała 4)

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA (ul. Kapitulna 2)

GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ „DOM PRACZKI” (ul. Zamkowa 5/7)

GALERIA ZPAP „TYCJAN” I SKLEP BOHEMA (pl. Artystów)

I LO IM STEFANA ŻEROMSKIEGO (ul. Ściegiennego 15)

INSTYTUT DIZAJNU (ul. Zamkowa 3)

INSTYTUT SZTUK PIĘKNYCH UJK (ul. Podklasztorna 117)

KIELECKI PARK TECHNOLOGICZNY (ul. Olszewskiego 6)

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA (Filie – ul. Karczówkowska 20, ul. Krzemionkwa 1, ul. Jagiellońska 36, ul. Romualda 3, ul. Warszawska 147, ul. Wikaryjska 1, ul. Barwinek 31, ul. Okrzei 9, ul. Konopnickiej 5, ul. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 53, ul. Zagórska 60, ul. Naruszewicza 25)

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY (ul. Kozia 10a)

MUZEUM DIALOGU KULTUR (Rynek 3)

MUZEUM HISTORII KIELC (ul. Leonarda 4)

MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY (pl. Wolności 2)

OSRÓDEK MYŚLI PATRIOTYCZNEJ I OBYWATELSKIEJ (ul. Zamkowa 3)

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA (ul. Jana Pawła II 5)

ŚWIĘTOKRZYSKA OKRĘGOWA IZBA ARCHITEKTÓW (ul. Siłniczna 15)

TEATR LALKI I AKTORA „KUBUS” (ul. Duża 9)

URZĄD MIASTA KIELCE (Rynek 1 – budynek główny, ul. Strycharska 6 – Wydział Kultury)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA (ul. Ściegiennego 13)

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY UNIWERSYTETU JANA KOCHANOWSKIEGO (ul. Świętokrzyska 21d)

### BIBLIOTEKI PEDAGOGICZNE (WOJ. ŚWIĘTOKRZYSKIE):

BUSKO-ZDRÓJ (ul. Armii Krajowej 19)

JĘDRZEJÓW (ul. 11 Listopada 37)

KAZIMIERZA WIELKA (ul. Partyzantów 29)

KOŃSKIE (ul. Zamkowa 5)

OPATÓW (ul. Słowackiego 54)

OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI (os. Ogrody 26)

PIŃCZÓW (ul. Nowy Świat 3)

SANDOMIERZ (ul. Sokolnickiego 4)

STARACHOWICE (ul. Kościelna 30)

STASZÓW (ul. Piłsudskiego 7)

WŁOSZCZOWA (ul. Wiśniowa 10)

### BAŃSKA BYSTRZYCA

CENTRUM KULTURY NIEZALEŻNEJ „ZADRADA” (ul. Námestie SNP 16)

### BIAŁYSTOK

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU (ul. Uniwersytecka 1)

KSIĄŻNICA PODLASKA (ul. Skłodowskiej-Curie 14a)

TEATR DRAMATYCZNY IM. ALEKSANDRA WĘGIERKI (ul. Elektryczna 12)

### CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI (Al. Najświętszej Maryi Panny 64)

### JELEŃSKA GÓRA

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH (ul. Długa 1)

### KRAKÓW

INSTYTUT BLISKIEGO I DALEKIEGO WSCHODU UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO (ul. Gronostajowa 3)

KATEDRA MULTIMEDIÓW UNIWERSYTETU PEDAGOGICZNEGO (ul. Mazowiecka 43)

WYDZIAŁ MALARSTWA AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH (pl. Matejki 13)

### KIELCE

MUZEUM POLSKIEJ PIOSENKI (ul. Piastowska 14a)

### POZNAŃ

NOVA - CZYTELNIJA KOMIKSÓW I GAZET BIBLIOTEKI UNIWERSYTETU ADAMA MICKIEWICZA (ul. Ratajczaka 38/40)

GALERIA MIEJSKA ARSENAŁ (Stary Rynek 6)

### RZESZÓW

RZESZOWSKA AKADEMIA KOMIKSU – WOJEWÓDZKI DOM KULTURY (ul. Okrzei 7)

### SKIERNIEWICE

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH (ul. Reymonta 33)

### SZCZECIN

MUZEUM NARODOWE (ul. Staromłyńska 27)

### WARSZAWA

TR WARSZAWA (ul. Marszałkowska 8)

KLUB „POGŁOS” (ul. Burakowska 12)

### WROCŁAW

MUZEUM WSPÓŁCZESNE WROCŁAW (pl. Strzegomski 2a)